

C. J. Cherryh

BRAMA IVREL

W skład cyklu

C. J. CHERRYH o Morgaine wchodzi:

tom I Brama Ivlrel

tom II Studnia Shiuana

tom III Płomienie z Azeroth

tom IV Brama wygnania

Przełożył Michał Jakuszewski

PROLOG

BRAMY stały się przyczyną zguby ahalów. Były wszędzie, w każdym ze światów. Używano ich powszechnie od tysiącleci. Łączyły całą sieć ahalskich cywilizacji - tworząc imperium zarówno czasu, jak i przestrzeni, ponieważ Bramy prowadziły nie tylko do innych miejsc, lecz również do innych czasów... z wyjątkiem ostatnich chwil. Z początku czasowy aspekt Bram nie wywoływał wielkiego zaniepokojenia. Odkryto je po raz pierwszy wśród ruin martwego Świata w systemie słonecznym ahalów. Znaleździło to, dokonane w kilka dziesięcioleci po ich pierwszej podróży w kosmos, otworzyło nagle drogę ku gwiazdom. Od tej pory statków używano jedynie do wstępnego transportu budowniczych oraz ich sprzętu. W miarę jednak jak budowano następną Bramę Świata, podróż do tego świata oraz po jego powierzchni stawała się natychmiastowa.

A nawet krótsza niż natychmiastowa. Czas zakrzywiał się podczas przejścia przez Bramy. Można było przejść z jednego miejsca do drugiego, odległego o lata świetlne, nie starzejąc się, inaczej niż na pokładach statków, które poruszały się w czasie rzeczywistym. Można też było wybrać nie tylko miejsce, w którym wyjdzie się z Bramy, lecz również czas. Nawet na powierzchni tego samego świata można było przemieścić się ku jakiejś przyszłej chwili, gdy znajdzie się on w innym punkcie swej trasy wśród planet i słońc.

Dotąd nie sposób było cofnąć się w czasie. W chwili gdy odkryto czasowy aspekt Bram, wysunięto teorię, że działania podjęte w przyszłości nie będą mogły spowodować gorszych skutków niż podejmowane obecnie, lecz dopiero ingerencja w wydarzenia przeszłe może odmienić niezliczone krocie istnień i czynów.

Tak więc ahałe wędrowali przez czas przyszły, zbierając się w coraz większe i większe grupy w najbardziej odległych epokach. Przemieszczali się również w przestrzeni i wtrącali bezczelnie w sprawy innych istot, odrywając fragmenty z ich czasu. Z reguły pogardzali mieszkańcami innych światów, także ahalopodobnymi, a nawet nielicznymi, którzy mogli się z nimi krzyżować. Co więcej, nienawidzili tych potencjalnych rywali najbardziej ze wszystkich, a półahalów mieli w takiej samej pogardzie, ponieważ nie leżało w ich naturze godzić się z różnorodnością. Po prostu wykorzystywali pomniejszych gatunki tak, by było to opłacalne, a także sprowadzali na skolonizowane przez siebie planety formy życia z innych, podobnych swia-

tów według własnego uznania. Czasami eksperymentowali z całymi światami, a potem przemieszczali się w przyszłość, by poznać rezultaty tych doświadczeń. Zgarniali bogactwa innych gatunków, które wlokły się przez stulecia w swym własnym czasie rzeczywistym, ponieważ korzystanie z Bram było zastrzeżone wyłącznie dla ahalów. Na koniec niemal niczego już im nie brakowało. Pragnęli jedynie luksusu i nowych wrażeń. Dręczyło ich też pożądanie nowych, coraz dalej sięgających Bram.

Aż wreszcie ktoś, gdzieś, cofnął się w czasie i zmienił przeszłe wydarzenia - być może tylko w minimalnym stopniu.

Cała rzeczywistość zadrżała i rozerwała się na strzępy. Zaczęło się od drobnych anomalii, które narastały szybko aż do unicestwienia czasu, sięgającego krańców zniekształconych przez Bramy epok, a także objętej przez nie przestrzeni.

Czas skurczył się na nowo, wysyłając kilka gasnących fal zaburzeń, i zbiegł się w jakimś punkcie poprzedzającym nadmiernie rozciągnięte Teraz.

Tak przynajmniej przypuszczali teoretycy z Biura Naukowego, gdy odkryto ocalone światy wraz z różnymi pozostałościami po ahalach, które zostały wyrzucone z przeszłości na zewnątrz. Wśród tych pozostałości znajdowały się Bramy.

Bramy istnieją. W związku z tym możemy przypuścić, że istnieją one również w przyszłości i w przeszłości. Zanim jednak ich nie użyjemy, nie możemy być pewni, jaki jest ich zasięg. Zgodnie z dzisiejszymi wierzeniami ahalów, których prawdziwości można dowieść, zaburzenia nawiedzały kolejno świat za światem. Na takich planetach doszło do pomieszania różnych elementów. Wśród tych anomalii znajdują się przedmioty pochodzące z naszego obszaru, które - przeniesione w przeszłość - mogą się okazać dla nas zgubne. Biuro jest zdania, że Bramy, po przejściu przez nie, należy zamknąć. W przeciwnym razie będzie nam nieustannie grozić kolejna implozja czasu, taka sama, jak ta, która zniszczyła ahalów. Oni sami wysuwają przypuszczenie, że nasz obszar przestrzeni był już raz miejscem implozji czasu o nieokreślonych rozmiarach, może o zasięgu kilku lat, a może tysiącleci, która została spowodowana przez pierwszą Bramę oraz receptor odkryty przez ahalów, ku zgubie najpierw nieznannej, obcej cywilizacji, a potem ich własnej. Dopóki więc będzie istniała choć jedna Brama, będziemy nieustannie narażeni na to, że w każdej chwili może nas spotkać taki sam los. W związku z tym większość członków Biura uważa, że powinno się zezwolić na korzystanie z Bram wyłącznie w celu wysłania ekipy, która je zamknie lub zniszczy. Przygotowano już odpowiedni zespół. Powrót dla jego członków będzie, rzecz jasna, niemożliwy, a czas trwania misji nieokreślony. Tak więc z jednej strony ekipa może natychmiast wpaść w pułapkę lub ulec zagładzie, z drugiej zaś - zadanie może się okazać zakrojone na taką skalę, że jednemu pokoleniu członków korpusu ekspedycyjnego, czy nawet całemu ich tuzinowi, może zabraknąć czasu na dotarcie do ostatniej z Bram.

Biuletyn Biura Naukowego Unii, Vol. XXX, s. 22

Na szczycie Ivrel Kamień stoi wyrzeźbion w takie ajujal-

skie runy, które gdy człek ich dotknie, ognie czarnoksięskie wydają, duszę wraz z ciałem gubiące. We wszystkich tych Miejscach Mocy siły wielkie tkwią i czary aujalskie jeszcze tam żyją. Można tam i dziś aujalską krew rozpoznać, jeśli dziecko się urodzi z oczyma szarymi, wzrostu pokaźnego, i jeśli rad nie słucha i ku miejscom tym wędruje, gdyż u aujalów nie masz duszy, a przez czary swe żyją oni młodzi i piękni lat wiele więcej niż ludzie.

Księga Embry, Hait-an-Koris

W roku Wspólnej Rachuby 1431 wojna nastąpiła między książętami Aenoru, Korisu, Baien i Koris-sith a grodem Hjemur. W roku owym panem Hjemuru był czarnoksiężnik Thiye, syn Thiyego, pan Ra-hjemur oraz góry Ivrel, w cieniu której Irien leży.

Natenczas do wygnanego pana Korisu, zwanego Chya Tiffwy, syna Hana, pięciu Obcych przybyło, jakich nigdy jeszcze w kraju nie widziano. Rzekli mu, że przychodzą z Południa dalekiego, a Chya Tiffwy i pan Aenoru Ris Gyr, syn Leleolma, schronienia im udzielili. Dostrzec można było wyraźnie, że jedna z obcych była krwi aujalskiej, gdyż niewiasta ta miała włosy jasne i wzrostem wielu mężom dorównywała. Zaś drugi z drużyny włosy miał złote, jednakże w Korisie i w Andurze rodzą się czasem podobni. Pozostali i włosy mieli ciemne i na ludzi wyglądali. Widoczne się stało, że oczy Gyra i Tiffwy'ego żądza wielka zaćmiła - ich matki siostrami były - gdyż królestwo Tiffwy'ego, które zajął pan Ivrel przy Ogniach, odebrane być mogło. Zaklinając na Przysięgi wielkie i obiecując niezliczone nagrody przekonali panów Baienan, z których największym był Seo, kuzyn ich, syn trzeciego brata wielkiego Rusa, pana Anduru, by na Thiyego ruszyli. Jezdnych zebrali siedem tysięcy, a pieszych trzy i dając posłuch obietnicom kuzynów i Przysięgom Piątki, pod Sztandarami swymi przeciw Thiyemu wojska swoje powiedli.

W dolinie Irien kamień stoi, runami pokryty, podobny, jak powiadają, do kamieni stojących w Aenorze i Sith oraz do Łuku nad Ogniami Czarnoksięskimi na górze Ivrel.

Zawsze z dala się od niego trzymano, choć szkoda żadna z niego nie płynęła.

W tym oto miejscu zebrali się z Anduru panowie pod rozkazami Tiffwy'ego oraz Piątki, by na Ivrel i twierdzę Hjemur uderzyć. Wkrótce jasnym się stało, że Obcy oszukali Tiffwy'ego, gdy bowiem dziesięć tysięcy zjechało ze szczytów Grioen w dolinę Irien u podnóża Ivrel, wszyscy zginęli, oprócz jednego młodzieńca z Baien-an, Tem Reth zwanego, gdyż rumak jego padł po drodze i tak ocalił mu życie. Gdy ocknął się on ze swego omdlenia, nic żywego na polach Irien nie pozostało, ni człowiek, ni zwierzę. Jednakowoż nieprzyjaciel żaden nie nadciągnął, by wziąć pole w posiadanie. Z dziesięciu tysięcy ledwie parę trupów zostało, na których ran żadnych nie można było znaleźć. Tenże Reth z Baien-an wrócił z pola żyw, lecz przez wzgląd na żalność wielką do klasztoru w Baien-an wstąpił, by spędzić dni swe na modlitwie.

Poczyniwszy tyle zła, Obcy zniknęli. Ludzie w Aenorze powiadali, że niewiasta owa wróciła, lecz zaraz w przestachu uciekła, gdy broń przeciw niej wyciągnięto. Powiadają też, że zaginęła ona nie opodal wzgórza, gdzie owe dziwne

kamienie stoją, zwanym teraz Grobowcem Morgaine, albowiem pod tym imieniem znano ją w Aenor-Pywn, choć rzekomo wiele imion miała oraz tytuł pana i wszelkiego jego prawa. Mówią też, że śpi tam, czekając aż klątwa wielka zdjęta z niej zostanie i wolność jej zwróci. Dlatego każdego roku lud z sioła Reomel dary przynosi i klątwy p - tężne rzuca, aby się nie przebudziła i jakiego zła im nie sprowadziła.

Po Innych śladu nie znaleziono ani w Irien, ani w Acno-rze. ..';;.

: Kroniki Baien-an

.

ROZDZIAŁ I

-

Urodzić się jako Kurshin czy Andurin nie stanowiło samo w sobie jeszcze wielkiego powodu do chwały. Znaczyło to tylko tyle, że jest się człowiekiem, a nie dzikusiem, jak żyjący w Lun, na południe od Andur-Kurshu. Nie jest się także skalanym czarnoksięstwem czy krwią aujalin, jak ci, którzy mieszkali w Hjemurze i dalej na północ. Pomiedzy lasami Anduru i górami Kurshu mało było powodów do sporu. Wystarczy powiedzieć, że ci byli myśliwymi, a tamci pasterzami, lecz i ci, i ci byli prawdziwymi i nabożnymi ludźmi, a ongiś - w czasach Wielkich Królów Korisu - stanowili jedno państwo.

Fakt, że urodziło się w którymś z kantonów, jak Morija, Baien czy Aenor, był czymś, czemu należało być już wiernym. Poczucie tej wierności było wspólne dla wszystkich, Morijów, Baienów czy Aenorów niezależnie od rangi, gdyż lud Andur-Kurshu kochał namiętnie swe ojczyste strony. W każdym kantonie jednak istniały klany, i to one były prawdziwym powodem dumy, miłości i wierności. Rządzące klany zdobywały pozycję i upadały w nie kończącym się cyklu rywalizacji i walki o władzę. Było też wiele pomniejszych klanów, przyzwyczajonych do posłuchu. Morija stanowiło wyjątek, gdyż miało tylko jeden klan rządzący, zaś pięć pozostałych było mu poddane. Z początku było ich dwa - Yla i Nhi - lecz Yla wyginęli do ostatniego sto lat temu w Irien, tak więc pozostali wyłącznie Nhi.

Vanye był członkiem tego klanu. Oznaczało to, iż był wspaniałym wojownikiem umiejącym biegle obchodzić się z końmi, honorowym do granicy obsesji. Miał jednak porycze usposobienie i cechował się lekkomyślnością w stopniu niemal samobójczym, a także uporem i tym, że chodził własnymi drogami. Te ostatnie cechy sprawiały, iż wśród Nhi aż roiło się od spisków i zdrad. Vanye nie wątpił w to, co mówiono na jego temat - ostatecznie były to bardzo powszechne cechy charakteru w całym klanie Nhi. Spodziewano się ich u wszystkich członków tej społeczności. Każdy klan miał za wzór i model pewien typ osobowości. Młodzieniec Nhi poświęcał całą swą energię, by spełnić te oczekiwania i wyrugować u siebie mniej pożądane cechy. Jego przyrodni bracia zachowywali się tak samo, podobnie jak - rzecz jasna - sam pan Nhi Rijan, który był ich ojcem. Jednakże Vanye był również Chya, po swej matce, a Chya mieli temperament artystyczny i niestały, zatem duma często brała u nich górę nad zdrowym rozsądkiem. Jego przyrodni bracia pochodzili z Myya, morijskiego

klanu wojowników - uległych, lecz ambitnych. Byli to ludzie skryci, zimni i - czasami - okrutni. W naturze Vanyego leżała lekkomyślność a także to, że zawsze mówił, co myślał, jego bracia zaś taili swe zamysły i działali z ukrycia. On był porywczy, oni - pamiętliwi. Nie była to niczyja wina, co najwyżej Nhi Rijana, który był na tyle nie przewidujący, by spłodzić bękarta Chya oraz dwóch prawowitych synów Nhi-Myya i kazać wszystkim trzem mieszkać pod jednym dachem.

Tak więc pewnego jesienno-go dnia dwudziestego trzeciego roku panowania Nhi Rijana w Ra-morij jeden z jego synów poniósł śmierć.

Vanye nie chciał się stawić przed obliczem ojca. Potrzeba było kilku Myya, aby wprowadzić go do oświetlonego pochodniami pomieszczenia, w którym czuć było mocną woń ognia i strachu. Nie chciał też spojrzeć ojcu w oczy, lecz padł twarzą na podłogę, dotknął czołem zimnych kamieni i leżał tak bez ruchu, podczas gdy Rijan zajął się swoim ocalonym dzieźdźcem. Nhi Erij był poważnie ranny. Ostry miecz omal nie uciął palców jego prawej dłoni, tej, w której zwykł trzymać broń. Spoceni kapłani oraz stary San Romen zajęli się jęczącym księciem. Podawali mu kordiały i nakładali kataplazmy, aby złagodzić cierpienia, a jednocześnie usiłowali ratować uszkodzone członki. Nhi Kandrys miał mniej szczęścia. Jego ciało z czołem przewiazanym czerwonym sznurem, aby zatrzymać duszę wewnątrz do chwili pogrzebu, leżało między żałobnymi lampkami na długiej ławie w zbrojowni. W chwili gdy żelazo dotknęło go z sykiem, Erij zdusił krzyk. Vanye wzdrygnął się. Poczł woń przypalanego ciała. Wreszcie, gdy zadziałał narkotyk podany w winie, jęki Erija ucichły. Vanye uniósł głowę w obawie, że i ten brat zmarł - niektórzy ginęli podczas przyżegania na skutek szoku połączonego z działaniem narkotyku - lecz Erij oddychał jeszcze.

Wtedy Nhi Rijan uderzył go z całą siłą swego ramienia. Ogłuszony Vanye zwałił się na podłogę. W głowie wciąż mu dzwoniło, gdy klęknął ponownie przed ojcem, pochylając czoło do jego stóp.

- Ty morderco Chya - zawołał ojciec. - Przeklinam, przeklinam cię.

Nhi Rijan rozplakał się, co zabolalo Vanyego bardziej niż uderzenie. Spojrzał w górę i to, co ujrzal, napełnilo go odrazą. Nigdy nie sądził, że jego ojciec może plakać.

- Gdybym się choć przez chwilę zastanowił, zanim cię spłodziłem, ty bękarce, nie miałbym żadnych synów z kobietą Chya. Chya i Nhi to pechowa mieszanka. Żałuję, że nie okazałem się bardziej rozsądny.

- Bronilem się tylko - sprzeciwił się Vanye opuchniętymi wargami. - Kandrys chciał mojej krwi. Spójrz.

Pokazał mu swój bok, gdzie lekka zbroja ćwiczebna została rozdarta i z rany płynęła krew, lecz ojciec odwrócił twarz.

- Kandrys był moim pierworodnym - oświadczył. -

A ty jesteś jedynie owocem wesoło spędzonej nocy. Drogo zapłaciłem za tę noc. Mimo to przyjąłem cię do swego domu. Byłem to winien twojej matce, ponieważ umarła wydając cię na świat. Jej również przyniosłeś śmierć. Po-

winiem był wtedy zrozumieć, że ciąży na tobie przekleństwo. Kandrys nie żyje, Erij okaleczony - wszystko po twojej myśli, Bękarcie. Czy miałaś nadzieję, że jeśli obaj zginą, zostaniesz dziedzicem Nhi? Odpowiedz!

- Ojczy - zapłakał Vanye. - Oni chcieli mnie zabić.

- Nie! Być może chcieli cię ukarać za twą arogancję, ale nie zabić. Nie. To ty jesteś zabójcą. Ty popełniłeś mord.

Zwróciłeś miecz przeciw swoim braciom podczas ćwiczeń.

Erij nie był nawet uzbrojony. Ty żyjesz, a mój pierworodny zginął, a ja wolałbym, żeby było na odwrót. Bękarcie Chya, nie powinienem był cię przyjąć do domu. W żadnym razie.

'- Ojczy! - krzyknął Vanye, lecz grzbiet dłoni Nhi Rijana wbił mu słowa z powrotem do ust. Vanye ponownie skłonił głowę i zapłakał.

- Co mam z tobą uczynić? - zapytał w końcu Rijan.

- Nie wiem - odparł Vanye.

- Mężczyzna wie, co to honor i zna odpowiedź.

Vanye spojrział w górę. Zrobiło mu się niedobrze. Cały drżał. Nie mógł nic na to odpowiedzieć. Ojciec żądał od niego, by upadł na swój miecz i zadał sobie śmierć. Miłość i nienawiść były w nim tak pomieszane, że czuł się rozdarty na dwoje. Łzy oślepiły go, przez co stał się jeszcze bardziej zawstydzony.

- Czy uczynisz to? - zapytał Rijan.

Tego wymagał honor Nhi. Jednakże w jego żyłach płynęła też krew Chya, a Chya zanadto kochali życie.

W powietrzu zawisło ciężkie milczenie.

- Nhi nie mogą zabijać Nhi - oświadczył w końcu Rijan. - W takim razie będziesz musiał nas opuścić.

- Nie pragnąłem go zabić.

- Biegle władasz bronią. Widać twoja dłoń jest bardziej prawdomówna niż twoje usta. Uderzyłeś go tak, by zabić. Twój brat nie żyje. Chciałeś zabić ich obu, Erij nie miał nawet broni. Nie ma innej prawdy. Zostaniesz więc ilinem. Taka jest moja wola.

- Tak jest, panie - odparł Vanye, dotykając czołem podłogi. Poczul w ustach smak popiołu. Jako ilin nie miał przed sobą żadnych perspektyw. Tacy ludzie często zostawali zwykłymi bandytami i kończyli źle.

- Biegle władasz bronią - powtórzył ojciec. - Bardzo prawdopodobne, że znajdziesz dla siebie miejsce w Aenorze, ponieważ żoną Risa w Aenor-Pywn jest kobieta Chya. Musisz jednak przedostać się przez ziemie pana Gervaine'a, gdzie mieszkają Myya. Jeśli Myya Gervaine zabije cię, twój brat zostanie pomszczony, a twoja krew nie splami dłoni Jhi ani ich mieczy.

- Czy tego pragniesz? - zapytał Vanye.

- Wybrałeś życie - odparł ojciec. Wyciągnął Vanyemu zza pasa honorowy miecz, który mogli nosić wyłącznie uyn, wziął w rękę jego długie włosy - oznakę męskości u Nhj - i obciął je nierówno. Loki - typowe dla Ghya, zbyt jasne, żeby w większości klanów uznano je za oznakę prawej, ludzkiej krwi - opadły na kamienną posadzkę w kilku splotach. Gdy to się stało, Nhi Rijan oparł piętę o miecz i złamał go, po czym rzucił odłamki w stronę Vanyego.

- Napraw to - powiedział. - Jeśli potrafisz.

Vanye poczul na swej szyi zimny powiew wiatru. Zna-

lazł siły na to, by powstać. Jego odrętwiałe palce trzymały połówki krótkiego miecza.

- Czy mogę zabrać konia i broń? - zapytał. Nie był tego pewien, wiedział jednak, że bez nich z pewnością zginie.

- Zabierz wszystko, co należy do ciebie - odparł pan Nhi. - Nasz klan pragnie o tobie zapomnieć. Jeśli zostaniesz schwytany w obrębie naszych granic, zginiesz jako obcy i wróg.

Vanye uklonił się, odwrócił i wyszedł.

- Tchórz! - krzyknął w ślad za nim ojciec, przypominając o nie wypełnionym prawie Nhi, które żądało jego śmierci. W tej chwili Vanye sam szczerze pragnął umrzeć, lecz nie zmazałoby to już jego osobistej hańby. Był napiętnowany tak samo, jak przestępca, którego miano powiesić, czy najnędnieszy ze zbrodniarzy. Wygnanie nie wymagało dodatkowych kar. Taka była sprawiedliwość pana Nhi Rijana. Oto ujawniła się mroczna strona natury Nhi - byli nieubłagani i nienasyчени w zemście. Założył broję, kryjąc zhańbioną głowę pod skórzanym czepcem i spiczastym hełmem, na którym zawiązał białą wstążkę ilina, wędrownego wojownika, którego usług mógł zażądać każdy z panów, który udzieli mu schronienia. Ilini często bywali zbrodniarzami lub ludźmi bez klanu, albo bękartami, do ojcostwa których nikt się nie przyznawał. Niektórzy byli też pokutnikami. Bezlitosne prawo kodeksu ilina praktycznie czyniło z nich niewolników, zmuszonych do odsłużenia całego roku, gdy ktoś tego zażądał. Wielu z nich zostawało najemnikami, a przyjmując pieniądze tracili rangę uyina, lub też okrywali się całkowitą hańbą, zostając złodziejami. Inni, prawi i honorowi, ginęli z głodu lub padali ofiarą bandytów, albo też panów zagrodowych, którzy przyjmowali ich na służbę, a potem odbierali im wszystko.

W Środkowych Królestwach nie było pokoju. Nie znano go tam od czasu Irien, a nawet o pokolenie wcześniej. Jednak nie było tam też wielkich wojen, które mogłyby zapewnić ilinowi dostatek życia. We wsiach panowała bezlitosna nędza, a w Korisie zło rozsiewane przez poddanych Hjemuru, czarnoksiężników i panów-rabusiów, znacznie gorszych od bandytów grasujących w górach.

Przed nim leżał Morij Erd - mały kraj pana Myya Gervaine'a - który zagradzał mu drogę do Aenoru - jedyne miejsce, gdzie mógł znaleźć ocalenie.

Była to już druga zima jego wygnania. Chłód panujący na wysokich przełęczach górskich oraz śmierć konia zmusiły go do desperackiej próby przedostania się przez ziemie Gervaine'a.

Czarna strzała Myya powaliła jego wałacha, biednego Mai, którego Vanye dosiadał od chwili, gdy tylko osiągnął wiek męski. Jego uprząż spoczywała teraz na gniadej klaczy, pochodzącej od Myya. Właścicielowi nie była już potrzebna. Ścigali go od Luo aż po Ethrith-mri. Tylko jeden raz odwrócił się, by stoczyć walkę. Podążali za nim od wzgórze do wzgórze, w kierunku gór na południu. Uciekał teraz ochoczo, choć osłabł z głodu i prawie nie miał już owsa dla konia. Aenor znajdował się tuż za następną granicą. Myya nie byli przyjaciółmi Risa z Aenor-Pywn i nie odważą się

wkroczyć na jego ziemie.

Gdy zdał sobie sprawę, po jakiej drodze wędruje, było już późno. Nie był to szlak, którego szukał, lecz stary trakt aujalin. Gdzieś tam ponad grunt wystawały kamienie wyznaczające jego kierunek. Złakł się, że droga prowadzi do martwych miejsc i ku przeklętym ziemiom. Od pewnego czasu zaczął padać śnieg, który pokrył wszystko bielą, i miał nadzieję, że powstrzyma pościg. Spędził całą noc w siodle. Odważył się zasnąć jedynie na chwilę, wczesnym rankiem, gdy ustały ruchy w gęstwinie i przestał obawiać się wilków.

Następnie przez cały długi dzień zjeżdżał w dół przełęczy, już po stronie Aenoru, osłabiony i chory z głodu. Nagle dostrzegł, że wjechał do doliny pełnej pionowo ustawionych kamieni.

Nie miał wątpliwości - te monolity wzniosły ręce aujalów. To była dolina Morgaine. Znał ją z pieśni i straszliwych opowieści. Żaden człowiek z Kurshu czy Anduru nie przeszedłby tędy z lekkim sercem nawet w południe, a teraz słońce skłaniało się szybko ku zachodowi, zaś za jego plecami, na górskiej grani gromadziły się chmury.

Zebrał się na odwagę, by spojrzeć pomiędzy kolumny, stanowiące zwieńczenie stożkowatego wzgórza, zwanego Grobowcem Morgaine. Promienie zachodzącego słońca migotały tam jak motyl schwyty w pajęczynę, trzepoczący porwanymi skrzydłami. Powodem tego były Ognie Czarnoksięskie, podobne do wielkiego Ognia na szczycie Ivrel, gdzie rządził pan Hjemuru. Dowodziło to, że moce aujalów nie wygasły jeszcze ani tam, ani tu.

Vanye owinął swój postrzępiony płaszcz wokół przyodzianych w kolczugę ramion i pogonił zmęczonego konia do zyszego biegu przez labirynt skalanych nieczystą mocą kamieni u podstawy wzgórza. Cały Andur-Kursh został zniszczony z powodu wojny wywołanej przez jasnowłosą wiedźmę, przez którą połowa Środkowych Królestw dostała się we władanie Thiyego, syna Thiyego. Nadal panowała tu złowieszcza atmosfera, czy to ze względu na moc kamieni, czy przez wspomnienie Morgaine

Gdy Thiye panem w Hjemur był,

Piątka obcych nadjechała.

Trzech włosów ciemne, czwartego złote,

A piątej całkiem białe.

Odgłos kopyt klaczy na zmarzniętym śniegu przywołał mu na pamięć starą pieśń. Wiele lat po tym, jak świat uwolnił się od Morgaine Śnieżnowłosej, jacyś obłąkani powtarzali, że ją widzieli. Inni twierdzili, że śpi, czekając, aby pociągnąć nowe pokolenie ludzi do zguby, takiej, jaką zgotowała niegdyś Andurowi w Irien.

Jasne jej włosy, a moc zła.

Przeklęty, kto jej rad słucha.

Dziś wilków więcej, ludzi mniej,

I wiatr zimowy dmucha.

Jeśli pod wzgórzem rzeczywiście kryły się kości Morgaine, to był to odpowiedni grób dla tej, w której żyłach płynęła starożytna, nieludzka krew. Nawet drzewa w tej okolicy wyrastały zniekształcone, jak wszędzie, gdzie znajdowały się Kamienie Mocy, tak jakby w ich bliskości nawet

natura cierpliwych drzew ulegała wypaczeniu, podobnie jak dusze ludzi żyjących w nieustannym sąsiedztwie zła stawały się zwyrodniałe i karłowate. Szczyt wzgórza był pusty. Nic tam nie rosło.

Poczuł radość, gdy minął już wąski wawóz pomiędzy wzgórzami i oddalił się od Kamieni. Nagle ujrzał przed sobą coś, co uznał za dobry znak. Pomyślał, że jego los odmieni się na lepsze i niebo oraz ziemia jego kuzynów z Aenor-Pywn przyniosą mu bezpieczne schronienie.

W śniegu sięgającym im po brzuchy, na brzegu niewielkiego strumienia, brodziło małe stadko jeleni, skubiąc łącznie czerwone jagody howanu.

Szczęśliwie kraina ta nie była podobna do surowego Cedur Maje czy Morij Erd Gervaine'a, gdzie nawet wilki często głodowały. Aenor-Pywn leżało daleko na południe od Hjemur i nie dotarła tu katastrofa, której cień od tak dawna już padał na Środkowe Królestwa.

Zdjął gorączkowo łuk i naciągnął cięciwę. Ręce drżały mu z osłabienia, gdy wystrzelił jedną z szaro upierzonych strzał Nhi w kierunku najbliższego rogowca. Jednakże klacz wybrała akurat ten moment na zmianę kroku. Vanye, czując piekący głód, zaklął z rozczarowania: strzała nie trafiła w cel i uderzyła jelenia w bok. Pozostałe zwierzęta rzuciły się do ucieczki.

Zraniony jeleni zerwał się, zachwiał i zaczął biec, oszalały z bólu, zraszając biały śnieg wielkimi płatami posoki. Vanyemu zabrakło czasu, aby wypuścić drugą strzałę. Zwierzę pobiegło w kierunku doliny Morgaine, gdzie Vanye nie miał zamiaru go ścigać. Widział jeszcze, jak się wspina - oszalała - jakby niesamowita okolica odebrała mu rozsądek. Zebrało resztki siły i skierowało się w stronę migoczącej pajęczyny, której unikały nawet owady i rośliny. Rogacz wpadł między kolumny i zniknął.

Wraz ze śladami i krwią.

Reszta jeleni pasła się po drugiej stronie strumienia. Vanye utkwiał wzrok w dolinie Kamieni. Monolity wzniesione rękami aųjalów. Dolina Morgaine. Znał ją. Ten widok poruszył w nim coś - uczucie dejt-uu tak mocne, że przez chwilę poczuł się oszołomiony. Potarł oczy grzbietem dłoni. Słońce chyliło się ku zachodowi, zaś za jego plecami na górskiej grani gromadziły się chmury.

Spojrzał pomiędzy kolumny stanowiące zwieńczenie stożkowego wzgórza zwanego Grobowcem Morgaine. Promienie zachodzącego słońca migotały tam jak złota kałuża, zmacona przez rzucony kamień.

Spośród tego migotania wyłoniła się głowa konia, jego przednie nogi, jeździec, a za nim reszta zwierzęcia. Sylwetka na siwym koniu rysowała się na tle złocistego słońca, które świeciło tak jasno, że Vanye musiał mrugać i przecierać oczy.

Biały jeździec zjechał z pokrytego śniegiem wzgórza pomiędzy cienie padające na ścieżkę. Był materialny. Miał na sobie futro ze skór białych anomenów, a jego oddech i oddech siwego konia zamieniały się na mroźnym powietrzu w parę.

2»

Vanye wiedział, że powinien spać klacz, poczuł jednak dziwne odrętwienie, jak gdyby przebudziwszy się z jednego

snu został cisnięty w sam środek następnego.

Spojrzał na opaloną kobiecą twarz skrytą pod futrzanym kapturem i ujrzał włosy oraz brwi jasne jak zimowe słońce w południe, a oczy szare jak obłoki na wschodzie.

- Witaj - pozdrowiła go z dziwnym, łagodnym akcentem. Ujrzał, że u siodła, poniżej kolana, przytroczone ma wielki miecz ze złotą rękojeścią wyrzeźbioną na kształt smoka i że uprząż jej konia jest korijskiej roboty. Nie miał już wątpliwości, kto to, gdyż szczególnie te wymieniały pieśni, które o niej śpiewano, oraz księga Yla.

- Jadę na północ - oznajmiła swym cichym, charakterystycznym głosem. - Ty najwyraźniej w przeciwną stronę. Ale słońce za chwilę zajdzie, pojedę więc z tobą przez chwilę.

- Znam cię - stwierdził wtedy.

Jasne brwi uniosły się w górę.

- Czyś przybył tu, aby mnie ścigać?

- Nie - odparł. Lód spełznął mu z serca w dół. Nie był pewien, na jakie pytanie odpowiedział i dlaczego w ogóle to uczynił.

- Jak cię zwa?

- Nhi Vanye, ep Morija.

- Vanye to nie morijskie imię.

Poczuł ukłucie dawnej dumy. Imię było korijskie, z klanu jego matki - oznaka jego nieprawego pochodzenia. Jednakże rozprawiać z nią na jakikolwiek temat byłoby szaleństwem. To, co widział na szczycie wzgórza, było zbyt straszne, by chciał o tym pamiętać.

Zaczął sobie powtarzać, że głód, który uczynił go słabym, pomieszał mu również zmysły i że napotkał na opuszczonej drodze jakąś obcą kobietę ze znakomitego klanu i na skutek słabości, która odebrała mu rozum, zapomniał, w jaki sposób tu nadjechała.

Tak czy inaczej, musiała jednak być przynajmniej w połowie krwi aujalin. Dowodem na to były jej oczy i włosy. Nie miała więc duszy i mogła się czuć jak w domu w tej dotkniętej zarazą okolicy, pełnej martwych drzew i śniegu.

___ Znam miejsce - powiedziała - gdzie wiatr nie sięga.

Chodź ze mną.

Zawróciła swego wierzchowca na południe, w tę samą stronę, w którą kierował się Vanye, nie miał więc wyboru. Podążał za nią jak we śnie. Nadciągał zmierzch, przyspieszony przez zasłonę obłoków zasnuwających niebo. Upiorna biel Morgaine unosiła się gdzieś przed nim, lecz kopyta siwka odciskały w zamarzniętym śniegu wyraźny, materialny ślad.

Wyjechawszy z za wzgórza spłoszyli stadko jeleni jedzących jagody howanu nad strumieniem. Od wielu dni nie widział żadnej zwierzyny. Pomimo niezwykłości sytuacji sięgnął po łuk.

Zanim zdążył naciągnąć cięciwę, z wyciągniętej dłoni Morgaine trysnęło światło i rogacz padł martwy. Pozostałe zwierzęta rozpięchły się.

Morgaine wskazała na pagórki po ich prawej stronie.

- Tam jest jaskinia, w której można się skryć. Korzystałam już z niej kiedyś. Weź tyle mięsa, ile nam potrzeba. Reszta należy się pomniejszym myśliwym.

Skierowała się w górę zbocza. Wyjął myśliwski nóż

i zabrał się do roboty, choć nie było to po jego myśli. Na całym ciele zwierzęcia nie znalazł żadnej rany. Jedyne z nozdrzy wyciekło odrobinę krwi, która poplamiła śnieg. Czerwona plama przywołała z powrotem jego sen. Zadrżał. Nie miał chęci na zwierzynę zabita w taki sposób. Rogata głowa z szeroko rozwartymi oczyma wyglądała, jakby rzucono na nią czar - podobnie jak na niego. On również śnił sen, którego nie pragnął.

Spojrzał za siebie. Morgaine stała na grzbiecie wzgórza z wodzami siwka w ręku. Spoglądała na niego. Pierwsze płatki śniegu unosiły się na wietrze.

Wbił nóż w ciało jelenia, nie patrząc mu w oczy.

ROZDZIAŁ II

Ogień buzował u wejścia do płytkiej jaskini, tworząc ścianę ciepła pomiędzy nimi a sypiącym śniegiem. Vanye nie chciał jeść tego mięsa, lecz głodował już od wielu dni i był tak słaby, że stawy bolały go, a mięśnie drżały przy najmniejszym wysiłku. Był zmuszony siedzieć tam i wdychać zapach pieczeni. Gdy już była gotowa, zaoferowała mu kęs. Wyglądał nie inaczej niż jakikolwiek inny i pachniał tak rozpaczliwie dobrze, że jego pusty żołądek wziął górę nad skrupułami. Człowiek nie zgubi swej duszy przez kawałek dziczyzny, bez względu na to, w jaki sposób zwierzę zostało zabite.

Poza jaskinią panowała ciemność. Płatki śniegu z rzadka wpadały do środka poprzez barierę ognia, niesione gwałtownym powiewem. Konie stały razem wystawione na nieprzyjazne wiatry - czarnoksięski ogier i jego zwyczajna klacz. Gdy gorąca dziczyzna uspokoiła już drżenie członków Vanyego i przywróciła mu siły, nabrał porcję owsa z mizernych zapasów, wyszedł na zewnątrz i nakarmił sprawiedliwie oba wierzchowce. Siwek - pieśni mówiły, iż pochodził ze sławnej rasy z Baien - grzebał pyskiem w jego dłoniach z podobną ochotą i ciepłem jak drobna klacz. Piękno siwego ogiera rozgrzało mu serce. Przez chwilę zapomniał o czarach, pogłaskał jasną grzywę, spojrzał w wielkie oczy o jasnych rzęsach i pomyślał (gdyż Nhi słynęli z hodowli koni), że pragnąłby bardzo mieć potomstwo tego pięknego zwierzęcia w swej stadninie. To był jeden z zaginionej rasy olbrzymich, siwych koni hodowanych przez Wielkich Królów Anduru. Teraz jednak nie było już Wielkich Królów, jedynie panowie klanów, i cała rasa koni zaginęła wraz z innymi wspaniałościami Anduru.

Dziś z potężnych królów ostał się jedynie pan Hjemuru, zupełnie inny niż dzielni, promienni królowie złotego Korissith i Baien, którzy należeli do znakomitego rodu stojącego ponad klanami. Coś dawniejszego i bardziej mrocznego przebudziło się do życia, gdy nastał pan Hjemuru. Nie tylko armia poniosła śmierć w Irien.

Zadrżał na lodowatym wietrze pod wpływem tej myśli.

Powrócił do ogniska, gdzie skupiało się wszystko, co było nienaturalne tej nocy. Morgaine siedziała tam owinięta w śnieżnobiałe futra obok uprzęży swego wierzchowca i smoczego miecza połyskującego w zwyczajnej prostej pochwie. Panowało pomiędzy nimi milczenie równie głębokie, jak między starymi przyjaciółmi.

Wirujące na wietrze płatki śniegu wpadały do wnętrza jaskini. To była potężna wichura. Dopiero teraz zdał sobie

sprawę z tego, że zginałby tej nocy bez schronienia, osłabły z głodu. Gdyby nie spotkanie na drodze, upolowany jelen, zaoferowane mu schronienie w jaskini, znalazłby się na otwartej przestrzeni w chwili, gdy nadciągnęła zamieć. Bardzo wątpił, żeby jego wątłe siły pozwoliły mu przetrzymać tę zawieruchę.

Przy wejściu leżało nagromadzone drewno. Wolał nie wiedzieć, w jaki sposób je ścięto. Ważne, że zapewniało im ciepło. Gdy wstał, żeby dołożyć do ognia i utrzymać barierę chroniącą ich przed nieustępliwym wiatrem, ujrzał, że Morgaine przyklękła z tyłu jaskini, szukając czegoś pod stosem małych kamieni.

- Korzystałam już z niej przedtem - powiedziała mu.

Spojrzał na nią z niepewną ciekawością i ujrzał, że wyciągnęła spod kamieni skórzany worek, cały sztywny i zbutwiały. Włożywszy do niego rękę, wyciągnęła na zewnątrz tylko proch. Cofnęła gwałtownie dłoń, jakby dotknęła czegoś obrzydliwego i wytarła palce o ziemię. Na jej ramieniu dostrzegł krwawą smugę, wyglądającą spod czarnej skóry rękawa, gdy wysunęła rękę spod osłony płaszcza. Dotknęła jej swą czystą dłonią.

Usiadła drżąc, jakby z jakiegoś powodu ogarnęła ją rwoga. Przykucnął przy niej, zdziwiony. Poczul nawet litość. Zdziwiło go, jak zdążyła się skaleczyć w tak krótkim czasie - lecz nie, rana wyglądała na starą. Zaczynała już wysychać. To musiało się stać, gdy był zajęty oprawianiem jelenia.

- Jak długo? - zapytała. - Jak długo mnie nie było?

- Przeszło sto lat - odparł.

- Myślałam..., że mniej.

Poruszyła dłonią, spojrzała na skaleczenie i potarła je.

Najwyraźniej postanowiła nie zwracać na nie uwagi. Było bolesne, lecz nie na tyle głębokie, aby być groźne.

- Zaczekaj - powiedział, sięgając po swoją torbę.

Z chęcią opatrzyłby jej ranę. Uważał, że był jej winien przynajmniej tyle, w zamian za udzielenie schronienia, nie zgodziła się jednak. Uparła się, że zrobi to sama. Usiadł i obserwował z niepokojem, jak wyciągnęła spośród swoich rzeczy małe metalowe pojemniki i inne nieznanne mu przedmioty. Opatrzyła ranę nie bandażując jej. Gdy skończyła, zranienie pokryte było różowawą błonką. Krwawienie ustało. Lekarstwa aująłów - uznał. Być może nie mogłaby znieść jego leków, lub też bała się, że były poświęcone i mogłyby jej zaszkodzić.

- Gdzie się tak zraniła? - zapytał. Rana wyglądała, jakby była zadana toporem lub mieczem, przy tym znajdowała się tak wysoko na ramieniu, iż nie mógł sobie wyobrazić, jak mogłaby skaleczyć się sama.

- Aenorowie |- odparła. - Pan Ris Heln, syn Gyra, i jego ludzie.

Heln leżał w grobie już od niemal stu lat. Vanye poczul mdłości. Zrozumiał teraz, skąd wziął się wyraz twarzy Morgaine. Uciekając przed Aenorami wpadła prosto na niego. Sto lat - sądząc po jej ranie - minęło w mgnieniu oka. To było szaleństwo. Skłonił się twarzą ku ziemi i wycofał, zadowolony, że może ją pozostawić jej własnym myślom. r

Był tak zmęczony jazdą i przygnębiony, że przestał się

już obawiać magii czy dzikich zwierząt. Owinął się w swój cienki płaszcz i zwrócił ku skalnej ścianie, by zasnąć. Po chwili obudził go trzask nowej szczapy drewna dołożonej do ognia. Nie zdążył się wyspać. Ujrzał, jak Morgaine strzepuje śnieg z płaszczu i kładzie się z powrotem na miejsce. Skierowała wzrok na niego i spojrzała mu w oczy, nie mógł więc udać, że śpi.

— Czyś wypoczął? - zapytała. Jej niezwykle korijski akcent pochodził sprzed wielu lat. Przebiegł go dreszcz, silniejszy niż ten spowodowany wiatrem czy chłodem skały za jego plecami.

— Co nieco - odparł. Zmusił zesztyniałe mięśnie, aby uniosły go w górę. Często sypiał w zbroi, a niekiedy bywało mu jeszcze zimniej, ostatnio jednak spędził zbyt wiele czasu w siodle i mało miał odpoczynku, zaś poprzedniej nocy nie zaznał go w ogóle.

— Vanye - powiedziała.

— Pani?

— Podejdz do ognia. Chcę cię o coś zapytać.

Uczynił to, choć niechętnie. Usiadł przy ognisku owinięty w wytarty płaszcz i rozkoszował się ciepłem. Morgaine zawięła się w futro, z twarzą do połowy ukrytą w cieniu i spojrzała mu w oczy.

- Heln odkrył tę kryjówkę - powiedziała. - Powie[^] dział mu o tym myśliwy, którego nie zabiłam. Całe Aenor-Pywn chwyciło za broń. Wysłali przeciwko mnie armię... - roześmiała się krótko. |- Całą armię, żeby zdobyć tę małą jaskinię. Rzecz jasna wiedziałam, że nadchodzą. Jakże by inaczej? Wypełnili sobą całą dolinę na południu. Uciekłam natychmiast, jednak niewiele brakowało, by mnie dostali. Odważyli się nawet zapuścić do doliny Kamieni, musiałam więc uciec tam, gdzie nie mogli - czy nie chcieli - za mną podążyć. Czekałam tam, aż ktoś mnie uwolni. Nie postarzałam się. Nie wiem nic o latach, które minęły. Wszystko, co tu pozostawiłam, zamieniło się w proch. Gdyby nie to, koniom i nam byłoby lżej dziś w nocy. Boisz się mnie...

To była prawda. Naga prawda. W ustach mężczyzny, wroga, takie słowa byłyby obrazą, lecz jej obawiał się i nie wstydział się tego. Serce biło mu boleśnie przy każdym spojrzeniu jej szarych nieludzkich oczu. Gdyby nie pewność, że na dworze zginie, uciekłyby od tego schronienia i jej towarzystwa. Na zewnątrz jednak szalała wichura. Zimowy wiatr zawodził wściekle. Vanye znał góry. Czasami śnieg padał tu bezustannie całymi dniami. Ludzie pozbawieni schronienia ginęli. Odnajdywano ich na wiosnę, powykręcanych i sztywnych, w topniejącym śniegu wraz z ciałami koni czy jeleni, których z jakiegoś powodu nie odnalazły wilki.

- Słowa, które wymienimy, nie mogą uczynić szkody - oznajmiła, częstując go winem z własnej manierki. Zawahał się, czy je przyjąć, lecz noc była zimna, a już wcześniej dzielił z nią jadło. Wypił trochę i zwrócił jej naczynie. Zanim się napiła, wytarła starannie szyjkę, po czym zamknęła manierkę.

- Powiedz mi, błagam, jak kończy się opowieść o mnie? Nie mogłam się tego dowiedzieć. Co się stało z ludźmi, których znałam? Co takiego uczyniłam?

Spojrzał jej w oczy, oczy najbardziej przeklinane ze wszystkich nieprzyjaciół ANDUR-KURSHU, zdradzieckiej przewodniczki, która wysłała dziesięć tysięcy ludzi na śmierć i sprowadziła ruinę na połowę Środkowych Królestw. Te słowa nie chciały mu przejść przez gardło. Mógłby z łatwością powiedzieć to wszystko o niej komuś innemu, lecz w jej jasnej i szczerzej twarzy było coś tak otwartego, że przekleństwo zamarło mu na ustach.

Nie znalazł żadnych słów.

- Nie mogło to być szczęśliwe zakończenie - rzekła - skoro nie chcesz mi o tym powiedzieć. Jednak opowiedz mi, proszę, Nhi Vanye.

- Nie ma wiele do dodania - oświadczył. - Po Irien, po tak wielkiej klęsce Andur-Kurshu, Hjemur zdobyło Koris i wszystkie ziemie na wschód od Alis Kaje. Ciebie nie można było odnaleźć po tym, jak uciekłaś przed pościgiem Aenorów. Zniknęłaś. Wszyscy sojusznicy, jacy ci jeszcze zostali, poddali się, a ci, którzy poszli za tobą, zginęli. Mówią, że za twoich rządów w południowym Korisie były dostatnie wioski i grody. Teraz nie ma tam nic. To pustkowie, takie jak te góry. Samo Irien to przeklęta ziemia i nikt tam nie chodzi, nawet ludzie z Hjemuru. Krażą słuchy - dodał - że Thiye, który teraz tam rządzi, to ten sam człowiek, który panował wtedy. Nie wiem, czy to prawda. Pan Hjerńuru zawsze zwał się Thiye, syn Thiyego. Jednakże we wsiach powiadają, że to ten sam człowiek, który od stu lat zachowuje młodość.

__ To się da zrobić - odparła cichym, smutnym głosem.

- Oto zakończenie twojej historii - oznajmił - śmierć wszystkich.

Wyrzucił ze swego umysłu to, co powiedziała o Thiyem. Przyszło mu do głowy, iż ona sama była żywym dowodem na to, że da się zrobić rzeczy, o których nie chciał wiedzieć. Był zmuszony dzielić z nią schronienie, nie pragnął jednak dzielić niczego więcej.

Od tej chwili pozostawiła go w spokoju i nie zadawała już więcej pytań. Przeszedł na drugą stronę ogniska i ponownie zwinął się w kłębek, by zasnąć.

Nadszedł posępny ranek, wciąż sypało śniegiem. Jednak wkrótce zaczęło się przejaśniać, co pocieszyło Vanyego. Bał się, że będzie to jedna z tych zadymek, które ciągnęły się całymi dniami, i na ten czas zostanie uwięziony tutaj w niepożądanym towarzystwie, podczas gdy nieszczęsne konie na zewnątrz zamarzną na śmierć.

Morgaine na śniadanie upiekła nad ogniem kawałki dzicyzny. Dała mu też trochę wina. Odkrawał plasterki gorącego mięsa nożem, opierając je o kciuk. Patrzył z rozbawieniem, jak ona, bardziej wybredna, pokroiła porcję niezdarnie na mniejsze części, oczyściła z tłuszczu każdą z nich, obejrzała dokładnie, a potem dopiekała jeszcze i zjadała nadziane na czubek sztyletu małe kaski, z którymi łatwo było sobie poradzić.

Następnie resztę zawinęła w prostokątny kawałek skóry, który wyjęła w tym celu spośród swoich rzeczy.

- Zostawiasz tu coś? - zapytał. - Czy zabierasz wszystko?

Co oznacza ta biała wstążka? - odpowiedziała py-

taniem.

Przełknął ostatni kęs dziczyzny, który nagle utracił smak w jego ustach. Poczul się, jakby miał za chwilę zwrócić wszystko, co zjadł i wypił.

- Jestem ilinem - odparł.

- Dałam ci schronienie i jadło - stwierdziła. - Chya z Korisu przyznali mi prawa członka klanu, a także uprawnienia pana, ilinie.

Skłonił się nisko, pochylając głowę aż ku rękom spoczywającym na ziemi. To była prawda. Morgaine, morderczyni armii, miała te prawa jako jedyna wśród kobiet. Był wściekły na siebie, choć żołądek ścisnął mu strach. Nie pomyślał o tym, ponieważ była kobietą. Poszukał schronienia przy jej ognisku, jak gdyby była zwykłą wieśniaczką, która nie może zażądać służby ilina.

- Proszę o zwolnienie - powiedział, nie zmieniając pozycji. Miał do tego prawo. Taka prośba nie przynosiła wstydu. Odważył się spojrzeć w górę na nią. - Mam kuzynów w Aenor-Pywn. Miałem tam pojechać, pani. Wygnano mnie ze wszystkich prowincji Morija. Nie odważę się tam wrócić. Nie mogę służyć nikomu pomocą - zdjął hełm z głowy (założył go, gdyż pragnął wyjść na zewnątrz) i zrobił coś jeszcze, czego nie czynił nawet kładąc się spać - rozsznurował pod brodą rzemienie swojego czepeca i zsunął go odsłaniając haniebnie ostrzyżoną głowę. Jasnobrązowe włosy opadły mu swobodnie na uszy i czoło.

- Jestem wyjęty spod prawa przez swój klan. Nhi i Myya polują na mnie. Dlatego zostałem ilinem. Mogę znaleźć schronienie jedynie w Aenor-Pywn, a sama przyznałaś, że tam nie możesz się udać.

- Z jakiego powodu ci to uczynili? - zapytała. Zrozumiał, że udało mu się wstrząsnąć nawet samą Morgaine.

- Za mord na własnym bracie - nikomu dotąd tego nie powiedział. Unikał ludzi, nawet domostw wieśniaków. Słowa przeszły mu przez usta z trudnością. - To on zmusił mnie do walki, pani, ale zabiłem brata - przyrodniego - a on był Myya. Tak więc dwa klany poprzysięgły mi zemstę. Jestem wdzięczny za schronienie, lecz żądanie ode mnie służby nie przyniesie ci korzyści. Wymień jakąś sensowną przysługę, a wyświadczę ci ją w zamian. Nie możesz tu pozostać. Twoje imię jest przeklęte we wszystkich grodach Andur-Kurshu i nie oszczędzi cię nikt, kto o tobie usłyszy. Posłuchaj. Bez względu na to, kim jesteś, postąpiłaś ze mną wielkodusznie. Udzielę ci w zamian dobrej rady. Droga wiodąca stąd na południe prowadzi przez Aenor. Tam właśnie pragnę się udać. Przeprowadzę cię jakoś przez te ziemie i zawiadę bezpiecznie do krajów leżących na południe od Aenoru, gdzie zawsze jest ciepło, do Eriel, na równiny Lun. Tamtejsi ludzie są dzicy, ale przynajmniej nie poprzysięgli ci zemsty. Będiesz tam bezpieczna. Usłuchaj mnie. Pozwól mi w ten sposób spłacić mój dług. To wszystko, co mogę dla ciebie zrobić i uczynię to z chęcią, nie żałując niczego.

__ Nie udzielam ci zwolnienia - odparła. Miała do tego prawo.

Zaklął szpetnie z rozpaczą w głosie, po czym zostawił ją, wyszedł na zewnątrz i położył ręce na uździe swego konia. Miał teraz czas, aby się zastanowić nad świętą przy-

sięga, jaką złożył jako ilin, oraz nad tym, że jej złamanie nie było błahą sprawą dla jego honoru, a zwłaszcza dla jego duszy. Oparł dłoń o szorstki pysk gniadej klaczy, a głowę o jej ciepłą szyję. Stał tam, nie zważając na to, że dygocze z zimna. Byłoby mu lżej, gdyby mógł umrzeć tu na wietrze, okradziony z ciepła, po prostu zapadając się w znieczulający śnieg, nietknięty przysięgami aujalów.

Świeży śnieg zachrząścił pod butami Morgaine. Wyszła na zewnątrz i stanęła przy nim oczekując, aż podejmie decyzję - Czy zgubi swą duszę łamiąc przysięgę, czy też narazi się, przyjmując służbę u takiej, jak ona. Jedyną rzeczą, która pozostawała człowiekowi, który tak czy inaczej był zgubiony, było życie, a z pewnością będzie żył dłużej, jeśli ucieknie, niż jeśli pozostanie z Morgaine Śnieżnowłosą. Nagle przypomniał sobie o jeleniu. Poczul skurcz w okolicy pleców, jak gdyby zamierzała odebrać mu życie. Przed tym nie zdoła uciec. Przed inną bronią, być może, ale nie przed czymś, co zabiło jelenia, nie pozostawiając żadnych śladów.

- To, czego żądam - odezwała się - jest zgodne z prawem.

- Rok u twego boku - sprzeciwił się - będzie zapewne ostatnim w moim życiu, a poza tym napiętnuję mnie w Andur-Kurshu.

- Muszę przyznać, że to prawda, lecz moje własne życie pewnie też nie potrwa dłużej, nie mam więc powodu litować się nad tobą.

Wyciągnęła rękę po jego dłoń. Podał jej ją. Wyjęła z pochwy honorowy miecz z rękojeścią z kości słoniowej i cięła głęboko, lecz niezbyt szeroko. Na mrozie ciemna krew wypływała powoli. Dotknęła rany ustami, po czym on uczynił to samo. Żołądek wykręcił mu się z odrazy pod wpływem słonego, ciepłego smaku. Morgaine weszła z powrotem do środka i przyniosła popiół, aby powstrzymać krwawienie. Znak klanu Chya wypisany jego krwią i popiołem z jej ogniska na jego dłoni - symbole starożytnego rytuału przyjęcia na służbę.

Skłonił się czołem do palącego śniegu. Lód ugasił płomień w jego dłoni i sprawił, że pulsowanie ustało.

Morgaine miała teraz wobec niego pewne obowiązki. Musiała zadbać, by nie głodował ani on, ani jego koń. Majątek Morgaine był bardzo mizerny. Nie miała dworu, który mógłby zapewnić schronienie im obojgu, a klan, pod którego znak go przyjęła - jego rodzony - zamiast chronić, mógł go zabić.

Ze swej strony Vanye musiał tylko słuchać jej rozkazów. Nie obowiązywało go teraz żadne inne prawo. Mogła mu nawet rozkazać walczyć przeciw ojczyźnie lub kuzynom, choć wykorzystywanie ilina w tak okrutny sposób nie przynosiło zaszczytu jego panu. Musiał walczyć z jej nieprzyjaciółmi, dbać o jej ognisko i czynić wszystko, czego od niego zażąda, zanim nie upłynie rok od dnia jego przysięgi.

Mogła też wyznaczyć mu jakieś zadanie do wypełnienia. Musiałby wtedy starać się je wykonać nawet po upływie roku, tak długo, jak będzie potrzeba. To również było szczególnie okrutne, niemniej zgodne z prawem.

- Czego żadasz? - zapytał jej. - Czy pozwolisz, abym

cię powiódł na południe?

__jedziemy na północ - odrzekła.

__ Pani, to samobójstwo! - krzyknął. - Dla ciebie i dla mnie.

__ Jedziemy na północ - powtórzyła. - Chodź, opatrzę ci rękę.

__ Nie - odparł. Nabrał w garść śniegu, aby zatamować krwawienie i przycisnął zranioną dłoń do ciała. - Nie pragnę twoich lekarstw. Dotrzymałem przysięgi. Pozwól mi samemu zadbać o siebie.

__ Nie nalegam - powiedziała.

Przyszła mu do głowy inna straszniejsza myśl. Ponownie pokłonił się jej na znak, iż pragnie wyrazić życzenie, co opóźniło jej powrót do jaskini.

- Co jeszcze? - zapytała go.

- Jeśli umrę, jesteś zobowiązana pochować mnie. Nic chcę tego.

- Co... nie chcesz być pochowany?

- Nie według zwyczajów aųjalów. Wola już, żeby zajęło się tym ptactwo i wilki.

Wzruszyła ramionami, jak gdyby w ogóle nie poczuła się urażona.

- Najpewniej ptactwo i wilki zajmą się nami obojgiem, zanim to się skończy - stwierdziła. - Cieszę się, że tak na to patrzysz. Prawdopodobnie nie będę miała czasu na ceremonie. Opatrz ranę i zbierz nasz ekwipunek. Wyjeżdżamy stąd.

- Dokąd?

- Tam, dokąd rozkażę.

Skłonił się z ciężkim sercem, widząc, że nie zdoła jej przekonać. Pragnęła umrzeć. Było czystym okrucieństwem w takiej sytuacji żądać służby ilina. Według zwyczaju jeśli człowiek przeżył rok służby, zostawał oczyszczony ze swych zbrodni i hańby. Uważano bowiem, że Niebiosa wymierzyły mu już wystarczającą karę za grzechy.

Wielu ilinom nie udawało się przeżyć. Uznawano wtedy, że Niebiosa wymierzyły najwyższą karę - Traktowano to jak honorowe samobójstwo.

Opatrzył rękę swoim sposobem, lecz ból uparcie nie chciał ustąpić. Następnie zebrał wszystkie pakunki, swoje i jej, i osiodłał oba konie. Niebo zaczął się przejaśniać. Słońce oświecało go podczas pracy. Promienie odbijały się w złotej rękojeści miecza, który zawiesił u siodła siwka. Smok łyapał na niego okiem. Jego szeroko rozdziawiona paszcza trzymała klingę miecza w zębach, rozpostarte nogi stanowiły gardę, a zakręcony ku tyłowi ogon osłaniał palce. Obawiał się choćby go dotknąć. To nie była korijska robota. Bez względu na to, czyje ręce wykonały nie ozdobioną pochwę, to było obce. Niezwykle. Gdy odważył się w swej ciekawości wysunąć straszliwy przedmiot choć odrobinę z pochwy, dojrzał dziwne litery na klindze, która przypominała szklaną taflę. Samo jej dotknięcie groziło skaleczeniem. Nigdy nie widział klingi wykonanej z podobnego materiału, ta jednak wydawała się raczej groźna niż krucha. Gdy usłyszał za sobą kroki Morgaine, szybko schował miecz do pochwy z poczuciem winy.

- Zostaw to - powiedziała ostrym tonem. Lecz gdy spojrział na nią przepraszącą, odezwała się do niego ła-

godniej: - To dar od jednego z moich towarzyszy. Taki drobiazg. Robota sprawiała mu przyjemność. Miał zdolności do takich rzeczy. Jeśli jednak nie lubisz wyrobów qujalów, trzymaj ręce z dala od niego.

Skłonił się, unikając jej spojrzenia, i zajął własnym ekwipunkiem. Przywiązał nieliczne przedmioty, które posiadał, z tyłu siodła.

Miecz zwał się "Odmieniec". Pamiętał to z pieśni. Zastanowił się, jak kowal mógł nadać mieczowi tak pechowe imię, nawet jeśli był aujalem. Jego miecz był skromniejszej roboty, ze stali, dobrze naostrzony, lecz bezimienny jak przystało broni zwykłego żołnierza czy pańskiego bękartka.

Zawiesił swój miecz przy siodle, wskoczył na konia i czekał na Morgaine, która zrobiła to niewiele wolniej.

- Czy mnie posłuchasz? - po raz ostatni spróbował przemówić jej do rozsądku. - Na północy nie będziesz bezpieczna. Pojedźmy na południe, do Lun. Tam żyją plemiona, które nigdy o tobie nie słyszały. Mogłabyś wśród nich znaleźć sobie miejsce. Słyszałem opowieści, że na dalekim południu leżą miasta. Zaprowadzę cię tam. Ocalisz w ten sposób życie. Na północy wytropią cię i zabiją.

Nawet mu nie odpowiedziała. Skierowała tylko siwka w dół zbocza.

. | . . .

.
|

.....

ROZDZIAŁ III

W nocy, gdy śnieg przestał sypać, wilki dobrały się do zabitego jelenia. Cały obszar wokół ogryzionych kości pokryty był śladami ich łap. Niektóre z odcisków były zdumiewająco wielkie. Vanye spojrzął na miejsce, gdzie ich własne ślady przecinały zdeptany teren, i dostrzegł odciski olbrzymich łap. Był pewien, że to ślady bestii z korijskich lasów, przypominających raczej psa niż wilka.

Widok tej jatkii rzucił cień na poranek, choć śnieg lśnił w słońcu z oślepiającą jasnością, która porażała zmysły i zakrywała wszelką grzeszną szpetotę blaskiem lśniącym poci błękitnym niebem. Jednakże welon ten został zbrukany. Za nimi podążała śmierć na czterech łapach. Nie obawiał się zbyt wielu zwyczajnych wilków. Rzadko atakowały ludzi, chyba że podczas najsurowszych zim. Jednakże bestie z Korisu były zupełnie inne. Zabijały. Zabijały to, czego nie pragnęły zjeść - zboczenie natury.

Morgaine również dostrzegła ślady, lecz nie okazała zaniepokojenia. Być może, pomyślał, w jej czasach ich nie było, później dopiero Thiye nauczył się znieprawiać naturę i nadawać jej wybrane przez siebie formy. Być może magia jest teraz o wiele potężniejsza niż w czasach, które pamiętała, i Morgaine w ogóle nie zna niebezpieczeństwa, ku któremu zdążają. Albo też - i to była gorsza myśl - on sam nie pojmuje w czyim towarzystwie jedzie tego jasnego poranka. Bał się ze względu na jej złą sławę - to było naturalne. Jednakże, pomyślał, być może bał się w niewystarczającym stopniu. Potrafiła zabijać nie dotykając i nie zadając rany. Nie mógł zapomnieć spojrzenia szeroko otwartych oczu jelenia, który zgodnie z wszelkimi prawami

natury nie powinien być martwy.

Na szlaku leżała ogryziona kość. Na ten widok jego wierzchowiec spłoszył się.

Wjechali z powrotem do doliny Kamieni poprzez zamrznięty strumień. Lód, który wciąż jeszcze był cienki, pękał pod nimi. Następnie pojechali krętym szlakiem prowadzącym obok wielkich szarych skał w cieniu wzgórza zwanego Grobowcem Morgaine. Mimo że padał śnieg, powietrze pomiędzy dwiema rzeźbionymi kolumnami migotało jakby unosiło się nad rozgrzanyymi skałami. Gdy przejeżdżali, Morgaine spojrzała w tamtym kierunku. Na jej twarzy pojawił się wyraz niezwykłej odrazy. Vanye zaczął rozumieć, iż pobyt tam nie był dla niej miły.

- Kto cię uwolnił? - zapytał nagle.

Spojrzała na niego ze zdziwioną miną.

__ Mówiłaś, że ktoś musiał cię stamtąd uwolnić. Co to za miejsce? Jak byłaś tam uwięziona? I kto cię uwolnił?

__ To jest Brama - odparła. W jego umyśle znowu błysnęła upiorna wizja białego jeźdźca na tle słońca. Trudno zapamiętać coś równie szalonego. Wspomnienie to zanikło w pamięci jak niepożądane sny, chroniąc przed pomieszaniem zmysłów.

- Jeśli to Brama - zapytał - to w takim razie skąd przybyłaś?

- Byłam pomiędzy, zanim coś nie zakłóciło pola. Tak to jest z Bramami, które nie są nastawione. Są jak płytki sadzawki czasu, nie wiadomo tylko jak płytki. Zostałam wyrzucona z powrotem na ten brzeg.

Spojrział raz jeszcze na Bramę. Nic z tego nie rozumiał. Jednak było to równie dobre wytłumaczenie tego, co widział, jak każde inne.

- Kto cię uwolnił? - powtórzył.

- Nie wiem - odrzekła. - Wjechałam tam z pościągami za plecami, minął mnie cień i wyjechałam z powrotem. To było jak mrugnięcie oczyma. Nie - nawet nie to. Po prostu byłam pomiędzy. Było ono jednak grubsze, niż jakiegokolwiek pomiędzy, przez które przejeżdżałam. Myślę, że to ty... byłeś tym, który mnie uwolnił. Nie wiem jednak, jak to się stało, i nie sądzę, żebyś ty wiedział.

- To niemożliwe - odparł. - Nawet nie zbliżyłem się do Kamieni.

- Nie można być niczego pewnym. Pamięć zawodzi.

Odwróciła głowę. Musiał jechać >a nią, ponieważ ścieżka u podstawy wzgórza była wąska. Widział przed sobą biały, kołyszący się ogon siwka. Morgaine, otulona w białe futro, odwróciła się do niego plecami, ucinając dyskusję. Bliskość konstrukcji, którą nazywała Bramą, rzucała cień na jego myśli. W tym przeklętym miejscu mógłby swobodnie złamać przysięgę. Wiedział, że jeśli spadzie rok przy Morgaine, z pewnością ujrzy i usłyszy wiele rzeczy, które nie spodobałyby się prawemu i pobożnemu człowiekowi, jakim był niegdyś.

Patrzył na riasę, jak jechała tą starą, bitą drogą, prowadzącą pomiędzy niewielkimi monolitami, i nawiedziła go nagle nieprzyjemna wizja. Pomyślał, że scena, którą ogląda, to jakiś rodzaj anachronizmu. Morgaine przecież rzeczywiście pochodziła z dawnych czasów i wiadomo było, że aujale choć źli, lecz mądrzy, potrafili rzeczy, których ludzie

na szczęście dziś już zapomnieli. Nie potrzebowali środków transportu, ani przedmiotów, które śmiertelni używali jako broni. Aby wypełnić swe życzenia, praktykowali czarno-księstwo, i to, czego sobie zażyczyli, urzeczywistniało się. Wreszcie posunęli się jeszcze dalej w złem i doprowadzili do swej zguby.

Jednak Morgaine jechała, żywa i potężna, poprzez ruiny budowli, które mogła znać takimi, jakimi były niegdyś, zaś poniżej jej kolana zwisał miecz - dzieło zapomnianej sztuki.

Powiadano, że Thiye, syn Thiyego, był nieśmiertelny, że odnawiał swoją młodość, czerpiąc z życia innych, i że nigdy nie umrze, dopóki będzie mógł znaleźć nieszczęśników, z którymi będzie zdolny to czynić. Zwykł dotąd kpić z tych bajań. Wszyscy byli śmiertelni.

Morgaine jednak nie umarła, choć upłynęło ponad sto lat, i nadal była młoda. Łatwo pogodziła się z tym, że upłynęło tyle czasu. Być może zaznała już dłuższych okresów snu.

Wyżej położone przełęczce były zasypane śniegiem. Oba wierzchowce przebijają się przez zaspy z wielkim wysiłkiem! - .!- ,";o,> nosowali się naprzód bardzo powoli. Musieli często przystawać, by zwierzęta mogły wypocząć. Jednakże po południu zaczęło wyglądać na to, że przebili się już przez najgorsze przeszkody i nie napotkali przy tym żadnych Myya, ani nie widzieli śladów dzikich zwierząt.

Mieli szczęście. To nie mogło jednak trwać długo.

— Pani - powiedział podczas jednego z odpoczynków. - Jeśli nadal pojedziemy tą drogą, dotrzemy do doliny Morij Erd, a gdy się już tam znajdziemy, zapewne nie przywitają nas mile. Mój koń pochodzi z tego kraju, którego pan - Gervaine - jest Myya.; Złożył on uroczystą przysięgę, że zatknie moją głowę na pice, podobnie jak inne części ciała. W tej okolicy nie czeka ciebie ani mnie nic dobrego. ..":

Uśmiechnęła się lekko. Od dnia, gdy opuścili dolinę Kamieni i wjechali pomiędzy rzucające naturalny cień sosny i poszarpane turnie, była w lepszym humorze.

- Skręcimy przedtem na wschód, w stronę Korisu.

- Znasz dobrze drogę, pani - rzekł ponurym głosem. - Czemu zwabiłaś mnie na przewodnika?

- Skąd bym się inaczej dowiedziała, że Gervaine jest panem Morij Erd? - odparła. Nie przestała się uśmiechać, lecz jej oczy miały poważny wyraz. - Poza tym nie powiedziałam, że masz służyć jako przewodnik, ilinie.

- A więc jako kto?

Nie odpowiedziała mu. Zwykle tak postępowała, gdy zadawał pytania, które się jej nie podobały. Osoby o bardziej ludzkiej krwi mogłyby się sprzeczać, spierać, dyskutować. Morgaine po prostu milczała, a z tym nie sposób było walczyć. Pozostawało tylko uczucie dogłębnej bezsilności. .••.?!.;| '|.'•|

Wspiał się z powrotem na siodło. Zauważył, że od tej chwili zaczęli się kierować bardziej na wschód, w stronę wschodniego Korisu, kraju, który Thiye trzymał w swych rękach najsilniej. : | : , •

Przed zmierzchem ponownie znaleźli się w lesie sosnowym. W miarę jak zapadała noc, bure chmury coraz czę-

ściej zasłaniały księżyc, jechali jednak naprzód. Obawiali się kolejnej śnieżycy. Bali się również o konie, gdyż w julkach pozostało im już niewiele owsa. Pragnęli wykorzystać okres lepszej pogody, by dotrzeć jak najprędzej do niżej położonych okolic, zanim zima nie zamknie w swym uścisku leżących przed nimi przełęczy. Jasny księżyc oświetlał im drogę.

Na koniec jednak warstwa chmur stała się gęsta, a szlak niemal nie do przebycia, gdyż ciasno rosnące drzewa zakrywały niebo nastroszonym cieniem. Powalony pień, leżący przy drodze, obiecywał im przynajmniej suche miejsce na spoczynek oraz drewno na rozpalenie ogniska. Zatrzymali się. Vanye odrąbał drobne gałęzie i ułożył je w stos o kształcie odpowiednim dla ogniska z mokrego drewna. Nie dojrzał, w jaki sposób rozpalila ogień. Odwrócił się, aby zebrać więcej drewna, a gdy z powrotem spojrział w tamtą stronę, mały jęczyczek płomienia świecił już wśród wilgotnych gałęzi. Ze względu na mokre drewno płomieniowi towarzyszył gęsty dym, lecz ogień nie gasł. Morgaine pochylała się, aby zapewnić osłonę, a on ostrożnie dokładał drew.

- Jest w tym pewne niebezpieczeństwo - ostrzegł Morgaine, przyglądając się jej uważnie ponad małym ogniskiem. - W okolicy mogą być ludzie, którzy dostrzegą światło lub poczują dym, a w tych lasach wszyscy są sobie wrogami. Nie chcę się spotykać z nikim, kogo mógłby przyciągnąć ten ogień, lepiej więc niech będzie mały i nicl płonie przez całą noc.

Otworzyła dłoń i pokazała mu w słabym świetle czarnej, lśniącej przedmiot, dziwaczny i brzydki. Poczuli odrazę. Nie potrafił określić dlaczego, wiedział jedynie, że nie był on wykonany ludzką ręką i gdy spoczywał tak w jej szczupłej, jasnej dłoni, była w nim jakaś wyjątkowa szpetota.

- To wystarczy na bandytów i dzikie zwierzęta - oznajmiła. - Ufam też, że umiesz się posługiwać mieczem i łukiem. Ilini, którzy tego nie potrafią, nie żyją długo. Skinął w milczeniu głową na znak grozy.

- Przynieś nasze rzeczy - rozkazała.

Gdy to zrobił, wymiótł śnieg z pnia drzewa i położył na nim wszystko, co mogła uszkodzić wilgoć. Morgaine zaczęła przygotowywać dla nich posiłek z niemal całkowicie zamrożonego mięsa, on zaś wydzielił nieszczęsnym koniom odrobinę z pozostałego owsa. Szturchnęły go pyskami w boki, przymlając się żałośnie, aby dał im resztę, lecz z głębokim żalem zamknął przed nimi swe serce. Stracił apetyt na dziczyznę. Jako Kurshin, nie był zdolny jeść, gdy jego zwierzęta cierpiały głód. Człowieka sądziło się po tym, jak dba o swoje konie. Gdyby on jadł owies, z chęcią oddałby im swoją część, a sam głodował.

Podszedł do Ognia i usiadł przy nim ze skwaszoną miną, usiłując rozruszać rękę zeszywniałą od mrozu.

- Musimy jakoś wyjechać jutro z tych gór - powiedział. - Nawet gdyby trzeba było wybrać bardziej niebezpieczną drogę. Zostało nam owsa tylko na jeden dzień. Konie nie zdołają przebić się przez takie zasy, gdy będą głodne. Zabijemy je w ten sposób.

Skinęła głową w milczeniu.

- Jedziemy skrótem - powiedziała.

- Pani, nie znam tej drogi, choć niejedną raz jeździłem z Morija do Erd wzdłuż granicy Korisu.

- Znałam ją niegdyś - odparła. Spojrzała w górę na chmurzące się niebo. Czarne szczyty sosn lśniły w blasku skrytego za chmurami księżycy. - Była wtedy mniej zarosnięta.

Uczynił ręką znak chroniący przed złem. Zrobił to odruchowo, bez zastanowienia. Dopiero później pomyślał, że mógł ją tym rozgniewać. Ona jednak popatrzyła tylko przez chwilę w dół, jakby chciała uniknąć rozmowy.

- Dokąd jedziemy? --zapytał. |- Czy szukamy czegoś?

- Nie - odparła. |*-- Wiem, gdzie to się znajduje.

- Pani - powtórzył, gdyż wydawała się ponownie zapadać w milczenie. Pokłonił się jej szczerze. Nic mógłby znieść jeszcze jednego dnia czegoś podobnego. - Dokąd, Pani? Dokąd jedziemy?

|- Na Ivrel.

Gdy przerażony otworzył usta, by sprzeciwić się temu szaleństwu, dodała: | .

- Nie powiedziałaś ci jeszcze, jakiej przysługi od ciebie żądam. ||. |**

- Nie - zgodził się. |>- Nie powiedziałaś.

- Oto ona, ilinie. Jeśli zginę, masz zabić Thiyego, pana Hjemuru, i zniszczyć jego cytadelę.

Wyrwał mu się z ust krótki śmiech, który przeszedł w łkanie. Sto lat temu to właśnie obiecała sześciu panom. Dziesięć tysięcy ludzi zginęło usiłując tego dokonać. Wielu ludzi doszło więc do wniosku, że Morgaine nigdy nie była wrogiem Thiyego z Hjemuru, lecz wiedźmą na jego usługach, którą wysłał, by zniszczyła Środkowe Kraje.

- Och, pójdę z tobą - oświadczyła. - Nie żądam od ciebie, abys dokonał tego sam. Jeśli jednak zginę, to jest przysługa, którą będziesz mi winien.

- Dlaczego? - zapytał nagle. - Dla zemsty? Cóż złego ja ci uczyniłem, pani? :.

- Przybyłam tu, aby zamknąć Bramy -- odparła. -

I jeśli zginę, jest jeden sposób, by tego dokonać. Nie sądzę, żebym mogła nauczyć cię innej metody, weźmiesz więc moją broń i uderzysz w samo serce grodu Hjemur. To będzie równie skuteczne jak wszystko, czego mogłabym dokonać sama.

- Jeśli pragniesz niszczyć Bramy - odparł z goryczą, gdyż nie wierzył jej nawet w połowie - można było zacząć od ognia w Aenor-Pywn, które minęłaś obojętnie.

- Nie ma sensu ich ruszać. Wszystkie są niebezpieczne, lecz główną Bramą jest ta, którą nazywacie Ogniami Czarnoksięskimi. Bez niej wszystkie pozostałe znikną. W tej chwili Bramy nie funkcjonują, istnieją tylko, bez głębi czy kierunku. Są jedyną rzeczą; którą Thiye nie nauczył się w pełni posługiwać. Thiye nie jest mojej krwi, lecz udzielono mu lekcji. Igra ze sprawami, które rozumie zaledwie w połowie, choć być może - dodała - po stu latach jego mądrość wzrosła. l ' ' '

- Nic z tego nie rozumiem - zaprotestował. - Zwolnij mnie z tego obowiązku. Nie przynosi ci zaszczytu żądać ode mnie czegoś takiego. Przysięgam, że pójdę z tobą i spełni-
-:« "Knwiązek ilina. Nie opuszczę cię aż do chwili, gdy spełnisz swoje zadanie, bez względu na to, jak podłe

i nędzne rzeczy każesz mi uczynić.. Przysięgam, że będę ci służył nawet dłużej niż rok i udam się choćby na Ivrel, jeśli tam właśnie zmierzasz, nie prosz mnie jednak o tę rzecz pod przysięgą ilina.

- Wszystko to - odparła cicho - daje mi przysięga, którą już złożyłeś - jej głos przybrał ton niemal łagodny. - Vanye, moje położenie jest rozpaczliwe. Przybyło nas tu pięcioro, z czego czworo zginęło, ponieważ nie wiedzieliśmy dokładnie, z czym mamy do czynienia. Starodawna wiedza nie umarła tu całkowicie. Thiye znalazł dla siebie nauczycieli i być może jego wiedza rzeczywiście wzrosła. Po części mam nadzieję, że tak się stało. Jego ignorancja jest równie niebezpieczna, jak zła wola. Jeśli jednak wyślę cię tam, dopilnuję, abyś wiedział wszystko, co trzeba.

Skłonił głowę.

- Nie mów mi nic o tych sprawach. Mogę ci użyczyć swego ramienia, ale nic więcej.

- Zgoda - odparła. - Na razie. Nie będę wmuszać w ciebie żadnej wiedzy, która nie jest niezbędną. Wzięła w rękę gałązkę, zaostrzyła ją nożem i zaczęła nadziewać na nią skrawki dziczyzny.

Zsunął z głowy hełm, gdyż czoło bolało go od jego ciągłego ucisku, nie zdjął jednak czepca, ze względu na chłód oraz wstyd, który wciąż mu na to nie pozwalał, nawet w jej obecności. Owinał się w płaszcz i zabrał do pieczenia własnego posiłku. Wypił też z nią trochę wina. Następnie podszedł do kłody i rozciągnął się na jej górnej części. Po chwili ona uczyniła to samo, nieco niżej. To był szczególny rodzaj łoża, znacznie jednak lepszy niż zimny śnieg pod nimi. Ułożył się z mieczem na piersi jak wojownik na marach. Nie chciał wypuszczać broni z ręki podczas nocy spędzonej w takiej okolicy. Nie schował go nawet do pochwy. Później, gdy ogień już niemal zgasł, usłyszał, że coś Porusza się w pobliżu, coś dużego i ciężkiego. Wytężył wzrok i słuch oraz wstrzymał oddech, aby dojrzeć i dosłyszeć, co to takiego.

Nagle ujrzał, że raka Morgaine przesunęła się w kierunku pasa ukrytego pod płaszczem i zrozumiał, że ona również nie śpi.

- Dołożą drew do ognia - odezwał się, także na użytek tego, kto mógłby ich obserwować. Zeskoczył z kłody i skulił się, oczekując ataku.

Usłyszeli trzask gałęzi i szybko oddalające się po śniegu kroki. Spojrzał na Morgaine.

- To nie był wilk -| powiedziała. - Dołóż szczap do ognia. Uważaj też na konie. Gdybyśmy teraz wyruszyli, byłibyśmy może nie tak łatwym celem, niż gdy siedzimy tutaj. Obawiam się jednak, że ten szlak nazbyt się zmienił, aby ryzykować wądrówką po ciemku,

- Od tej chwili była to niespokojna noc. Chmury stały się gąstsze. Nad ranem zaczął prószyć śnieg.

Vanye zaklął z pasją. Nienawidził zimna jak samej śmierci. Zaciskało się wokół nich, aż cały świat stał się biały. Jadąc przebijali się przez gąstą zamieć. Czasem tracili się nawzajem z oczu. Wreszcie śnieg przestał padać i popołudnie było mniej dokuczliwe.

Szlak w ogóle przestał być szlakiem, lecz Morgaine nadal

utrzymywała, że zna drogę. Jechała nią, jak twierdziła, zaledwie kilka dni temu, gdy drzewa, teraz stare, były jeszcze młode, inne, których już nie było, rosły jeszcze, a ścieżka była wyraźna i często uczęszczana. Upierała się jednak, że z pewnością nie zgubiła drogi.

Pod wieczór rzeczywiście dotarli do czegoś, co wyglądało na właściwy szlak, lub też jego pozostałość. Rozbili tam obóz w zacisznym miejscu, gdzie przynajmniej osłonięci byli przed coraz silniejszym wiatrem. Była to kotlinka pomiędzy skałami, z wylotem na otwartą polaną - rzadkość wśród tych wzgórz. Ponieważ wiatr wzmagął się, a nie znaleźli żadnego suchego miejsca, gdzie mogliby się położyć, Vanye zrobił co mógł, używając gałęzi sosnowych. Spróbował też rozgrzebać śnieg, aby znaleźć trawę dla koni, był on jednak zbyt głęboki i zamrznięty. Dał zwierzętom owsa, zastanawiając się, co też z nimi będzie jutro, ttArp rozpalila Morgaine, i usiadł tam owinięty w płaszcz, przygarbiony jak zimowy ptak, nieszczęśliwy i przygnębiony. Zasnął szybko i wyspał się na ile zdołał, zanim Morgaine trąciła go nogą. Potem ona położyła się w ciepłym legowisku, które opuścił, on zaś siadł ciężko na skale z rękami i nogami splecionymi na mieczu. Usiłował nie zasnąć mimo ogarniającego go zmęczenia.

Niechcący pochylił głowę i ponownie się poderwał. Jeden z koni parsknął. Doszedł do wniosku, że sam go przestraszył nagłym ruchem, nadal jednak odczuwał niepokój. Wstał z mieczem w ręku i wyszedł na zewnątrz, aby spojrzeć na konie.

Coś ciężkiego uderzyło go w plecy, warcząc i parskając głosem, który brzmiał jak ludzki. Odwrócił się z krzykiem. Ręka mu zadrzała, gdy ostrze uderzyło o kość. Oddaliło się susami, przygarbione i niewyraźne w ciemności. Inne, podobne stwory przyłączyły się do ucieczki. Ujrzał jasny błysk. Obejrzał się i dostrzegł Morgaine. Skulił się na chwilę. Bał się tego, co trzymała w dłoni, nie mniej niż bestii z Korisu. Wszystkie członki drżały mu jeszcze pod wpływem ataku.

Zaczekała na niego. Podeszedł do niej, uklęknął na posłaniu z gałęzi, wyczyścił dokładnie miecz śniegiem, po czym wytarł go do sucha. Brzydził go widok krwi korijskich bestii na czystej stali. Był potłuczony. Miał nadzieję, że skóra nie została nigdzie przerwana. Nie sądził, żeby ich zęby przebiły kolczugę.

- To nie są zwierzęta naturalnego pochodzenia - stwierdziła Morgaine.

- Nie - zgodził się. - Zupełnie nienaturalnego. Można je jednak zabić zwyczajną bronią.

- Czyś ranny?

- Nie - odparł przyjemnie zaskoczony, że go o to zapytała. Pochylił głowę w płytkim ukłonie, dziękując za uprzejmość, której jako liyo nie była winna ilinowi. - Nie, chyba nie.

Usiadła ponownie.

- Chcesz spać? Ja poczuwam przez chwilę.

- Nie - odrzekł ponownie: - Nie mógłbym zasnąć.

Skinała głową i ułożyła się z powrotem do snu.

Do rana przestało sypać. Słońce wyszło zza chmur

i świeciło na nich jasno. Stopiło nawet nieco śniegu. Zjechali w dół po drugiej stronie grani, przez skały i sosny, na coraz bardziej otwartą przestrzeń.

Z góry ujrzeli nagle niżej położone tereny, gdzie biel przechodziła stopniowo w zielen, gdyż w dolinach padało mniej śniegu. Widać było, że na obszarze Małego Korisu las ciągnie się aż po horyzont, także na niżej położonych terenach.

Daleko, za mgłą znajdował się złowieszczy stożek Ivrel, zbyt odległy jednak, żeby go dojrzeć. Widać było tylko przymglone białe czuby Alis Kaje, matki orłów, oraz Cedur Maje, tworzące górska ścianę Morija, oddzielającą Kursh od Anduru. Królestwo Thiyego od ziem ludzi.

Przez cały dzień z łatwością posuwali się naprzód. Znaleźli trawę dla koni, zatrzymali się na chwilę, by wypocząć i ruszyli dalej w lepszym nastroju. Napotkali ogrodzenie - niski pasterski murek z nieciosanych kamieni, pierwszy znak obecności człowieka.

Od chwili, gdy drasnęła go ostatnia ze strzał Myya, Vanye nie widział niczego, co byłoby dziełem rąk ludzkich. Ta oznaka obecności pasterzy napełniła go radością. Łatwiej mu było teraz oddychać. Spędziwszy ostatnie dni w takim towarzystwie mógł bez trudu zapomnieć o wszystkim, co ludzkie - owcach, gospodarstwach rolnych i normalnym życiu. |

Po chwili napotkali małą przytulną chatkę ze ścianami z nieociosanych kamieni oraz ogrodem zarosłym chwastami i pokrytym plamami śniegu. Żaluzje były spuszczone.

Morgaine potrząsnęła głową z niedowierzaniem w oczach.

- Co to było? - zapytał.

- Gospodarstwo rolne - odparła. - Bardzo miłe i gościnne.

Po chwili dodała:

___ Spędziłam tu noc nie dalej niż miesiąc temu w moim życiu. Cii którzy tu mieszkali, byli gościnni.

Vanye pomyślał, nie mówiąc jednak tego, że musieli być również nieustraszeni, by chronić Morgaine po Irien. Gdy mijali dom z drugiej strony, ujrzał, że tylna część dachu zapadła się.

Ogień? - pomyślał. Nie byłoby dziwne, gdyby w ten sposób pomszczono się na ludziach, którzy udzielili schronienia wiedzmi. Morgaine w niezwykle sposób siała nieszczęścia wszędzie, gdzie przeszła. Najczęściej spadały na niewinnych.

Nie zauważyła śladów zniszczenia. Jechała z przodu, nie oglądając się za siebie. Pozwolił swej klaczy - nazwał ją Mai, gdyż to imię nadawał wszystkim swoim koniom - dogonić siwka. Jechali bok przy boku, ponurzy i milczący. Morgaine nigdy nie była wesołą towarzyszką, lecz na widok opustoszałych zabudowań pograżyła się w prawdziwej melancholii.

Wtem, za zakrętem drogi, gdy sosny zaczęły zbliżać się do nich i do niskiego ogrodzenia, ujrzeli dwoje obdartych dzieci. Wyglądały na chłopca i dziewczynkę - obdarte, kudłate, opuszczone dzieciaki o wielkich ciemnych oczach i zapadniętych policzkach. Siedziały na ogrodzeniu, nie zważając na śnieg, i wyciągały ku nim wychudzone dłonie.

- Jeść! Jeść! - krzyczały. - Zlitujcie się!

Siwek Siptah stanął dęba wierzgając kopytami. Morgaine gwałtownie ściągnęła wędzidło, by koń nie uderzył chłopca. Z trudnością powstrzymywała zwierzę, które poniosło z rozwartymi chrapami i szeroko wybałuszonymi oczyma, aż jego zad uderzył w ogrodzenie po drugiej stronie drogi. Vanye ściągnął mocno swą klacz, przeklinając nierozważne dzieci. Podobne sieroty nie były rzadkim widokiem w Korisie. Żebrały i kradły bezwstydnie.

Co by nie mówić o Rijanie, pomyślał przez chwilę, pańskie bękarty często spotykał los inny niż ten, który przed Wagnaniem był jego udziałem. Wśród wzgórz Anduru mieszkało wielu nędzarzy - bez klanu i bez środków - a nieprawe dzieci biednej dziewczyny z reguły kończyły źle. Jeżeli udawało się im przeżyć dzieciństwo, wyrastały na prawdziwych bandytów. Ta dziewczynka zapewne wydała na świat więcej podobnych do niej. Nędza rodzi nędzę. Nic mogły mieć więcej niż dwanaście lat. Wyglądały na brata i siostrę - być może bliźnięta. Miały takie samo wilcze spojrzenie i wychudzone twarze o ostrych rysach, gdy przytuliły się do siebie ze strachu przed groźnymi kopytami.

- Jeść - błagały wciąż wyciągając ręce.

- Mamy pod dostatkiem zapasów - Vanye skierował te słowa do Morgaine jako prośbę, gdyż ich juki wciąż były pełne zamrożonej dziczyzny z poprzednich dni. Odczuwał litość dla takich, jak te dzieci pomimo ich odrażającego wyglądu. Zawsze - gdy tylko mógł - dawał im jałmużnę, pamiętając, kim był.

Gdy Morgaine skinęła głową na znak zgody, pochylił się w jej stronę i wziął jeden z pakunków z siwego grzbietu Siptaha. Zamierzał właśnie go otworzyć, gdy dziewczynka podeszła do Mai i ściągnęła derkę z jej grzbietu przecinając jeden z rzemieni u siodła.

Zaklął siarczyście. Nie był jednak na tyle głupi, by upuścić jedzenie i rzucić się w pościg, gdy chłopiec wciąż czaił się w pobliżu. Rzucił zawinięty w skórę pakunek do Morgaine i przełożył nogę ponad łękiem siodła. Chłopiec też zaczął uciekać, przeskakując przez murek. Vanye pobiegł za nim.

- Uwważaj - ostrzegła go Morgaine.

Uciekające urwisy porzuciły skradzione pakunki. Zadowolony z tego zatrzymał się, aby je pozbierać, rozdrażniło go jednak to, iż wróciły, aby się z niego naśmiewać.

Gdy chłopiec zbliżył się zanadto, spróbował chwycić go ręką. Miał zamiar jedynie dać mu kuksańca, aby przemówić mu do rozumu. Jednakże chłopak zaczął się szarpać w jego uścisku, wydając z siebie strumień przekleństw. Dziewczyna z wrzaskiem rzuciła się na niego i uderzyła go w dłoń, w której trzymał chłopca. W ręku miała szpilę. Wbiła ją wystarczająco głęboko, aby Vanye zwolnił uchwyt. TTciekli z wrzaskiem pozostawiając łupy i zniknęli wśród Wróciwszy do Morgaine nadal przeklinał pod bolesną ranę, którą zadała mu ta mała dziewczynka.

_ Dzieci diablików - mruknął. - Złodzieje. Bandycie bękarty.

Utracił twarz przed swoją liyo, swoim panem-kobietą.

Wdrapał się ciężko na siodło Mai, przywiązawszy z tyłu

ekwipunek. Do tej pory czuł, że jest niegodnie wykorzystywany - niegodnie z jej strony, gdyż przyjęła go na służbę podstępem - teraz po raz pierwszy był zmuszony przyznać, że to on ją zawiódł, co obciążało go podwójnie, ponieważ zhańbił zarówno siebie, jak i swą liyo.

Po chwili poczuł się dziwnie, jak człowiek, który wypił zbyt wiele wina. W głowie mu szumiało. Pomiedzy nim a otoczeniem zapanował jakiś dziwny chaos.

Wpatrywał się, zaniepokojony, w Morgaine. Nie chciał jej prosić o pomoc, lecz nagle poczuł, że musi. Nie mógł zrozumieć, co się stało z jego zmysłami. To było jak nagły atak gorączki. Zachwiał się w siodle.

Podtrzymało go szczupłe ramię Morgaine. Prowadziła Siptaha tuż obok, aby pomóc mu utrzymać się w siodle.

Usłyszał jej głos. Mówiła coś ostrym tonem, nakazując, aby się trzymał. Wyprostował się i opadł bezwładnie, na tyle przytomny, by to uczynić. Oparł ciało o szyję Mai. Łęk siodła uwierał go boleśnie. Zakrzywiona szyja konia utrudniała oddychanie. Nie miał nawet tyle siły, by sobie z tym poradzić.

Morgaine zsiadła z konia i ujęła w rękę jego zranioną dłoń. Poczuł w niej odległy ból, gdy dotknęły go jej ciepłe usta. Zajęła się jego raną jak ukąszeniem węża. Wypluwała truciznę i przeklinała jego lub jakieś sobie znane nieczyste duchy w języku, którego nie rozumiał, a co przstraszyło go jeszcze bardziej.

Pragnął jej pomóc, w tej chwili nie mógł jednak niczego "wymyślić. Ze zdziwieniem zauważył, że znowu znalazła się w innym miejscu, na grzbiecie Siptaha. Prowadziła jego konia za wodze. Ponownie wrócili na pokrytą śniegiem drogę. Miała na sobie prosty płaszcz, zaś futra ogrzewały jego.

Trzymał się kurczowo siodła. Wreszcie poczuł drętwienie ciała i zrozumiał, że został przywiązany, więc nie może spaść. Zaprzestał wtedy wysiłków i poddał się rytmowi końskich kroków. Dręczyło go pragnienie. Nie mógł zebrać tyle sił, aby o cokolwiek poprosić. Zdawał sobie niejasno sprawę z przerw w podróży oraz powtarzających się okresów ciemności.

Ciemność narastała też na nieboskłonie.

Umierał. Był już tego pewien. Zaczynało go martwić, że po jego śmierci Morgaine może zapomnieć o swej obietnicy i wysłać go na tamten świat za pośrednictwem obcego rytuału. Przeraziła go ta myśl, i tylko ze względu na nią opierał się śmierci. Walczył z każdą nadciągającą utratą przytomności. Czasem udawało mu się zebrać wystarczająco wiele woli i rozumu, by coś powiedzieć, lecz słowa wychodziły z jego ust zniekształcone. Z reguły Morgaine nie zwracała na to uwagi. Sądziła zapewne, że dręczy go gorączka, lub po prostu nie dbała o to.

W pewnej chwili dostrzegł, że wokół nich znajdują się jeźdźcy. Ujrzał na tarczy tego, który im przewodził, herb przedstawiający wilka z jeleniem w paszczy. Poznał ten znak i rozpaczliwie spróbował ją ostrzec.

Wzięli jednak jego słowa za bredzenie w gorączce.

Morgaine podażyła za nimi. Poprowadzono ich w głąb doliny Korisu do Ra-leth.

ROZDZIAŁ IV

Pełna wiszących pajęczyn sala sprawiała obskurne wrażenie. Gdzieśgdzie odpryskujący ze ścian tynk odsłaniał płytkie szpary pomiędzy wielkimi nieregularnymi kamieniami, przez co pająki miały pod dostatkiem miejsc, w których mogły się ukryć. Również pomiędzy drewnianą framugą drzwi, a otaczającym ją kamieniem widniały szczeliny. Kinkiet, w którym znajdowała się płonąca pochodnia, zwiślał nader niepewnie tylko na jednym ze swych czterech sworzni.

Samo łóżce zapadało się w środku. Vanye wyciągnął lewą rękę, aby poznać jego wielkość. Prawą wciąż miał boleśnie opuchniętą pod wpływem trucizny. Nie pamiętał dokładnie, co z nim uczyniono, poza tym, że leżał tutaj, gdy odzyskał zmysły i jakaś osoba pochylała się nad nim od czasu do czasu, trzymając pozostałych z daleka.

Pojał wreszcie, że osobą tą jest Morgaine. Morgaine bez futra. Wyglądała szczupło w czarnym męskim stroju, na którym miała całkowicie nieodpowiednią tgihió - narzutę - w kolorze srebrnym i czarnym. Nigdy jej nie podejrzewał o tak barbarzyńskie upodobania. "Odmieńca" zawiesiła na krześle, zaś resztę ekwipunku rzuciła pod nogi w całkowicie niekobiecy sposób.

Wpatrywał się w nią, usiłując odzyskać jasność umysłu i przypomnieć sobie, w jaki sposób się tu znaleźli, jednak nie udało mu się to. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się w napięciu.

- Cóż - oznajmiła. - Nie stracisz ręki.

Poruszył obolałą dłonią. Spróbował przebierać palcami. Były zbyt opuchnięte. To, co powiedziała, przeraziło go jednak, gdyż ręka była zaatakowana aż do łokcia, który bolał przy próbach zgięcia.

- Flis! - zawołała Morgaine.

Pojawiła się dziewczyna, która weszła do pokoju tyłem. gdyż w rękach trzymała bielizną i miednicą z gorącą wodą.

Dziewczyna odwróciła się, aby pokłonić się Morgaine, ta jednak spojrzała na nią groźnie i wskazała głową w kierunku Vanyego. Gorąca woda przyniosła mu ból. Zacisnął zęby i wytrzymał kompresy z nagrzanym ręcznikiem. Skoncentrował swą uwagę na usługującej mu dziewczynie. Flis miała ciemne włosy i oczy o barwie tarniny, płonące namiętnym blaskiem. Niski stanik, taki jak nosiły wiejskie kobiety, odstawał lekko, gdy się pochylała. Uśmiechnęła się do niego i dotknęła jego twarzy. Jej zachowanie było typowe dla wielu mieszkających na dworach dziewcząt niskiego klanu lub w ogóle bez klanu, które miały nadzieję począć dziecko któregoś z panów i przez to uzyskać honorowy status. Choć jego nasienie nie mogło uszlachetnić nikogo, to z pewnością wypróbowała na nim swe sztuczki dlatego, że nie był w tej chwili groźny, a poza tym był obcy.

Uśmierzyła jego gorączkę i dała mu do picia dobrze rozcieńczone wino. Mówiła coś - miłe słówka bez szczególnego znaczenia. Gdy dotknęła jego czoła, zdał sobie sprawę, że nie przeszkadzają jej obcięte włosy, które ostrzegłyby każdą rozsądną kobietę o tym, kim jest, oraz sprawiłyby, że oddaliłyby się ze zgrozą.

Przypomniał sobie jednak, że znajduje się we dworze

klanu Leth, gdzie chętnie przyjmowano wszelkich wyrzutków i wyjętych spod prawa, pod warunkiem, że znosili kaprysy pana Kasedrego, i nie sprawiało im różnicy, jakiego rodzaju rozkazy wykonywali. Tutaj taki człowiek, jak on, nie był niczym nowym. Być może nawet jego status nie był niższy niż pozostałych.

Nagle ujrzał, że Morgaine podniosła się na nogi i z lekko pogardliwym wyrazem twarzy spogląda na niego nad ramieniem dziewczyny, jakby osądzała jej nieudolne zakusy. Odwróciła się i podeszła do okna schodząc z pola widzenia. Zamknął wtedy oczy, zadowolony, że ból w ręce zelżał i że nie musi w tej chwili robić. Utracił twarz w takim stopniu, jak to tylko było możliwe. Uratowała go jego liyo, kobieta, i oddała w ręce służących takich, jak ta. Leth tolerowali obecność Morgaine, a nawet - sądząc po wspaniałym stroju gościnnym, jaki jej dali - oddali jej honory i uznali uprawnienia pana, traktując jak równą. Ręka Flis zabląkała się między jego udami. Odsunął ją na bok oburzony takim zachowaniem w obecności jego liyo, i to kobiety. Flis zachichotała.

Usłyszał szelest brokatu. Morgaine wróciła z rozgniewaną twarzą. Skinęła krótko głową na dziewczynę. Flis opanowała się szybko. Pośpiesznie i bez wdzięku zebrała swe ręczniki oraz miednicę.

— Zostaw to - rozkazała Morgaine.

Flis zostawiła wszystko na stole przy drzwiach, skłoniła się i wyszła. Morgaine podeszła do łoża, uniosła kompres ze zranionej ręki Vanyego i potrząsnęła głową. Następnie skierowała się ku drzwiom i przesunęła krzesło tak, że nikt z zewnątrz nie mógłby ich łatwo otworzyć.

- Czy coś nam grozi? - zapytał Vanye zaniepokojony podobnymi środkami ostrożności.

Morgaine podeszła do swej torby i wyjęła z niej niektóre ze słoików z maścią.

- Sądzę, że tak - odparła. - Ale nie dlatego zapałam drzwi. Nie zaopatrzono ich w zamek, a jestem już zmęczona tym, że ta dziewczka mnie podgląda.

Patrzył z niepokojem, jak rozstawia swe lekarstwa na stole przed nim.

- Nie chcę...

- Odrzucam twoje zastrzeżenia.

Otworzyła słoik i posmarowała niewielką ilością maści ranę, która mimo kompresu była większa i bolała mocniej niż przedtem. Lekarstwo szczypało i wywoływało świąd, lecz w chwilę później znieczuliło ranę. Morgaine domieszała czegoś do wody i nalegała, a potem rozkazała, żeby to wypić. Po chwili znowu ogarnęła go senność. Zaczął rozumieć, że tym razem przyczyną tego jest lekarstwo Morgaine.

Gdy się obudził, wciąż siedziała przy nim, czyszcząc jego poobijany hełm i zbroję - jak sądził - z nudów. Przechyliła głowę na bok i spojrzała na niego.

- Jak z tobą?

- Lepiej - odparł, gdyż miał wrażenie, że gorączka ustąpiła.

- Czy dasz radę wstać?

Spróbował to uczynić. Nie było to łatwe. Stwierdził, iż w swej ślepcocie i skupieniu się na samym wysiłku nie

zauważył, że nie jest ubrany. Sięgnął po prześcieradło tak gwałtownie, że omal przy tym nie upadł. Kurshinowie byli skromnymi ludźmi. Dla Morgaine jednak miało to niewielkie znaczenie. Przyjrzała mu się chłodnym okiem, co było jeszcze bardziej zawstydzające niż rumieniec, którego jej brakowało.

- Nie zniesiesz forsownej podróży - stwierdziła. |-
To utrudnia sprawę. Nie podoba mi się tutaj. Nie ufam w najmniejszym stopniu naszemu gospodarzowi i mogę zdecydować się pospiesznie opuścić jego dwór.

Ponownie opadł na łożę, sięgnął po ubranie i spróbował je założyć, choćby jedną ręką.

- Nasz gospodarz - powiedział - to Kasedre, pan Leth. Masz rację. On jest szalony.

Nie wspomniał, iż mówiono, że w żyłach Kasedrego płynie krew aujalów, i że właśnie to było uważane za przyczynę jego szaleństwa. Morgaine, choć jej niezwykłość wzbudzała lęk, była przynajmniej zdrowa na umyśle.

- Połóż się - rozkazała, gdy już się ubrał, gdyż wysiłek ten osłabił go znacznie. - Mogą ci być potrzebne siły. Trzymają nasze konie w stajni na dole, przy głównej bramie - po wyjściu z tej sali na lewo, trzy zakręty schodami w dół i potem pierwsze drzwi na lewo. Posłuchaj, powiem ci, jakie szczegóły tu zauważyłam, na wypadek, gdybyśmy musieli opuścić ten dwór oddzielnie.

Siedząc przy nim na łóżku, narysowała na pościeli rozkład wszystkich sal oraz rozmieszczenie drzwi i pokoi tak, że mógł ocenić, gdzie się co znajduje bez oglądania dworu. Miała talent do takich rzeczy. Ucieszyło go, że jego liyo jest rozsądna i ma doświadczenie w sprawach dotyczących bezpieczeństwa. Nabrał więcej optymizmu co do ich szans.

__ jesteście więźniami czy gośćmi? - zapytał.

__ ja jestem gościem, przynajmniej z nazwy - odparła. -| Ale to nie jest dobre miejsce dla gości. Usłyszeli pukanie do drzwi. Ktoś spróbował je otworzyć. Gdy nie ustąpiły, przybysz oddalił się.

__ Czy jest twoim życzeniem zatrzymać się tu na dłużej? - zapytał.

- Czuję się - odparła - jak mysz mijająca kota. Najpewniej nic jej nie grozi, a zwierzę wygląda na nażarte i leniwe, jednakże zwlekanie byłoby błędem.

- Jeśli kot jest naprawdę głodny - odparł - łudzimy się tylko.

Skinęła głową.

Tym razem ktoś wyraźnie zapukał do drzwi.

Vanye sięgnął po miecz i przypiął go sobie do pasa w zasięgu lewej ręki. Morgaine odsunęła krzesło i otworzyła drzwi.

Była to znowu Flis. Dziewczyna ukłoniła się i uśmiechnęła niepewnie. Teraz, gdy jego wzroku nie mąciła gorączka, Vanye mógł się jej przyjrzeć wyraźniej. Nie była tak młoda, jak mu się zdawało. To szminka nadawała barwy jej policzkom, a strój nie był po wiejsku prosty, lecz krzykliwy. Uśmiechnęła się afektownie i spojrzała ponad Morgaine na Vanyego.

- Wzywają cię - powiedziała.

- Dokąd? - zapytała Morgaine.

Flis nie miała ochoty spojrzeć w oczy drugiej kobiecie,

lecz gdy ta przemówiła do niej, musiała to zrobić. Uczyniwszy to, skuliła się wyraźnie. Sięgała głową zaledwie do barków Morgaine, a jej aureola z postrzępionych brązowych włosów bladła przy czerni i srebrze jego liyo.

- Do sali, pani - rzuciła kolejne gorące spojrzenie na Vanyego, po czym ponownie przeniosła wzrok na Morgaine. - Tylko ciebie, pani. Tego mężczyzny nie wzywali.

- On jest moim ilinem - odparła. - Jaki jest powód?

- Masz się spotkać z moim panem - odrzekła Flis. - Nic mu nie będzie - zapewniała. - Potrafię się nim zaopiekować.

- Nie ma potrzeby -- odparła Morgaine - Obejdzie się świetnie bez tego, Flis. Możesz odejść.

Flis mrugnęła oczyma. Nie wyglądała na zbyt inteligentną. Cofnęła się, ukłoniła i wyszła, zrywając się do biegu.

Morgaine odwróciła się i spojrzała na Vanyego.

- Przepraszam - powiedziała suchym tonem. - Czy zdołasz zejść do sali?

Uklonił się na znak zgody. Czuł się dogłębnie zawstydzony przez Morgaine. Zastanawiał się, czy powinien uznać to za obrazę. Nie pragnął Flis, lecz gdyby powiedział to głośno, również okryłby się wstydem. Nie mógł się utrzymać prosto na nogach, sądził jednak, że to minie.

Morgaine wyszła przed nim z izby.

Wszystko na zewnątrz wyglądało mniej więcej tak, jak mu to opisała. Dwór był wyraźnie zapuszczony, jak dawno porzucona forteca, do której ludzie powrócili przed chwilą i nie zdążyli jeszcze doprowadzić do stanu używalności. W powietrzu unosił się budzący mdłości zapach stęchlizny, odór wczorajszej uczty, woń brudu, starości, dawno nie naprawianych gratów, ziemi i wilgoci.

- Chodźmy po prostu do drzwi - poradził Vanye, gdy zeszli na niższe piętro. Wiedział, że drzwi po lewej stronie prowadzą na zewnątrz, do ich koni i szybkiej, gwałtownej ucieczki z tego gniazda szaleńców. - Liyo, nie zwlekajmy. Zostawmy wszystko i uciekajmy. Teraz. Szybko.

- Nie zdołasz uciec przed pościgiem - odparła. - Gdyby nie to, z chęcią postąpiłabym tak, jak mówisz. Spokojnie. Nie obrażaj naszych gospodarzy.

Szli niepilnowani długimi korytarzami. Gdzieniegdzie napotykali służących, którzy wyglądali jak żebracy, pojawiający się u bram grodów, prosząc o należne im trzy dni opieki. To hańba dla pana, jeśli ludzie w jego dworze znajdują się w takim stanie. Leth było potężnym grodem. Jego |*|<- niż wyprawa Morgaine do Irien.

Niegdyś cieszyło się sławą miejsca o legendarnej wprost urodzie, teraz niestety znajdowało się w całkiem innym stanie. Gobeliny zamieniły się w brudne szmaty, a przez wytarte i postrzępione dywany na podłogach prześwitywały nagie kamienie. Korytarze budziły odrazę swoją szpetotą, z wielkich sal biła woń wilgoci i rozkładu, a gdzieś pojawiały się zamknięte drzwi, które sprawiały wrażenie, jak gdyby nikt ich nie otwierał od lat. Gdy szli, szczury schodziły im flegmatycznie z drogi i kryły się w wielkich rozpadlinach w ścianach, skąd spoglądały małymi, lśniąco-czarnymi oczkami.

- Jak wielką część dworu widziałas? - zapytał.

- Wystarczającą - odparła - aby wiedzieć, że nie wygląda dobrze. Nhi Vanye, nawet jeśli przyrzekłeś zemstę klanowi Leth, nie zapominaj, że jesteś moim ilinem.
- Nic do nich nie mam - odparł. - Rozsądni ludzie nie chcą mieć z nimi nic do czynienia. Szaleństwo pleni się tu jak drożdże w cieście. Zważaj, co mówisz, liyo, nawet, jeśli cię znieważa.

Nagle ujrzał chudą twarz chłopca łypiącego na nich zza węgła. Siostra stała przy nim, szczurzooka i uśmiechnięta. Vanye mrugnął. Zniknęli. Nie był pewien - widział ich, czy nie? Drzwi do sali głównej rozwarły się szeroko. Przyspieszył, aby wyprzedzić Morgaine. Wewnątrz znajdowała się cała masa dziwacznych osobistości. Ludzie, którzy byliby bardziej na miejscu jako bandyci wokół górskiego ogniska, rozsiedli się z tyłu sali. Kilku uyin ze znacznego klanu, prawdopodobnie Leth, siedziało za wysokimi stołami. Ci ostatni również byli chudzi i wygłodniali, ich stroje wytarte na łokciach, a tgihin barwne, lecz wystrzępione. Aby °ddać sprawiedliwość ich gościnności względem Morgaine, trzeba przyznać, że byli ubrani w szaty mniej eleganckie niż ta, którą jej pożyczyci.

Był tam też mężczyzna - z pewnością Leth Kasedre - ory siedział na środku, na honorowym krześle. Wyglądał 1 młodego - nie mógł mieć więcej niż trzydzieści lat - :z jego dziecinna twarz była pożółkła, a frędzle ciemnych >sów wymagały przystrzyżenia. Nie miał warkocza wojownika. Zapewne brakowało mu również innych rzeczy, właściwych mężczyźnie. Jego włosy zwisały w tłustych kędziorach, usta obwisły jak u chorego. Przenosił zaszczute spojrzenie z jednego miejsca na drugie - jak w gorączce. Jego strój był prawdziwą wspaniałością - złoty materiał, wąska pierś ozdobiona broszkami, klamrami i złotymi łańcuchami. Za pasem miał honorowy miecz bogaty w klejnoty, podobnie jak długi miecz, który z tymi wszystkimi ozdobami wyglądał bezużytecznie i żałośnie. Wokół niego unosiła się ciężka woń perfum tłumiąca fetor rozkładu. Gdy podeszli bliżej, wszystko stało się jasne. Był to zapach choroby.

Kasedre wstał z miejsca i wyciągnął wąską dłoń, wskazując miejsce Morgaine, która podwinęła stopy i zajęła honorowe miejsce na wąskiej ławie zwolnionej dla niej przez dworzan. "Odmieniec" przypięty był wysoko na plecach, odpięła więc haczyk podtrzymujący pas przy naramienniku, przez co miecz opadł do bioder, pozwalając jej wygodnie usiąść. Ukłoniła się z wdziękiem. Kasedre odwzajemnił się tą samą uprzejmością.

Vanye musiał, chcąc nie chcąc, ukłęknać u stóp pana Leth i dotknąć czołem podłogi. Kasedre ledwie raczył zauważyć ten wyraz szacunku, gdyż skupił całą uwagę na Morgaine. Vanye zajął miejsce za nią. Zabolało go to. Był wojownikiem - przynajmniej niegdyś |- dumnym, choć nieprawego pochodzenia. Bo chociaż bękart, ale jako syn Nhi Rijana miał i tak wyższą rangę niż ten najbardziej osławiony z zagrodowych panów. Jednak również w Ramorij widywa się ilinów, zmuszonych znosić podobne poniżenia. Nikogo nie obchodziło, kim byli, zanim rzucono na nich kłatwę. Nie warto było protestować. Kasedre był nad wyraz niebezpieczny.

- Ciekawi mnie, skąd ktoś taki, jak ty, wziął się wśród nas - odezwał się Leth Kasedre. - Czy naprawdę jesteś Morgaine z Irien?

- Nigdy tego nie powiedziałam - odparła Morgaine. Kasedre mrugnął, pochylił się lekko do tyłu i oblizał kąciki warg w zakłopotaniu.

___ Ależ z pewnością nią jesteś - powiedział. - Nigdy nie było drugiej takiej na świecie.

Na wargach Morgaine pojawił się nagle uśmiech równie drapieżny, jak uśmiech Kasedrego.

___ Masz rację -- powiedziała. - Jestem Morgaine. Kasedre wypuścił powietrze w długim westchnieniu.

Wykonał kolejny ukłon, który należało odwzajemnić - rzadki honor dla gościa we dworze.

___ W jaki sposób znalazłaś się między nami? Czy wróciłaś, by toczyć nowe wojny?

W jego głosie brzmiało zadowolenie, nawet zachwyty z powodu tej perspektywy.

- Chcę obejrzeć, co jest do obejrzenia - odparła Morgaine. - Interesuje mnie Leth. Sądzę, że będzie to ciekawy początek dla moich podróży. Ponadto - opuściła skromnie wzrok - byliście nadzwyczaj pomocni w pielęgnowaniu mojego ilina - jeśli nie liczyć roli bliźniaków. Kasedre oblizał wargi. Jego twarz przybrała nagle niepokojny wyraz.

- Bliźniaków? Och paskudne, paskudne dzieciaki. Nie minie ich kara.

- Doprawdy nie powinna - odparła Morgaine.

- Czy zechcesz spożyć dziś z nami kolację?

Wyrazisty, pełen zachwyty uśmiech nie schodził z warg Morgaine.

- Z wielką chęcią. Jesteśmy zaszczytzeni, Leth Kasedre; Przyjdziemy razem, mój ilin i ja. .

- Och, ale jego choroba...

- Mój ilin przyjdzie ze mną - powtórzyła łagodnym, lecz lodowatym tonem, nie przestając się uśmiechać. Kasedre wzdrygnął się, lecz również rozciągnął usta w uśmiechu. Spojrzał jednocześnie na Vanyego, który odwzajemnił to spojrzenie z posępnym wyrazem twarzy. Zdawał sobie sprawę, że serce Kasedrego przepojone jest żądzą mordu. Swoją nienawiść nie skieruje jednak przeciwko Morgaine - która napawała go lękiem - lecz przeciwko obcemu człowiekowi, takiemu choćby jak on.

Nagle przeraziła go myśl o tym, co może uczynić Morgaine. Dostroiła się do szaleńczego nastroju Kasedrego z wielką łatwością. Znakomicie potrafiła grać tę samą grę i poruszać się w labiryncie jego szaleństwa. Vanye ponownie ocenił wartość, jaką przedstawiał dla swej liyo, i zadał sobie pytanie, czy wyda go Kasedremu, jeśli będzie musiała uciec z tego dworu szaleńców -- ludzka moneta wydana po drodze i rychło zapomniana.

Jak dotąd jednak broniła jego praw stanowczo i zdecydowanie, czy to ze względu na niego, czy po prostu z uwagi na własną dumę.

- Czy byłaś martwa? - zapytał Kasedre.

- Raczej nie - odparła. - Przeszłam skrótem. Byłam tu zaledwie przed miesiącem. Panował tu wtedy Edjnel. Szalone oczy Kasedrego błysnęły, a powieki mrugnęły,

gdy wymieniła jakby nigdy nic imię jego przodka, który nie żył już od stu lat. Wyglądał na rozgniewanego, jakby podejrzewał, że stroją sobie z niego żarty.

- Skrótem - powtórzyła ze spokojem - ponad latami, które wasi ludzie przeżyli po kolei, od wczoraj do dziś. Świat zatoczył łuk po krętej drodze, a ja przeszłam na wprost. Teraz jestem tutaj, nie zmieniona. Jesteś bardzo podobny do Edjnela.

Na twarzy Kasedrego odbiła się cała gama różnych uczuć. Ostatnie z nich to zachwyt spowodowany tym, że porównano go do sławnego przodka. Nadał się tak bardzo, jak tylko pozwalała mu na to wąła klatka piersiowa, po czym powrócił do skomplikowanej kwestii jej obecności.

- Jak? - zapytał. - Jak tego dokonałaś?

i- Dzięki ogniom w Aener-Pywn. Nie jest trudno dokonać tego za ich pomocą, ale trzeba być bardzo odważnym. To straszliwa podróż.

Tego było już za wiele dla Kasedrego. Kilka razy odetchnął głęboko jak człowiek, który za chwilę ma zemdleć i odchylił się do tyłu z rękoma opartymi na swym wielkim mieczu, utkwivszy wzrok w swoich uginach, którzy rozdziawili usta. Połowa wyglądała na zdumionych, a reszta na zbyt zamoczonych, żeby zareagować w jakikolwiek sposób.

_ Opowiedz nam o tym więcej - poprosił Kasodre.

__ z chęcią, podczas kolacji.

__ Och, zostań, proszę, napij się z nami wina - nie ustępował tamten.

Morgaine po raz kolejny zaprezentowała swój lodowaty uśmiech, olśniewający i fałszywy.

__ Za pozwoleniem, panie Kasedre, jesteśmy wciąż zmęczeni wędrówką. Potrzeba nam czasu, aby wypocząć. Obawiam się, że w przeciwnym razie nie wytrzymamy długo na uczcie. Udamy się teraz do naszego pokoju i odpoczniemy chwilę. Zejdziemy na dół, gdy zechcesz po nas posłać. Kasedre wydał wargi. U takich jak on była to niebezpieczna chwila, lecz Morgaine nie przestawała się uśmiechać promiennie i złowieszczo, pełna obietnic. Wreszcie Kasedre wykonał ukłon. Morgaine wstała i również się .skłoniła.

Vanye ponownie padł do stóp pana Leth. Udało mu się pochwycić spojrzenie, jakie rzucił on ku plecom odchodzącej Morgaine.

Stwierdził z zadowoleniem, że nadal było ono przepełnione lękiem.

Gdy schronili się już w swej izbie na górze, Vanye drżał z wyczerpania. Osobiście zastawił drzwi krzesłem, po czym usiadł na łożu. Morgaine dotknęła jego czoła swą zimną dłonią, by sprawdzić, czy nie ma gorączki.

- Dobrze się czujesz? - zapytała.

- Nienajgorzej. Pani, byłabyś szalona, gdybyś spróbowała czegokolwiek, co podadzą dziś do stołu.

- Muszę przyznać, że nie jest to przyjemna perspektywa.

Morgaine odpięła smoczy miecz i postawiła go pod ićianą. .

- Igrasz z nim - stwierdził Vanye. - A to szaleniec.

- Jest przyzwyczajony do posłuchu - odparła. - To

nowe doświadczenie może go dogłębnie zaintrygować. ;

Usiadła na krześle i splotła ramiona na piersi.

- Połóż się - zaproponowała. - Możemy oboje potrzebować odpoczynku.

Rozciągnął się na łóżku z barkiem opartym o ścianę i pograżył się w rozmyślaniach.

- Cieszę się - oznajmił pod wpływem tych myśli - że nie odjechałaś i nie zostawiłaś mnie tutaj bez zmysłów, pograżonego w gorączce. Jestem ci wdzięczny, liyo. Skierowała na niego spokojne wejrzenie swych szarych kocich oczu.

- Przyznajesz więc - zapytała - że bywają gorsze miejsca dla ilina niż służba u mnie?

Na tę myśl przeszedł go dreszcz.

- Przyznaję - odparł. - Ten dwór jest wśród nich pierwszy.

Oparła stopy o swe rzeczy. Vanye położył się i zamknął oczy usiłując zasnąć. Odczuwał pulsujący ból w ręce, która wciąż była lekko opuchnięta. Najchętniej wyszedłby na zewnątrz i obłożył ją sobie śniegiem. Uważał to za więcej warte niż katalplazmy Flis czy lekarstwo aujalów używane przez Morgaine.

- Szpila tej diablicy była zakażona - powiedział. Nagle coś sobie przypomniał i zapytał: - Czy ich widziałaś?

- Kogo?

- Chłopca... dziewczynkę...

- Tutaj?

- W korytarzu na dole.

- Nie jestem w ogóle zaskoczona.

- Dlaczego znosisz to wszystko? - zapytał. - Dlaczego pozwoliłaś się tu przyprowadzić? Mogłaś sobie sama poradzić z moją raną... i z nimi chyba też.

- Zapewne przeceniasz moje możliwości. Nie jestem zdolna nieść na plecach chorego mężczyzny. W tamtym momencie wszczynanie sporu nie wydawało się opłacalne. Jeśli się to zmieni, wymyślę coś. Jednak to ty odpowiadasz za moje bezpieczeństwo, Nhi Vanye, i jesteś zobowiązany mnie chronić. Oczekuję, że wypełnisz swój obowiązek. Podniósł w górę opuchniętą dłoń.

___ W tej chwili jest to niemożliwe, zwłaszcza jeżeli będziemy musieli torować sobie drogę.

___ No tak. Odpowiedziałaś więc sobie na swe pierwsze pytanie.

To była Morgaine w swej najbardziej denerwującej postaci. Usiadła, lecz za chwilę znów zaczęła spacerować po izbie. Przypominała dzikie zwierzę w klatce. Musiała zająć czymś brudne ręce, a tutaj nie miała niczego do roboty. Podeszła do zaryglowanego okna, wyjrzała na zewnątrz i wróciła na miejsce. To jej bezustanne krążenie doprowadzało go do szału. Gdyby nie ból, również by wstał i zaczął chodzić po sali. Czy ta kobieta bywała kiedykolwiek spokojna? - zastanowił się - czy to, co ją gnało, dawało jej choć chwilę wytchnienia? Nie był to zwykły niepokój spowodowany uwięzieniem. Było to coś, co płonęło w niej już podczas wędrówki i wszelka nieoczekiwana zwłoka dręczyła ją ponad wytrzymałość.

Wyglądało to tak, jak gdyby umówiła się ze śmiercią na spotkanie przy Ogniach Czarnoksięskich i była urażona

każdą małościową ludzką ingerencją, która opóźniała jej misję.

Światło w komnacie słabło. Wszystko pograżało się w półmroku. Gdy meble przestały już być wyraźnie widoczne, rozległo się stukanie do drzwi. Morgaine odpowiedziała. To była Flis.

- Pan kazał przyjść - oznajmiła.

- Już idziemy - odparła Morgaine. Dziewczyna czekała przez chwilę w otwartych drzwiach, poruszając nerwowo dłońmi, po czym uciekła.

- Ma pomieszczone w głowie, jak i reszta - oświadczyła Morgaine. - Ale jest bardziej żalosna.

Wzięła swój miecz oraz resztę ekwipunku, ukrywając pod szatą niektóre z należących do niej przedmiotów.

- Na wypadek - oświadczyła - gdyby ktoś grzebał w rzeczach pod naszą nieobecność.

- Wciąż mamy szansę na ucieczkę ku drzwiom - powiedział Vanye. - Skorzystajmy z niej, liyo. Jakoś dam sobie radę.

- Cierpliwości - nalegała. - Poza tym ten Kasedre jest interesujący.

- Jest również bezlitosnym mordercą.

- W Leth znajdują się Ognie Czarnoksiężskie - - stwierdziła. - Biorąc pod uwagę to, czym najwyraźniej stały się podczas mojej nieobecności, życie w ich sąsiedztwie jest niezdrowe. Nie chciałabym zostawać tu zbyt długo.

- Czy twierdzisz, że zło płynące z tego... z tych ogni, uczyniło ich takimi, jakimi są?

- Istnieją pewne emanacje - odparła - które są szkodliwe. Sama nie znam wszystkich skutków, jakie mogą wywołać. Wiem tylko, że nie podoba mi się pustkowie, które widziałam podczas drogi z Aenor-Pywn, a także to, co widziałam w Leth. Ci ludzie ulegli jeszcze głębszym zmianom niż drzewa.

- Nie zdołasz ich przestrzec - zaprotestował. - Jeśli im się sprzeciwiemy, mogą równie dobrze poderżnąć nam gardła. Jeśli zaś masz co do nich inne zamiary, na przykład...

- Uważaj - ostrzegła go. - Ktoś jest w korytarzu.

Kroki umilkły, po czym usłyszeli je ponownie, tym razem szybsze. Vanye zaklął cicho.

- Tu jest pełno podsłuchujących.

- Jesteśmy z pewnością dla nich najciekawszym obiektem w okolicy! -! odparła. - Chodźmy na dół, do sali.

A może nie czujesz się na siłach? Jeśli tak, oznajmię, że jestem niedysponowana - to przywilej kobiety - i opóźni nieco sprawę.

W istocie wizja spędzenia długiego wieczoru z szalonym panem Leth napełniała go lękiem, nie tylko ze względu na Kasedrego, lecz również na gorączkę, która wciąż płonęła w jego żyłach. Wolałby raczej odjechać, teraz, dopóki wciąż jeszcze miał siły. Gdyby na dole doszło do jakichś kłopotów, nie był pewien, czy zdoła pomóc Morgaine.

W gruncie rzeczy uważał, że sama może sobie poradzić, używając tej tajemniczej broni. To jej leworęczny ilin wymagał ochrony.

- Mógłbym tu zostać - oświadczył.

___ Żeby jego służba ci usługiwała? - zapytała. - Nie wypadałoby ci zaprzecć drzwi, jeśli byłbyś sam. Powiedz

tylko, że czujesz się źle, a zostaną z tobą i sama zabarykadydują drzwi.

— Nie - odparł. - Dam sobie radę. Poza tym masz chyba rację co do służby.

Pomyślał o Flis. Jeżeli zabawiała ona wszystkich w tym odrażającym dworze, z pewnością była dotknięta gorączką lub też cierpiała na jakąś brzydką chorobę. Przypomniał sobie bliźnięta, które zniknęły w ciemnościach jak para szczurów. Z jakiegoś powodu ich małe noże napełniały go większym lękiem niż strzały łuczników Myya. Nie mógł zadać im ciosu, na jaki zasługiwały. Fakt, że były dziećmi wciąż powstrzymywał jego rękę. One jednak nie miały skrupułów, a ich sztylety były ostre jak brzytwy. Jak szczury - pomyślał - jak szczury, które choć niewielkich rozmiarów, ale mają groźne zęby. Obawiał się też i o Morgaine, dopóki im podobni kręcili się po korytarzach i zmagali ze sobą w ciemnościach.

Wyszła. Podążył za nią w przepisowej odległości, pół kroku - zarówno ze względów formalnych, jak i z uwagi na bezpieczeństwo. Stwierdził, że w ten sposób może śledzić rzeczy, które miały miejsce, gdy Morgaine odwróciła wzrok. On był tylko ilinym. Nikt nie zwracał na niego uwagi, jej zaś obawiano się. Na tym dworze był to wyraz najwyższego hołdu.

Nawet bandyci, zebrani w sali, obserwowali ją z ostrożnością widoczną w ich płonących oczach. Budziła respekt. Ciekawe, że więcej obawy widać było, gdy już przeszła, niż w nonszalancji, którą okazywali jej w oczy. Zabiła więcej ludzi niż którykolwiek z nich - nawiedziła go niegodna myśl - to była przyczyna ich strachu.

Jednakże uyinowie, zebrani za stołami, obserwowali ją z uprzejmymi uśmiechami. W ich oczach również gorzała żądza, podobnie jak u bandytów, lecz starali się ją ukryć pod maską uprzejmości. Morgaine była nadzwyczaj piękna. Vanye trzymał tę myśl z dala od siebie. Niewiele kusilo go

u qujalów, a to najmniej ze wszystkiego. Gdy jednak ujrzał ją w tej sali - jej jasna głowa błyszczała jak słońce rozświetlające mrok, a jej wysmukła postać wyglądała tak wytwornie w tgiho, smoczy miecz nosiła z gracją kogoś, kto naprawdę był gotowy go użyć - nawiedziła go dziwna wizja: ujrzał, jak w gorączce, gniazdo zepsucia, gdzie potężny wąż prześlizgiwał się wśród pomniejszych, umykających stworzeń, bardziej zły, niż one, śmiertelnie niebezpieczny i nieskończenie piękny, wznoszący swe ciało ponad nimi i hipnotyzujący je swymi bazylijszkowymi oczyma - uśmiechnięta śmierć marząca o śmierci.

Zadrzał pod wpływem tej wizji. Ujrzał, że ukłoniła się Kasedremu, a więc i on złożył mu swój hołd, nie patrząc na jego bladą, szaloną twarz. Wycofał się na swoje miejsce i, gdy ich obsłużono, obejrzał i obwąchał dokładnie wino, które im podano.

Morgaine wypila je. Zastanowił się, czy jej magia czyni ją odporną na trucizny i narkotyki, i czy potrafi ochronić i jego, który odporny nie był. Sam pił niewiele i oczekował długo między łykami, by się upewnić, czy nie pojawi się choćby lekkie oszołomienie. Nic takiego jednak się nie stało. Jeśli zamierzano ich otruć, czyniono to w bardziej

subtelny sposób.

Dania były rozmaite. Oboje jedli najprostsze, czyniąc to powoli. Wino płynęło nie kończącym się strumieniem, lecz pili go niewiele. Wreszcie, po długim czasie, zabrano ostatni talerz i służący dolali im jeszcze wina. Morgaine i Kasedre wciąż uśmiechali się do siebie.

- Pani Morgaine - odezwał się Kasedre - zadałaś nam zagadkę i obiecałaś rozwiązać ją wieczorem.

- Masz na myśli Ognie Czarnoksiężskie?

Kasedre przesunął się wzdłuż stołu, aby usiąść przy niej. Skinął energicznie ręką na skrybę w połatanym szacie, który przez cały wieczór stał tuż za jego plecami.

- Pisz, pisz - rozkazał mu. Na każdym liczącym się dworze znajdował się archiwista, który prowadził wszelkie zapiski oraz księgi rachunkowe.

- Jakże ciekawa byłaby dla mnie twoja Księga - szepnęła Morgaine. - Przez tyle czasu byłam wyłączona ze spraw ludzi. Uczyn mi tę łaskę, mój panie Kasedre, i pożycz mi na chwilę swoją Księgę.

Litości - pomyślał Vanye - czy jesteśmy skazani na pozostawanie tu dłużej? Miał nadzieję, że szybko się stąd wycofają. Spojrzał na objętość księgi i na znudzone paniątką, siedzące wokół stołu i pograżające się w winie. Wyglądały jak dzikie bestie spragnione mordy. Zastanowił się z niepokojem, jak długo potrwa ich cierpliwość.

- To dla nas zaszczyt - odparł Kasedre. Zapewne po raz pierwszy od wielu lat ktokolwiek zainteresował się zatechłym tomem Leth, pełnym z pewnością opisów morderstw oraz aktów kazirodztwa. Niewiele wieści z Leth docierało na zewnątrz, lecz plotki, które na ich temat krążyły, były nader ponure.

- Dziękuję - powiedziała Morgaine, biorąc od skryby zbutwiały tom, podczas gdy biedny, stary pisarz - nędznie wyglądający starzec cuchnący alkoholem - usiadł u jej pokrytych brokatem kolan i spojrzał na nią w górę, zmarszczywszy czoło i zmrużywszy oczy. Ciekło mu z nosa i co chwilę wycierał go rękawem. Morgaine otworzyła księgę, której zbutwiałe strony pozlepiały się ze sobą. Obchodziła się z nimi ostrożnie - rozdzielała je paznokciem i delikatnie przewracała w poszukiwaniu lat, które ją interesowały.

Gdzieś z tyłu sali niektórzy z mniej wykształconych gości bankietu pograżyli się w hałaśliwej rozmowie. Wyglądało na to, że trwała tam jakaś gra hazardowa. Morgaine nie zwracała na to zupełnie uwagi, choć Kasedre wydawał się tym zirytowany. Sam pan Leth przykucnął obok, wsłuchując się z lękiem w jej długie milczenie. Palec wskazujący Morgaine przesunął się po linijkach. Vanye mógł dostrzec ponad jej ramieniem pożółkły pergamin oraz słabo już widoczny zrudziały atrament. Było cudem, że ktoś, kto - jak ona - miał tak niepewną wymowę, mógł w ogóle odczytać te starodawne bazgroły, niemniej jej wargi porużyły się, gdy w myślach odczytywała napisane słowa.

- Mój stary, drogi Edjnel - powiedziała cicho. - Tu jest o jego śmierci - co, zamordowany? - Kasedre wyciągnął szyję, aby dostrzec słowa. - I jego córka, och, mała Linna, utonęła przy brzegu jeziora. To smutne wieści. Leth Tohme z pewnością przejął władzę...

- Mój ojciec - przerwał jej Kasedre. - Był synem Tohmego.

Wciąż rzucał na jej twarz niespokojne spojrzenia, jakby obawiał się nagany.

- Pamiętam Tohmego - powiedziała. - Bawił się u kolan swej matki, pani Aromwel. Nadzwyczaj miła i piękna kobieta. Była Chya. Przyjechałam do tego dworu pewnej nocy... - cofnęła się o kilka kruchych stron. - Tak, to tutaj, "...przybyła wtedy do dworu, wieści smutne przynosząc. Pan Aralde..." - brat Edjnela i mojego przyjaciela Lrie, który pojechał ze mną do Irien i tam zginął. - "którego los zły spotkał, gdy jechał w jej kompanii, aby ocalić Leth od mocy złych..." - tak, tak, z panem Araldem to kolejna smutna sprawa. Był dobrym człowiekiem, ale miał pecha. Trafiała go strzała wypuszczona z gąszczu. Wilki były już wtedy na moim tropie - "...bała się więc, że granice padły i nikt nie podaży na ratunek Środkowym Królestwom, oprócz Chya i Leth, a i ci ucierpieli srodze i mężów wielu stracili. Pożegnała więc Leth i opuściła dwór ku żalowi wielkiemu..." No cóż, to nie należy do sprawy. Cieszmy się, że żałowano mojego odejścia przynajmniej w Leth.

Jej palce przerzuciły dalsze strony.

- O, to jest nowa wiadomość. Mój stary przyjaciel Zri. On był doradcą Hiffwy'ego, wiecie? Czy nie wiecie? No, tak...

"Chya Zri do Leth przybył, przyjaciel królów Korisu" - na jej twarzy wykwitł drapieżny uśmiech, jak gdyby bardzo ją to rozbawiło. - Przyjaciel - roześmiała się cicho. - Zaiste, przyjaciel żony Tiffwy'ego. I w tym tkwił szkopuł. Kasedre szarpał swój rękaw obiema rękami. Przenosił rozgorączkowane spojrzenie z niej na księżę i z powrotem. - Zri był tu bardzo szanowany - powiedział. - Lecz umarł.

- Zri był lisem - odparła Morgaine. - Och, to był spryciarz. To podobne do niego, że ostatecznie nie znalazł się w Irien, choć wyruszył razem z nami. Zri umiał trzymać ucho przy ziemi. Potrafił zwęszyć zagrożenie, jak mawiał Tiffwy. Edjnel nigdy mu nie ufał, lecz Tiffwy niestety tak. Dziwi mnie doprawdy, że Edjnel go przyjął, gdy się pojawił u bram Leth. "...zaszczycił nas swą Obecnością, nauczyciel... młodego księcia Leth Tohmego... doradzał mu w różnych sprawach państwowych i publicznych, był też opiekunem pani Chya Aromwel i jej córki Linny po tragicznym zgonie Leth Edjnela...".

- Zri był nauczycielem mojego dziadka - oznajmił Kasedre, gdy Morgaine pogrążyła się w myślach. Nie przestawał nerwowo gadać, pragnąc się jej przypodobać. - I mojego ojca też, przez pewien czas. Był stary, ale miał dużo dzieci...

Jeden z uynów zachichotał tuż za nim, bardzo nierozważnie. Leth Kasedre odwrócił się, spojrział w tamtą stronę, a ów skłonił się szybko, padając na twarz i błagając o wybaczenie. Twierdził, że rozbawiło go coś, co wydarzyło się z tyłu sali.

- Jakiego rodzaju człowiekiem był Tohme? - spytała Morgaine.

- Nie wiem - odparł Kasedre. - Utopił się. Jak ciotka Linna.

- Kto był twoim ojcem?

- Leth Hes. - Kasedre napuszył się lekko. Nalegał, że sam przewróci strony, aby jej to pokazać. - Był wielkim panem.

- Uczył go Zri.

- Miał też bardzo wiele złota - Kasedre nie pozwolił się zbić z tropu. Nagle jednak jego twarz przybrała smutny wyraz. - Nigdy go nie widziałem. Zginął. Również się utopił.

- To wielkie nieszczęście. Powinam się trzymać z dala od wody, mój panie Leth. Gdzie to się zdarzyło? Nad jeziorem?

- Oni sądzą... - Kasedre ściszył głos - że mój ojciec popełnił samobójstwo. Zawsze był ponurego usposobienia. Wiele rozmyślał na temat jeziora. Zwłaszcza, gdy odszedł Zri. Gn...

- Utonął?

- Nie. Odjechał i nigdy nie wrócił. To była straszna noc. Był już zresztą stary - Kasedre wydał wargi. - Odpowiedziałem na każde z twoich pytań. Ty również obiecałaś mi odpowiedź, lecz jej nie udzieliłaś. Gdzie byłaś przez te wszystkie lata? Jeżeli nie umarłaś, to co się z tobą stało?

- Ten - odparła, nie przestając jednocześnie czytać - kto wjedzie w Ognie Czarnoksiężskie w Aenor-Pywn, pozna odpowiedź. Każdy może tego dokonać. Są jednak pewne... koszta.

- Czy Ognie Czarnoksiężskie w Leth by wystarczyły? - zapytał zlizując wilgoć z kącików warg.

- Najpewniej - odparła. - Jest w tym jednak pewne ryzyko. Ognie mogą niekiedy wyrządzić szkodę. Wiem, że te w Aenor-Pywn nie są niebezpieczne. Nie wyrządzą nikomu krzywdy na ciele. Nie zapuściłabym się jednak w ognie Leth, nie obejrawszy ich przedtem. Leżą nad jeziorem, które, jak słyszę, pochłonęło tyle ofiar. Nie radziłabym korzystać z ich pomocy. Udaj się raczej do Aenor-Pywn.

Nadal poświęcała mu jedynie część swojej uwagi. Przerzucała wielkie, zbutwiałe stronice jedną po drugiej. Nagle jej wzrok skierował się na starego skrybę.

- Wydajesz się tak stary, że mógłbyś niemal mnie pamiętać.

Biedny, trzęsący się starzec spróbował wykonać głęboki ukłon w podziękę za to, iż Morgaine zwróciła się bezpośrednio do niego, nie zdołał jednak uczynić tego z wdziękiem.

- Pani, jeszcze się wtedy nie narodziłem.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem, po czym roześmiała się cicho. - Nie mam już więc żadnych przyjaciół w Leth. Nikt tu nie jest starszy od ciebie.

Przerzucała dalsze strony, coraz szybciej i szybciej.

- "...tego smutnego dnia pochowano Leth Tohmego, który liczył lat siedemnaście,; i jego małżonkę... panią Leth Jeme..." No proszę, wspólny pogrzeb.

- Moja babka powiesiła się z żalu -^ wyjaśnił Kasedre.

- Och, więc twój ojciec musiał zostać panem Leth w bardzo młodym wieku. I Zri musiał mieć wielką władzę.

- Zri. Zri. Nauczyciele są tacy nudni.

- Czy ty miałaś nauczyciela? •

- Nazywa się Liell. Chya Liell. Jest teraz moim doradcą.

- Nie miałam okazji go poznać.

Kasedre przygryzł wargi.

- Nie chciał dziś tu przyjść. Powiedział, że źle się czuje. ' • ' ' ' ' ' ' ' •

-Liell z Chya...: urządził zabawę wspaniałą... z okazji narodzin Leth Kasedrego, najczcigodniejszego z panów... dwie dziewice z..." W istocie - Morgaine mrugnęła i przebiegła wzrokiem całą stroną. - Bardzo niezwykle. A widziałam już wiele różnych rozrywek.

- Liell jest bardzo zdolny - odparł Kasedre. - Wynajduje różne sposoby, aby nas zabawić. Nie chciał tu dzisiaj przyjść, dlatego jest tak spokojnie. Wymyśli coś na jutro.

Morgaine wciąż przeglądała stronicę.

- To ciekawe |- zapewniła Kasedrego. - Muszę cię przeprosić. Z pewnością cię nudzę i przeszkadzam twemu skrybie opisać moją wizytę, ale to mnie zainteresowało. Spróbuję ci się odwdziaczyć za twoją gościnność i cierpliwość.

Kasedre skłonił się bardzo nisko. Nie pomyślał o tym, że zmusi to wszystkich siedzących za najbliższym stołem do złożenia takiego samego hołdu. | ' • |

- Zapisaliśmy bardzo dokładnie wszystkie szczegóły twojej wizyty u nas. To wielki zaszczyt dla naszego dworu. -| Leth zawsze było dla mnie bardzo gościnne.

Kasedre wyciągnął rękę, całkowicie wbrew zasadom przyzwoitości - jak dziecko zafascynowane błyskotką - i jego drżące palce dotknęły dłoni Morgaine oraz rękojeści "Odmieńca".

Morgaine zamarła. Każdy jej mięsień zastygł na moment. Następnie delikatnie cofnęła swe ramię i zdjęła jego palce z rękojeści smoczego miecza.

Mięśnie Vanyego stały się twarde jak skała. Jego lewa dłoń powędrowała już w stronę bezimiennego miecza, który miał u pasa. Mogli dotrzeć co najwyżej do środka sali, zanim pięćdziesiąt mieczy nie posieka ich na kawałki. A on będzie musiał osłaniać ją od tyłu.

Kasedre cofnął rękę.

- Wyciągnij miecz - nalegał. -• Wyciągnij. Chcę go obejrzeć.

- Nie - odparła. - Nie w przyjaznym dworze.

- Wykuto go tutaj, w Leth - powiedział Kasedre z błyskiem swych ciemnych oczu. - Mówią, że użyto do tego magii samych Ogni Czarnoksięskich. Kowal z Leth pomógł wykonać jego rękojeść. Chcę go obejrzeć.

- Nigdy się z nim nie rozstaję - odparła Morgaine cicho. - Bardzo go cenię. Zrobił go Chan, najdroższy z moich towarzyszy, oraz Leth Omry, jak powiedziałaś. Chan nosił go przez jakiś czas, lecz oddał mi go, zanim poległ w Irien. Nigdy się z nim nie rozstaję i z sympatią myślę o moich przyjaciółach z Leth, gdy wspominam, gdzie go wykuto.

- Pozwól nam go zobaczyć - powtórzył.

- Sprowadza nieszczęście za każdym razem, gdy się go wyciąga - odparła. - I dlatego nie uczynię tego.

- Domagamy się jednak.

- Nie chciałabym - zimny uśmiech powrócił na jej oblicze - sprowadzić żadnego nieszczęścia na dom Leth. Uwierz mi.

Na twarzy Kasedrego pojawił się grymas. Jego spocone policzki poczerwieniały, a oddech stał się szybszy. W sali nagle zapanowała cisza.

- Domagamy się - powtórzył.

- Nie - odparła Morgaine. - Nie uczynię tego.

Spróbował złapać miecz ręką, a gdy uniknęła jego uchwytu, rozzłoszczony chwycił księgę, zerwał się na równe nogi i wrzucił ją do paleniska, aż węgle rozprysły się na wszystkie strony.

Stary skryba popędził bokiem za księgą, łkając głośno i rozlewając przy tym atrament, który poplamił jego szaty. Ocalił wolumin i usiadł na podłodze strzepując drobne węgielki przypalające krawędzie tomiska. Jego stare wargi poruszały się, jak gdyby przemawiał do księgi.

Kasedre zaczęła wymyślać swym gościom z wrzaskiem, aż piana zebrała mu się w kącikach ust, a twarz przybrała wielce niepokojący fioletowy kolor. Głównym zarzutem, jaki stawiał, była niewdzięczność. Płakał i przeklinał.

- Qujalska wiedźma •- wołał. - Wiedźma! Wiedźma!

Wiedźma!

Vanye zerwał się na nogi. Nie wyciągnął jeszcze miecza, był. jednak pewien, że będzie musiał to uczynić.

Morgaine pociągnęła jeszcze łyk wina, po czym również wstała z krzesła. Kasedre nie przestawał krzyczeć. Podniósł na nią rękę, lecz zadrżał, jakby nie miał odwagi uderzyć.

Morgaine nawet nie drgnęła. Vanye zaczął wysuwać miecz z pochwy.

W sali ponownie rozległ się tumult, lecz ucichł gwałtownie, poczynając od drzwi. Stał w nich wysoki, chudy mężczyzna, od którego biła aura dostojności. Mógł mieć czterdzieści, a może pięćdziesiąt lat. Wokół zapadło milczenie, jedynie Kasedre jęczał pod nosem opryskliwym tonem. I wtedy, co niewiarygodne, ta zjawa, ten ośrodek autorytetu, podszedł do Kasedrego i uklęknął przed nim, składając mu przepisany hołd.

- Liell - odezwał się Kasedre drżącym głosem.

- Opróżnijcie salę - powiedział Liell. W jego głosie nie było szaleństwa. Brzmiał spokojnie i stanowczo. Ze strony sali nie dochodził żaden hałas, nawet od bandytów siedzących z tyłu. Uyin zaczęli się wymykać. Kasedre przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby miał zamiar się mu sprzeciwić, lecz Liell spojrział tylko na niego, a pan zamku uciekł, kryjąc się w cieniu za zasłonami.

Liell wykonał przed nimi płytki, staranny ukłon.

- Sławetna Morgaine Kri Chya - odezwał się cicho.

W jego głosie brzmiał rozsadek. Vanye wydał z siebie ciche westchnienie ulgi i schował miecz z powrotem do pochwy.

- Nie jesteś najbardziej pożądanym gościem na tym dworze - mówił Liell. - Ostrzegam cię jednak, Morgaine.

Cokolwiek sprowadziło cię tutaj, jeśli rozdrażnisz Kasedrego, możesz wrócić tam, skąd przyszłaś. On jest jak dziecko, ale ma innych na swoje rozkazy.

-• Mam wrażenie, że jesteśmy z tego samego klanu - odparła. Była to chłodna wymówka za jego nieuprzejmość. - Jestem adoptowana przez Chya, ale łączy nas

klan, ciebie i mnie. !!!.<!

Uklonił się ponownie, tym razem, jak się wydawało, z wyrazem prawdziwego respektu.

- Proszę o wybaczenie. To wszystko jest dla mnie niespodzianką. Gdy doszły do mnie wieści o tobie, nie uwierzyłem w nie. Pomyślałem, że być może jakaś oszustka chce coś od nas wyłudzić. Widzę jednak, że to naprawdę ty. A kim jest ten człowiek?

- Wszyscy jesteśmy rodziną - odparł Vanye z odcieniem bezczelności, wywołanym faktem, że Liell nie był uprzejmy dla Morgaine. - Jestem Chya ze strony matki. Liell uklonił się mu. Przez chwilę jego dziwnie szczere spojrzenie spoczęło na nim, gasząc jego gniew.

-| Jak się nazywasz, panie?

- Vanye - odparł wstrząśnięty tą niespodziewaną uprzejmością.

- Vanye - powtórzył Liell cicho. -• Vanye. Tak, to jest imię Chya. Nie mam tu jednak wiele do czynienia z tym klanem. Mam inne zajęcia... Pani Morgaine, pozwól, niech cię odprowadzę na pokoje. Narobiłaś tu mnóstwo zamieszania. Usłyszałem krzyki, więc zszedłem... ci na ratunek, jeśli wybaczysz.

Morgaine skinęła głową na znak podziękowania i podażyła za nim. Vanye, pominięty przez nich, szedł kilka kroków z tyłu, uważając na drzwi i korytarze.

- Naprawdę z początku w to nic uwierzyłem - ciągnął Liell. - Myślałem, że Kasedre znowu ma swoje humory, albo że ktoś chce go nabrać. Jego urojenia są bardzo skomplikowane. Czy mogę zapytać, dlaczego...

Morgaine wypróbowała na Liellu swój olśniewający, fałszywy uśmiech.

- Nie - odparła. - Nie mówię nic o swoich zamiarach tym, których zostawiam za sobą. Wkrótce wyruszę w drogę. Nie pragnę żadnej pomocy, więc to, co zamierzam uczynić, nie ma dla was znaczenia.

- Czy udajesz się w stronę terytorium Chya?

- Mam prawa członka tego klanu - odparła. - Wątpię jednak, czy przyjmą mnie teraz równie ciepło, jak wtedy. Opowiedz mi o sobie, Chya Liell. Jak stoją sprawy w Leth w tych dniach?

Liell wskazał swą delikatną dłonią na otoczenie. Był mężczyzną przystojnym i pełnym wdzięku. Włosy miał srebrne, a ubiór skromny, w kolorze ciemnoniebieskim. Uniósł barki w westchnieniu.

- Widzisz sama, pani, jak tu jest. Utrzymuję jakoś Leth w całości, wbrew wszystkiemu. Dopóki Kasedre jest zajęty swoimi rozrywkami, Leth kwitnie. Jednakże jego rozrzedzona krew nie zdoła spłodzić następców. Synowie i wnuki Chya Zri - który, jak wiem, nie zdobył u ciebie uznania - są bastionem Leth w dniach jego schyłku. Służą mi dzielnie. Ci w sali - to potomstwo Leth, tyle ile go zostało.

Morgaine powstrzymała się od komentarza. Zaczęli wchodzić po schodach. Zza węgła spojrziała na nich mała, skurczona twarz, która jednak szybko zniknęła.

- Bliźnięta -- odezwał się Vanye.

- Och - odparł Liell. - Hshi i Tlin. Wredne bękarty.

- Za to bardzo zręczne - zauważył Vanye kwaśnym tonem.

- Są Leth. Hshi jest harfiarzem we dworze, a Tlin śpiewa. Oboje też kradną. Nie wpuszczajcie ich do swego pokoju. Podejrzewam, że to Tlin odpowiada za to, iż się tu znaleźliście. To, co mi opisano, bardzo przypomina jej wybryki.

- Nie musiała zadawać sobie trudu - stwierdziła Morgaine. - Moja droga z konieczności wiodła przez Ra-leth. Poza tym miałam ochotę tu zajrzeć. Ta dziewczynka może być prawdziwą zarazą.

- Proszę was - odparł Liell - zostawcie bliźnięta mnie. Nie sprawiają wam kłopotu... Co tym razem zdenerwowało Kasedrego?

- Podniecił się nadmiernie - odrzekła Morgaine. - Mam wrażenie, że nie widuje obcych zbyt często.

- Nie takich ludzi, z pozycją, i nie w tych warunkach. Wspięli się na szczyt schodów i weszli w korytarz, prowadzący do ich apartamentów. Służący byli zajęci zapalaniem lamp. Gdy Liell i Morgaine minęli ich, skłonili się głęboko.

- Czy się najedliście? - zapytał Liell.

- Wystarczająco - odparła.

- Spij dobrze, pani. Nic nie zakłóci twego spokoju. Gdy Morgaine przekroczyła próg, Liell ukłonił się z szacunkiem, lecz gdy Vanye chciał podążyć za nią, powstrzymał go wyciągnięciem ręki.

Vanye zatrzymał się z dłonią na rękojeści miecza, lecz Liell nie zamierzał najwyraźniej go atakować, a jedynie z nim porozmawiać. Pochylił się ku niemu i położył mu rękę na ramieniu - poufałość, na którą można było sobie pozwolić ze służącym. Zaczął szeptać do niego pośpiesznie:

- Grozi jej wielkie niebezpieczeństwo. Jedynie ja obawiam się jej siły i możliwości. Musi stąd uciekać jeszcze dziś. Powiadam ci szczerze - przysunął się jeszcze bliżej, aż plecy Vanyego oparły się o ścianę i zacisnął swą rękę na jego ramieniu z wielką siłą. - Nie ufaj Flis, a zwłaszcza bliźniętom i strzeż się wszystkich ludzi Kasedrego.

- Do których ty nie należysz?

- Nie chciałbym, żeby ten dwór został zniszczony, co mogłoby się zdarzyć, jeśli Morgaine poczuje się urażona. Proszę cię. Wiem, czego ona szuka. Chodź ze mną, to ci pokażę.

Vanye zastanowił się nad tym, spoglądając w ciemne, spokojne oczy tamtego. Był w nich jakiś szczególny smutek, magnetyzm wymuszający zaufanie. Mocne palce wbiły się w jego ramię w sposób intymny i natarczywy zarazem.

- Nie - odparł, z trudnością wypowiadając słowa. - Jestem ilinem. Słucham jej rozkazów. Nie załatwiam za nią spraw.

Wyrwał się z uścisku palców Liella i skierował ku drzwiom, drżąc tak, że nie mógł natrafić ręką na rygiel. Otworzył je wreszcie i zamknął dokładnie za sobą. Morgaine spojrzała na niego pytająco, a nawet wyraziła niepokój. Nie odpowiedział jej. Czuł się chory na duszy. Obawiał się, że postąpił źle, nie zaufawszy Liellowi, lecz jednocześnie cieszył się, iż tego nie uczynił.

- Musimy stąd uciekać - nalegał. - Natychmiast.
- Muszę się jeszcze dowiedzieć kilku rzeczy - odparła. - Odkryłam zaledwie fragment odpowiedzi. Chcę poznać resztę. Jest to możliwe tylko, jeśli tu zostaniemy. Nie sposób było spierać się z Morgaine. Ułożył się przy kominku, małym i dymiącym, który ogrzewał pokój za pośrednictwem wspólnego przewodu. Rozgrzewał się na gorących kamieniach. Łóżko pozostawił jej, o ile zechce z niego skorzystać.

Nie zrobiła tego, lecz zaczęła chodzić po pokoju. Na koniec jej niepokój osiągnął pewien rytm i przestał doprowadzać Vanyego do szału. Gdy już zdażył się do tego przyzwyczaić, uspokoiła się. Widział, że stoi przy oknie, spoglądając w ciemność przez szparę w żaluzji, przez którą do ich i tak chłodnego pokoju wpadał zimny powiew.

- Wydaje się, że mieszkańcy dworu Leth nigdy nie śpią -! powiedziała w końcu, gdy zmienił pozycję, aby uchronić stawy przed zeszywnieniem. - Widzę na śniegu ludzi z pochodniami.

Mruknął coś w odpowiedzi, westchnął i odwrócił z zaniepokojeniem wzrok, gdy zauważył, że odeszła od okna i zaczęła przygotowywać się do snu. Ściągnęła narzutę i położyła ją w nogach łoża, odłożyła też resztę ekwipunku, zdjęła tunikę i lekką kolczugę przedniej jakości, która sama w sobie warta była całego majątku wielu współczesnych królów, oraz buty i ciepłą skórzaną bluzę. Następnie położyła się, wolna od ciężaru zbroi, smukła i kobieca, w spodniach do jazdy konnej oraz cienkiej płóciennej koszuli. Odwrócił wzrok po raz drugi, nie spoglądając na nic konkretnie, aż usłyszał, że układa się wygodnie na łożu.

!- Nie musisz być aż tak uprzejmy - szepnęła, gdy spojrzął z powrotem na nią. - Odstąpię ci twoją połowę.
- Tu jest ciepło - odparł. Było mu bardzo niewygodnie na twardej podłodze. Żałował, że ujrzał ją tak, jak przed chwilą. Miała na myśli- jedynie to, co powiedziała, nic więcej. Wiedział o tym dobrze i nie winił jej za to. Usiadł przy ogniu z ramionami zwartymi w uścisku aż do bólu. Starał się pamiętać, że jest ilinem. Był sługą. Musiał chodzić z tyłu. Położenie się obok niej bez zbroi tak długo tylko było dobre, jak długo ona na to pozwalała.

Qujal. Wbił sobie tę myśl w głowę, aby ochłodzić w ten sposób swą krew. Była aujalem. Śmiertelnie niebezpiecznym. Mężczyzna ludzkiej krwi nie powinien myśleć o niej inaczej.

Przypomniał sobie naleganie Liella. Rozsądek widoczny w jego oczach przyciągał go jak obietnica tego, że gdzieś jeszcze istnieje rozum. Żałował coraz bardziej i bardziej, że go nie usłuchał. Nie można już było twierdzić, że pozostają w Ra-leth ze względu na jego zdrowie. Gorączka mu spadła. Obejrzał rękę, którą potraktowała swym lekarstwem, i stwierdził, że jest pokryta strupami i tylko lekko zaczerwieniona w okolicy rany. Opuchlizna ustąpiła. Był wciąż słaby, ale zdolny do jazdy. Nie istniał już powód, dla którego miałyby tu zostać, nie licząc faktu, że pragnęła czegoś od Kasedrego i jego szalonej świty. Czegoś na tyle ważnego, aby narażać życie ich obojga. !

To było nie do zniesienia. Czuł sympatię dla Liella, zdrowego na umyśle człowieka, zmuszonego do życia w tym

koszmarze. Rozumiał dobrze, że taki człowiek mógł tęsknić do innego życia i martwić się na widok drugiego rozsądnego człowieka wpadającego w pajęczynę.

- Pani - wstał i podszedł do jej łoża, budząc ją ze snu. - Pani, uciekajmy stąd.

__ Idź spać - rozkazała mu. - Niczego nie dokonamy tej nocy. Cały dwór jest w ruchu, jak gniazdo os.

Ponownie położył się przy ogniu pogrążony w swym nieszczęściu. Po chwili ogarnął go sen.

Obudziło go drapanie w drzwi. Choć ciche, wśród panującego wokoło milczenia zabrzmiało złowieszczo. Nie ustaowało. Ruszył w stronę Morgaine, lecz przypomniał sobie, że już raz ją obudził. Nie chciał ponownie wystawiać na próbę jej cierpliwości. Sięgnął po miecz, przestraszony, lecz zarazem zawstydzony swym strachem. Najpewniej były to tylko szczury.

Nagle dostrzegł powolny ruch zasuw. Drzwi zaczęły się otwierać, lecz oparły się o krzesło. Zerwał się na nogi. Morgaine również obudziła się i sięgnęła po broń.

- Pani - usłyszeli szept. - To ja, Liell. Wpuść mnie. Szybko.

Morgaine skinęła głową. Vanye odstawił krzesło na bok.

Liell wszedł do środka tak szybko, jak tylko mógł, i zamknął drzwi za sobą. Odziany był w płaszcz, jakby wybierał się w podróż.

- Przyniosłem prowiant dla was. Macie wolną drogę do stajni - powiedział. - Chodźcie. Musicie uciekać. Może nie być następnej szansy.

Vanye spojrział na Morgaine. Zaczął już szukać w myśli argumentów, które miały ją przekonać, lecz Morgaine zmarszczyła brwi i nagle skinęła głową.

- Cóż ci grozi, Chya Liell, za tę zdradę?

- Jeśli mnie złapią, stracę głowę. Jeśli zaś klan Kasedrego napadnie na ciebie, stracę dwór, w którym mieszkam, a obawiam się, że oni to uczynią, niezależnie od tego, czy Kasedre będzie tego chciał, czy nie. Chodź, pani, chodź. Wyprowadzę cię stąd. Wszyscy się uspokoili, nawet strażnicy. Dodałem melorne do wina, które Kasedre wypija przed snem. Nie obudzi się, a pozostali nic nie podejrzewają. Chodźmy.

|

Na korytarzu nikogo nie było. Przeszli ostrożnie po schodach, kilka zakrętów w dół, aż dotarli na parter. Na krześle przy drzwiach siedział strażnik. Głowa opadła mu na pierś. Coś w jego pozycji raziło. Prawa ręka zwisała wygięta w sposób, który byłby niewygodny dla kogoś przytomnego.

Tego też uspio - pomyślał Vanye. Mimo to przesz!-' obok ostrożnie, aż dotarli do drzwi.

I wtedy Vanye dojrzał ciemną wilgotną plamę pokrywającą cały przód szaty strażnika. Była słabo widoczna na ciemnym materiale. Nawiedziło go podejrzenie. Zmroziła go myśl, że zabito go z tak zimną krwią.

- To twoje dzieło? - szepnął do Liella tak, żeby Morgaine usłyszała. Nie wiedział, które z nich chce ostrzec. Bał się po prostu i pomyślał, że ten, kto był niewinny, powinien to zauważyć i mieć się na baczności.

- Szybciej - odparł Liell, otwierając wielkie drzwi.

Wyszli na podwórze, gdzie skryli się w cieniu potężnego wiecznie zielonego drzewa.

- Tędy, do stajni. Wszystko jest przygotowane. Pobiegli ukryci w cieniu. U drzwi stajni leżało jeszcze kilku zabitych. Nagle Vanyemu przyszło do głowy, że Liell może się łatwo obronić przed oskarżeniem o morderstwo i że to ich uznają za zabójców.

Gdyby zaś go nie usłuchali, Liell popadłby w poważne kłopoty. Podjął wielkie ryzyko, chyba że w tym dworze, wśród szaleńców, morderstwo było uważane za t>łahą rzecz. Stłumił w sobie te okropne myśli. Chciał się wreszcie wyrwać z murów Leth. Poczłł szybkie szturchnięcie znajomego miękkiego nosa w ciemności. Woń siana, skóry i koni oczyściły jego płuca z oparów rozkładu unoszących się we dworze. Dotknął w ciemnościach swej gniadej klaczy i wskoczył na jej grzbiet. Morgaine zatknęła smoczy miecz na jego stałe miejsce przy siodle i dosiadła Siptaha. Nagle dojrzał, że Liell wyprowadził z cienia jeszcze jednego konia, również osiodłanego.

- Odprowadzę was bezpiecznie do granicy terytorium Leth - oznajmił. - Nikt nie ośmieli się zabronić mi jeździć tam, gdzie chcę. Niekiedy jestem we dworze, a niekiedy mnie nie ma. W tej chwili myślę, że lepiej, żeby mnie nie było.

Gdy ruszyli powoli przez podwórze, z ich drogi umknął cień, mały i złożony z dwóch ciał. Na kamieniach chodnika rozległ się szybki tupot nóg.

Liell zaklął. To były bliźnięta.

- Jedźmy - powiedział. - Nie możemy już tego ukryć. Popędzili wierzchowce. Przy bramie również leżeli zabici. Było ich trzech.

Liell rozkazał mu ostrym głosem otworzyć bramę. Vanye zeskoczył z konia, dźwignął skobel i odsunął wrota. Umknął z drogi, gdy kary koń Liella i siwy Siptah śmignęły obok niego, unosząc swych jeźdźców w ciemność.

Wskoczył na grzbiet swojej klaczy - biedny konik nie mógł się równać z ogierami - i popędził w ślad za nimi z nagłą obawą, że sama śmierć zaczyna się budzić za ich plecami.

ROZDZIAŁ V

Jezioro Domen miało złą sławę - nie tylko w księdzi Leth. Wzdłuż jego brzegu biegła stara droga, obok drzew o nagich, poskręcanych gałęziach rysujących się na tle nocnego nieba. Śnieg tu nie padał - był on rzadkością na ziemiach korijskich, które leżały nisko - choć lasy rosnące u podnóża gór były zmarznięte i martwe. Światło gwiazd odbijało się w jeziorze o wodzie nieruchomej jak tafla lustra. Ludzie mówili, że w niektórych miejscach było bardzo głębokie.

Jechali teraz stępa. Z chrap rozgrzanych wierzchowców były widoczne w ciemnościach obłoki pary, a ich kopyta stukały na płaskich kamieniach, rozsianych na drodze. Wokół nich rozciągał się wyglądający znajomo las. Nagle Vanye zdał sobie sprawę, że okolica przypomina dolinę w Aenor-Pyvvn.

Bliskość Kamieni Mocy tłumaczyła powykręcane pnie drzew oraz rozciągające się wokół pustkowie, niezwykle . w miejscu tak bogatym w roślinność jak Las Korijski. Zbli-

żali się do Bramy Koris-leth. W powietrzu wyczuwało się osobliwe napięcie, jak przed burzą.

Po chwili, gdy jechali wzdłuż krętego brzegu jeziora, ujrzeni potężną kolumnę wystającą z jego czarnych wód. W słabym świetle księżyca wydawało się, że wykuto na niej jakiś napis. Jadać dalej, dojrzeni kikuty kolejnych kolumn, oznaczających miejsca, w których wody jeziora kryły stare ruiny budowli aupalów.

Na drugim brzegu dwie kolumny większe od pozostałych wieńczyły łyse wzgórze.

Morgaine ściągnęła wodze i wbiła wzrok w niezwykle, posępny widok zatopionego miasta oraz słupy widoczne na tle nieba. Nawet w nocy powietrze dookoła nich migotało. a najjaśniejsze gwiazdy, których światła nie zostały przyćmione, pobłyskiwały przez Bramę, jak przez warstwę zmąconej wody.

- Pościg już nam nie grozi - odezwał się Liell. —

Klan Kasedrego obawia się tego jeziora.

- Wygląda na to, że mają skłonność do utonięć — zauważyła Morgaine. Zsiadła z Siptaha, pogłaskała jego pysk i wytarła rękę o brzeg derki.

Vanye również zsunął się z konia. Łapał z trudem oddech. Sięgnął po wodze Siptaha oraz czarnego konia Liella. Oba ogiery nie mogły znieść swojej bliskości. Wyczerpany i zniecierpliwiony odprowadził Siptaha wraz ze swą klaczą, aby ją ochłodzić, przykrywając tymczasem narowistego wierzchowca Liella swym płaszczem. Powietrze było chłodne. Jechali tak szybko, że oba większe konie były wyczerpane, a jego małej Maiomal serce nie pękło, gdy usiłowała dotrzymać im kroku. Nie przestawał doglądać Mai. nacierając ją, by nie zmarzła. Oba pełnokrwiste konie odpoczęły i były znów gotowe do drogi. Wreszcie pozwolił jej napić się lodowatej wody i zjeść trochę owsa. Był uszczęśliwiony, gdy mógł potem zawinać się w swój płaszcz, który zdjął z karego ogiera, i spróbować zasnąć. Drżał pod wpływem - jak się obawiał - nawracającej gorączki. Słyszał ciche głosy Liella i Morgaine rozprawiających o sprawach Leth, dawnych morderstwach czy wypadkach, które wydarzyły się na tym brzegu.

Nagle Morgaine zakłóciła jego odpoczynek, gdyż pragnęła przypiąć sobie "Odmieńca", z którym nigdy się nie rozstawała. Przełożyła nad głową rzemień korijskiej roboty, na którym zamocowany był smoczy miecz, zawiesiła go sobie u biodra i udała się na brzeg jeziora. Czarna postać Liella podążyła za nią.

Wtem, w wielkiej ciszy, Vanye usłyszał daleki odgłos zbliżających się jeźdźców. Zerwał się i osiodłał wpierw Siptaha, gdyż jego pani była dla niego najważniejsza. Morgaine i Liell musieli już wtedy również dosłyszeć pogoń, ponieważ prędko wrócili. Vanye naciągnął odpowiednio popręg Siptaha i zabezpieczył go, po czym zaczął siodłać biedną Mai. Wiedział, że czeka ją śmierć. Jeśli będą ich ścigać przez dłuższy czas, mała klacz padnie pod nim. Było mu jej żal. Krew Nhi w jego żyłach sprawiała, że nazbyt kochał konie, aby je w ten sposób wykorzystywać, choć Nhi bywali okrutni pod innymi względami.

Liell osobiście osiodłał swego wierzchowca.

- Nadal wątpię - powiedział - żeby zapuścili się aż

nad sam brzeg.

- Wolę wierzyć w odległość niż w szczęście - odparła Morgaine. - Ty rób, jak chcesz, Chya Liell.

Wskoczyła na grzbiet Siptaha przytroczywszy "Odmienca" w jego stałym miejscu przy siodle i popędziła siwka piętami.

Vanye chciał dosiąść Mai i podążyć za nią, lecz dłoń Liella schwyciła go za ramię. Stracił równowagę, zachwiał się i spojrzał rozwścieczony na tamtego.

- Nie jedź za nią - syknął Liell. - Posłuchaj mnie.

Zanim to się skończy, ona zabierze ci duszę. Posłuchaj mnie, Chya.

- Jestem ilinem - sprzeciwił się. -- Nie mam wyboru.

- Cóż znaczy przysięga? - szepnął niespokojnie Liell, podczas gdy odgłos kopyt Siptaha na przybrzeżnych kamieniach stawał się coraz cichszy. -- Ona pragnie zdobyć moc, która pozwoli jej zniszczyć Środkowe Krainy - ciągnął Liell. - Nie wiesz, jak wielkie zło wspomagasz. Ona kłamie, Chya Vanye. Kłamała już przedtem, ku zgubie Korisu, Baienu i najlepszych klanów. Przyczyniła się do śmierci Morij-Yla. Czy pragniesz jej w tym pomóc? Czy zwrócisz się przeciw swym współpobratymcom? Przysięga ilina mówi, że masz zdradzić rodzinę i dom, ale nie liyo. Czy jednak każe ci ona zdradzić swą rasę? Pójdź ze mną. Pójdź ze mną, Chya Vanye.

Jak na starzejącego się mężczyznę Liell miał zaskakująco silny uścisk dłoni. Uchwycona w łokciu ręka Vanyego całkiem zdrętwiała. Twarde oczy tamtego lśniły w ciemności tuż przy Vanyem. Odgłosy pościgu zbliżały się.

- Nie! - krzyknął Vanye. Wyrwał się z uścisku i zaczął wsiadać na konia, lecz nagle ból eksplodował u podstawy jego czaszki. Świat zawirował mu przed oczyma. Przez moment widział brzuch Mai, gdy klacz zerwała się do ucieczki. Przeskoczyła nad nim. Na szczęście nie uderzyła go kopytami. Wdrapał się na skarpe na pół oślepiiony. Spróbował wyciągnąć miecz, lecz Liell rzucił się na niego i odciągnął mu dłoń od rękojeści. Był tak osłabiony, że tamten omal go nie powalił, lecz myśl o powrocie do Leth wprawiła go w szal. Wygiął ciało. Nie usiłował nawet się bronić, jedynie wyrwać z uścisku, wrócić do Morgaine i dotrzymać przysięgi, a przez to ocalić duszę. Mai była poza jego zasięgiem, lecz kary ogier pod ręką. Wskoczył na siodło i popędził wierzchowca, zanim jeszcze zdołał chwycić mocno wodze. Złapał je i pochylił się nisko w siodle, aby utrzymać równowagę. Czarne nogi błyskały w ciemności. Mięśnie ogiera naprężyły się, gdy przeskakiwał przez przeszkody, rozbryzgiwał wodę w zatoczkach jeziora i pokonywał wzniesienia. Kary rumak wreszcie wybiegał się do woli. Oddalili się od brzegu i zapuścili głęboko w las, lecz opętany strachem Vanye bezlitośnie pogonił wierzchowca. Zwierzę zebrało resztę sił i runęło naprzód.

Ujrzał przed sobą jasną postać Morgaine. Rozglądała się dokoła, najwyraźniej słysząc odgłos kopyt, i popędziła batem Siptaha. Krzyknął do niej zrozpaczony, zmuszając swego wierzchowca do dalszego wysiłku.

I wtedy zatrzymała się z bronią w ręku, czekając aż podjedzie bliżej.

- Vanye - zawołała cicho, gdy podjechał bliżej. -
Czyś został złodziejem? Co się stało z Liellem?
Sięgnął ręką ku tyłowi głowy. Czuł tam bolesne miej-
sce, mimo osłony skórzanego czepca. Znowu poczuł zawro-
ty głowy, nie wiedział, czy na skutek uderzenia czy też
gorączki.

- Liell nie jest ci przyjacielem - oznajmił.

- Czy go zabiłeś?

- Nie - zaczerpnął oddechu. Cieszył się, że może przez
chwilę przytrzymać się lęku siodła, zanim wróci mu jas-
ność widzenia. Następnie nakazał koniowi zwolnić. Siptah
dotrzymywał mu kroku. Żaden koń, który przebiegł całą
drogę z Ra-leth, nie mógłby ich teraz doścignąć.

- Jesteś ciężko ranny? - spytała.

- Nie.

- Co on uczynił? Czy wyciągnął broń przeciw tobie?

- Chciał mnie zatrzymać... przekonać, abym zламаł
przysięgę.

Była jeszcze druga rzecz, o której nie chciał jej mó-
wić - oddziaływanie wywierane przez Liella oraz uczucie
odrazy, jakiego doznał pod wpływem jego spojrzenia i go-
rączkowej pożądlivosti. Dotknięcie dłoni, która dwukrotnie
wpiła się okrutnie w jego ramię z chciwością dorównującą
głodowi, bijącemu z oczu.

To nie była rzecz, o której mógłby komukolwiek opo-
wiedzieć. Sam nie wiedział, jak to nazwać, dlaczego stał się
tego ofiarą, ani też czego Liell pragnął. Wiedział jedynie,
że wołałby zginać niż wpaść w ręce Leth, a zwłaszcza Liel-
la. Był odwrócony do niego plecami. Tamten mógł z łatwo-
ścią przeciąć mu ścięgna u kolan - najłatwiejszy sposób
na powalenie człowieka zakutego w zbroję - po czym na-
tychmiast zabić. Zamiast tego wymierzył mu cios w głowę
i zaryzykował starcie wręcz, mimo że z łatwością mógł go
uśmiercić. Zatem pragnął go wziąć żywcem.

Nie mógł wspominać tego bez drżenia. Nie chciał mieć
do czynienia z tym człowiekiem. Nawet posiadanie jego
uprzęży oraz konia napawało go wstrętem. Narowisty czarny
ogier był stworzeniem wspaniałym, lecz nie tak prawym,
jak jego mała Mai. Fakt, że pozostawił swą klacz w takich
rękach, napełniał go głębokim smutkiem.

Gęsty las zamknął się wokół nich. Rosły tu zdrowe i pro-
ste drzewa. Konie szły stępa. Nad głowami nie widzieli już
nieba, tylko splatające się ze sobą gałęzie. Wierzchowce były
wyczerpane, a oni sami oślepli niemal ze zmęczenia.

- To nie jest miejsce na postój - sprzeciwił się, gdy
Morgaine ściągnęła wodze. - Pani, śpijmy dziś w nocy
w siodle, prowadząc konie, dopóki to wytrzymają. To jest
Las Korijski. Może za twoich czasów było tu inaczej, ale
jesteśmy teraz w jego najbardziej dzikiej części. Proszę cię.
Westchnęła zasmucona, lecz wreszcie spojrzała na niego
i skinęła głową na znak zgody. Zsiadł z konia, ujął w ręce
wodze obu ogierów, zbyt już zmęczonych, by ze sobą wal-
czyć, i zaczął je prowadzić. ,

Morgaine jakiś czas odpoczywała, po czym pochyliła się
ku niemu i kazała stanąć, proponując, że teraz ona weźmie
wodze. Spojrzała na nią. Był tak zmęczony, że brakło niu
sił na spory, odwrócił się więc tylko i ruszył w dalszą dro-
gę. Zgodziła się na to milcząc. | ;

W końcu zasnęła w siodle, na sposób Kurshinów. Szedł tak długo jak zdołał, całe godziny, aż zaczął potykać się ze zmęczenia. Zatrzymał się wtedy i położył dłoń na szyi Siptaha. :'''''

- Pani - powiedział cicho, nie chcąc zmacić ciszy panującej w nasłuchującym lesie. - Pani, obudź się. Muszę się przespać. Jest spokojnie.

- Niech będzie - zgodziła się, zsiadając z siodła. - Znam drogę, choć ta okolica nie była wówczas tak dzika.

- Muszę ci powiedzieć - ciągnął ochrypłym głosem - iż sądzę, że Chya Liell podaży za nami, gdy tylko zbierze ludzi. Myślę, że powiedział nam wiele kłamstw, liyo.

- Co się zdarzyło między wami, Vanye?

Chciał jej odpowiedzieć. Zaczął zbierać słowa, lecz nie mógł się na to zdobyć.

- To dziwny człowiek - powiedział. - Pragnął bardzo, abym cię porzucił. Dwukrotnie próbował mnie do tego namówić - za drugim razem zupełnie otwarcie.

Zmarszczyła brwi.

- Doprawdy? Jaką formę przybrała jego propozycja?

- Że powinienem zapomnieć o swej przysiędze i podażyć za nim.

- Dokąd?

- Nie wiem. .

Jego głos zdrzął pod wpływem świeżego wspomnienia.

Pomyślał, że Morgaine może to zauważyć, złapał więc wodze karego ogiera i wskoczył na siodło.

Za pierwszym razem omal go nie usłuchałem. Za

drugim - wybrałem jednak twoje towarzystwo.

Jej niezwykła, blada twarz była zwrócona do niego w świetle gwiazd.

- Wielu z domu Leth utonęło w tym jeziorze. Albo przynajmniej zaginęło tutaj. Nie wiedziałam, że byłeś w niebezpieczeństwie. Nie opuściłabym cię tak łatwo, lecz doszłam do wniosku, że istnieje jakaś zмова między tobą a Liellem. Gdy więc za mną nie podążałeś... Nie odważyłam się zwlekać, czekając na tych, którzy mogli się okazać nieprzyjaciółmi.

- Wychował mnie klan Nhi - odparł. - My nie łamiemy przysięg, liyo.

- Proszę o wybaczenie - odparła, choć jako liyo nigdy nie musiała przeproszać ilina, niezależnie od tego, jak bardzo czuł się urażony. - Nie wiedziałam tego.

W tej chwili konie nagle spłoszyły się, mimo zmęczenia, odrzucały głowy do tyłu i rozszerzały chrapy. Białka ich oczu błysnęły w słabym świetle. Jakiś gadzi kształt przesliznął się na czterech łapach i zaszył w gąszczu, wijąc się jak wąż. To coś było wielkie i jasne. Wyglądało jak dotknięte trądem. Wciąż słyszeli, jak odpełzało.

Vanye rzucił przekleństwo. Żołądek nadal podchodził mu do gardła. Jego ręce zdołały uspokoić spłoszonego konia bez udziału świadomości.

- Idiotyzm - odezwała się cicho Morgaine. - Thiye nie wie, co czyni. Czy wiele tu takich stworzeń?

- Las jest pełen bestii, które on stworzył - odparł

Vanye. - Niektóre są płochliwe i nie szkodzą nikomu, lecz inne są straszliwe ponad wyobrażenie. Powiadają, że to on stworzył wilki korijskie, że nigdy nie były tak drapież-

ne i nie zabijały ludzi przed... - o mało nie powiedział "przed Irien", lecz nie uczynił tego, z szacunku do niej. - Dlatego nie możemy tu spać, pani. To są sztucznie stworzone zwierzęta i trudno je zabić.

- Nie zostały stworzone - odparła Morgaine - lecz sprowadzone. Masz jednak rację. To nie jest dobre miejsce na odpoczynek. Niektóre z tych zwierząt zginą jak niemowlęta umieszczone przedwcześnie w zbyt zimnym lub zbyt gorącym miejscu, inne będą nieszkodliwe, lecz jeszcze inne rozpienia się nadmiernie. Ivrel musi mieć daleki zasięg. Och Vanye, Thiye to ignorant. Wypuszcza na wolność takie rzeczy - sam nie wiedząc jakie. Albo sprawia mu przyjemność sianie spustoszenia.

__Skąd pochodzą podobne stworzenia?

- Z miejsc, w których żyją w stanie natury. Z innych czasów, innych Bram i terenów, gdzie takie stwory są naturalne i na miejscu. Jeśli nie powstrzyma się tego naporu, żadne z miejscowych zwierząt nie ocaleje. Ten atak jest skierowany nie tylko przeciw ludziom, lecz przeciw samej naturze. Wkrótce w całym Andur-Kurshu podobne stwory będą się wałęsały po łąkach. Chodźmy już.

Vanyemu odechciało się spać. Zatrzymał wodze w ręku. Gdy Morgaine poprowadziła ich w dalszą drogę, zamknął oczy, lecz i tak dostrzegł bladą jaszczurczą sylwetkę, wielką jak człowiek, biegnącą po otwartej przestrzeni. To był jeden z bezrozumnych potworków z Lasu Korijskiego, bardziej brzydki niż niebezpieczny.

Opowiadano o gorszych rzeczach. Wieści głosiły, że czasami znajdowano w pobliżu Irien truchła istot niewyobrażalnych, nieudanych dzieł sztuki Thiyeego. Niektóre z nich były prawie bezkształtne i jadowite w dotyku, a inne miały tak fantastyczne kształty, że nikt nie potrafił sobie wyobrazić, jak wyglądały za życia.

Fakt, że Morgaine również to przerażało, przynosił mu ulgę. Miała w sobie przynajmniej tyle ludzkich uczuć. Potem jednak przypomniał sobie chwilę, gdy nadjechała ku aiemu z miejsca, które nazwała „pomiędzy”, wyrzucona, |jak powiedziała, "na ten brzeg".

Zaczął niejasno podejrzewać, kim ona jest, choć nie potrafił wyrazić tego słowami. Pomyślał, że Morgaine i blade aonstrum dotarły do Andur-Kurshu tą samą drogą, z tym, że ona nie przybyła tu przypadkowo, lecz miała swój cel. Cel ten to Bramy, źródło mocy Thiyeego.

Przybyła tak, jak te nienaturalne stworzenia. Chciała zachwiać wszystkim, co leżało na tym brzegu. Gdyby zdobyła pozycję, którą zajmował pan Hjemuru, stałaby się nie mniej niebezpieczna niż on. Nic nie łączyło jej z Andur-

87

-Kurshem, nawet pochodzenie. Nie miała w stosunku do nich żadnych zobowiązań. Komuś takiemu właśnie służył. Liell twierdził, że ona kłamie. Niewątpliwie, któreś z nich kłamało. Zastanawiał się z rozpaczliwym niepokojem, co będzie, jeśli dowie się z całkowitą pewnością, że tą osobą jest Morgaine.

Coś zatrzepotało skrzydłami w ciemnościach - normalna sowa lub jakiś złowieszczy stwór. Przeleciało mu tuż nad głową. Zapanował z wysiłkiem nad swymi nerwami i poklepał po szyi niespokojnego ogiera.

Minęło wiele czasu, zanim nastał ranek i znaleźli przy ścieżce kawałek wolnego miejsca, przy którym odważyli się zatrzymać i przespać po kolei. Morgaine spała jako pierwsza. Żeby nie zasnąć, Vanye chodził wkoło lub gdy już musiał spocząć, celowo siadał niewygodnie. Na koniec zajął się uprzężą karego ogiera, która wciąż znajdowała się na zwierzęciu. W takiej okolicy nie odważyli się rozkulbaczyć koni, rozluźnili im tylko poprzęgi. Czuł się zawstydzony, że po raz drugi popełnił kradzież. Nie było jednak sensu wyrzucać zdobytych rzeczy. Przeszukał juki oraz torbę, aby dowiedzieć się, co posiadał, a także - zaświtała mu myśl - by zdobyć jakieś informacje o Liellu.

Odnalazł przedmiot, który udzielił mu odpowiedzi takiej, że żołądek podszedł mu do gardła.

Był to medal ze złota wprawiony w rękojeść noża, podobnego do tych, jakie wielu jeźdźców trzymało pod siodłem. Widniał na nim symbol o brzydkim, bryłowym kształcie, taki sam, jaki widział wyryty na Kamieniach. To był aujalin. Gdy tylko znajdowano jakieś dziwne i starożytne przedmioty, ludzie nazywali je aujalin i szybko pozbywali się ich, zakopując w ziemi lub wrzucając na głąbinę. Większość z nich stanowiły zapewne zapomniane osobliwości wywodzące się z Kurshu i całkiem nieszkodliwe. Z jakiegoś powodu nie sądził jednak, by ten przedmiot do nich należał.

Pokazał go Morgaine, gdy się obudziła, by przejąć wartę. - To irrhn - powiedziała mu. - Talizman. Na szczęście. Nie ma żadnego innego zastosowania - obracała go jednak w rękach, przyglądając się uważnie.

, _ Nie przyniesie szczęścia nikomu ludzkiej krwi - odparł Vanye. .: .

_ Klan Leth ma domieszkę krwi aujalów - powiedziała - _ A Liell jest ich nauczycielem. Nauczyciele rządzą tam od niemal stu lat. Każdy z dziedziców Leth spłodził syna i utonął w przeciągu roku. Jeśli Kasedre zdoła dokonać tego samego, najpewniej dołączy do swoich przodków, a Liell pozostanie przy jego synu jako nauczyciel. Ojciec Hsiego i Tlin -! dodała jakby nie na temat, spoglądając na nóż.

- Ciekawe, kto jest matką - mruknął Vanye kwaśno. - Zatrzymaj sobie ten nóż, liyo. Nie chcę go nosić, a może tobie przyniesie szczęście.

- Nie jestem aujalem - odparła. •< •

To stwierdzenie, pomyślał, kilka dni temu, gdy się spotkali, mogło go napełnić wątpliwościami, lub ulgą, teraz jednak wydawało się nieprzyjemnie pasować do jego podejrzeń na jej temat.

- Kimkolwiek jesteś - odparł - oszczędź mi wiedzy na swój temat.

Skinęła głową, akceptując jego prośbę bez widocznej urazy.

Zatknęła sobie nóż za pas i wstała z miejsca.

W tym momencie strzała o zielonym picrzysku wbiła się w ziemię między jej stopami.

Sięgnęła za siebie i wyciągnęła broń, równie szybko jak strzała. Lecz Vanye przytrzymał ją i odepchnął, ^nie zważając na to, że zadaje ból. To było ostrzeżenie Chya. Gdyby wystrzeliła, oboje zostaliby natychmiast pokryci zielonymi

| piórami.

- Nie strzelaj - rzucił do niej, po czym odwrócił się | rozłożonymi rękami ku niewidocznym obserwatorom.
i - Hai, Chya! Chya! Czy chcecie splamić swe dusze zabójstwem kuzynów? Jesteśmy członkami waszego klanu, bracia. .' :•

W gęstwinie coś zaszeleściło. Ujrzał wysokich, jasnowłosych mężczyzn - kuzynów jego matki - wyłaniających się z cienia, gdzie z pewnością zostało jeszcze kilku z napiętymi łukami wymierzonymi w ich serca. Celowo ustawił się pomiędzy nimi a dumną Morgaine, która była uparta jak Myya, co mogło stać się przyczyną jej śmierci. Nie zapytali nawet, jak się nazywają, lecz czekali, aż się odezwą i przedstawią sami. Poraził ich widok kogoś, kto został szczegółowo opisany w balladach liczących sto lat. Być może zastanawiali się, czy nie oszaleli. Mógł zrozumieć, co się działo w ich głowach. Patrzyli na Morgaine, a ona na nich, wściekła i trzymająca w ręku broń zdolna nieść śmierć szybciej niż ich strzały. Zabiliby ją, rzecz jasna, o ile w ogóle była śmiertelna, lecz i ona zadałaby im poważne straty, a jej ilin, który służył za tarczę, byłby z pewnością martwy. Słyszał o pewnym Myya, który zapędził się na drugą stronę granicy i odnaleziono go z trzema strzałami Chya w sercu, jedna przy drugiej. Klan Chya mieszkał na niegościnniej ziemi. Nie wiele gróźb robiło na nich wrażenie. Nie poddali się, prosząc o ochronę przed wdzierającymi się na ich teren bestiami, jak inne klany, ani też nie wyginęli, jak dwa z nich. Ohydne bestie z Hjemuru służyły im do zabawy. Zamknęli granicę z Hjemurem, trzymając Thiyego po jej drugiej stronie z czystej arogancji. Vanye oparł dłonie na udach i skłonił się z szacunkiem, czego Morgaine nie uczyniła. Nie poruszyła się w ogóle i całkiem możliwe, że Chya nie wiedzieli, iż grozi im jakieś niebezpieczeństwo.

- Jestem Nhi Vanye i Chya - powiedział. - Tlin tej pani, która ma prawa członka klanu Chya.

Przywódca, niski mężczyzna z prostym warkoczem uyo drugiego stopnia - kuzyna głównego klanu - postawił swój łuk na ziemi, oparł na nim obie dłonie i spojrzał na ilina.

- Nhi Vanye, kuzyn Chya Roha. Jesteś Chya, to prawda, sędziłem jednak, iż wiesz, że nic masz tutaj praw członka klanu.

— Ona je ma - odparł. Była to właściwa odpowiedź.

Tlin nie podlegał swemu własnemu prawu podczas służby u liyo. Mógł się zapuszczać na obcy teren równie bezpiecznie lub zagrożony, jak ona. - To jest Morgaine kri Chya, której nigdy nie odebrano jej praw.

Byli wystraszeni. Wyglądali jak ludzie obserwujący sen i usiłujący nie stać się jego częścią. Przenosili wzrok z niej na siwego ogiera Siptaha, a potem z powrotem na nią.

Miecze pozostały w pochwach, a łuki opuszczone w dół.

- Zabierzemy was do Ra-koris - oznajmił przywódca. - Jestem Taomen, tan-uyo.

W tej chwili Morgaine wykonała uprzejmy ukłon, i od tej pory Vanye zachowywał milczenie, jak przystawało słudze, którego liyo raczyła wreszcie ująć sprawy w swe wła-

sne ręce.

Widać było, że Chya nie cieszyli się z tego spotkania. Nie odebrano jej formalnie praw klanowych, ponieważ tego rodzaju zemsta na zmarłej z pewnością wydawała się bezcelowa. Ponadto młody pan Chya, Chya Roh, którego Vany nigdy nie widział, nadal szukał zemsty na Nhi za pohańbienie jego matki przez Rijana. Był pewien, że Roh wypuściłby strzałę w jego kierunku równie chętnie, jak Myya Gervaine, lecz zapewne znacznie celniej.

Wjechali na wielką polanę w Lesie Korijskim, skąpana w radosnym blasku południa, na której znajdowały się rozrzucone niedbale chaty z chrustu i drewnianych kłód. Chya - był to jedyny klan nie posiadający kamiennego dworu. Niegdyś znajdował się tu Ra-koris, wspaniała budowla, gdzie mieszkali Wielcy Królowie. Jego ruiny leżały niedaleko. Powiadano, że straszą tam rozgniewane duchy dumnych wojowników, którzy bronili się przed atakiem Hjemuru najdłużej i z największą zaciekleścią. Ich wnukom i prawnukom pozostał tylko dwór drewniany. Posiadali niewiele. Utracili wszystkie skarby. Jedyne zręczność w posługiwaniu się łukiem chroniła ich przed głodem. Ża-3 z nich jednak nie wyglądał na chorowitego, a kobiety i dzieci, które śledziły ich przyjazd, były wysokie i trzymały się prosto, choć ubrane w niewyszukane stroje. W tych ludziach odmalowywało się piękno. Zupełnie nie przypominali wyniszczonych członków klanu Leth.

Chłopcy biegli przed nimi na wyścigi, lecz wszędzie panowała niezwykła cisza, jak gdyby nawet w domu utrzymywano tu dyscyplinę taką, jak na polowaniu. Przy wielkim sklepieniu głównej chaty zebrała się największa liczba ludzi. Tam też zsiadli z koni, nadal eskortowani przez Taomena i jego towarzyszy. Nie zabrano im broni i traktowano z wielką uprzejmością. Wszyscy pośpiesznie ustępowali im z drogi.

Ra-koris było zadymionym dworem, zbudowanym z nieociosanych kłód, o podłodze z gliny. Miało jednak pewien urok. Był to piętrowy budynek o wielu korytarzach prowadzących do sali głównej. W oknach za zasłony służyły wygarbowane skóry ozdobione frędzlami. Na ścianach wisiały niezwykle poroża. Salę, nawet w południe, oświetlały pochodnie oraz kominek większy niż te, którymi mogło się pochwalić wiele dworów z kamienia. Kominek i dymnik były w całym dworze jedynymi dziełami murarzy.

- Tu się zatrzymacie, zanim będzie można wezwać Roha - oświadczył Taomen.

Morgaine zdecydowała się zasiać przy kominku. Kobiety z dworu uraczyły ich z bojaźliwą gościnnością prostym posiłkiem złożonym z chleba, dziczyzny i miodu Chya. Smakowało im to wielce po podejrzanym wikcie Leth.

Ludzie jednak trzymali się od nich z daleka, spoglądając z zakamarków drewnianego dworu i szepcząc coś do siebie nawzajem.

Morgaine odpoczywała, nie zwracając na nich uwagi.

Vanye zajął się swą obolałą ręką. W końcu, zmęczony panującym w sali gorącem, odrzucił dumę i zdjął hełm oraz czepiec, po czym dotknął bolesnego miejsca u podstawy czaszki, gdzie uderzył go Liell. Jakiś młodzieniec Chya, który nawet jeszcze nie nosił warkocza, roześmiał się. Van-

ye spojrział na niego rozgniewany, po czym opuścił głowę, lekceważąc zachowanie tamtego. W jego sytuacji nie mógł

~

zważać na to, jak go traktują. Musiał troszczyć się przede wszystkim o Morgaine. •. . .,

Wieczorem, gdy skrawek nieba widoczny przez małe okienka pod wysokim sklepieniem pograżył się w cieniu, u drzwi dało się zauważyć poruszenie. Nadeszli myśliwi - mężczyźni odziani w brązowe skóry, uzbrojeni w łuki i miecze. Vanye rozpoznał jednego z nich jako swego bliskiego kuzyna, zanim jeszcze młodzieniec ten wystąpił naprzód i przedstawił się jako pan dworu. Młody pan wyglądał jak jego brat. - w większym stopniu niż prawdziwe rodzeństwo.

- Jestem Chya Roh - oświadczył wychodząc na środek rhowa - ziemnej platformy położonej na przedzie sali. Na jego szczupłej, opalonej twarzy malował się gniew spowodowany ich obecnością. To nie wróżyło im niczego dobrego.

- Morgaine kri Chya nie żyje od stu lat - oznajmił. - Jaki masz dowód na to, że nią jesteś?

Morgaine podniosła się z rzadko u niej spotykanym wdziękiem, spokojna i gładka jak jedwab. Nie ukloniła się, lecz włożyła coś w rękę Vanyego. Ten wstał, z mniejszą gracją, i zatrzymał się na chwilę, by spojrzeć na przedmiot, zanim przekazał go w ręce Roha. Były to, zwieńczone porożem, insygnia dawnych Wielkich Królów Korisu. Gdy tylko je ujrzał, zrozumiał, że to wielki skarb, być może nawet część zaginionego skarbcza koronnego.

- To było własnością Tiffwy'ego - powiedziała. - Zobowiązanie do gościnności z jego strony, gdybym tego potrzebowała. Powiedział, że dzięki temu będę miała prawo zażądać od jego ludzi, czego zapragnę.

Twarz Roha pobladła. Spojrział na amulet i zacisnął go w pięści. Od tej chwili stał się nagle znacznie spokojniejszy. . . . :

- Chyba dali ci to, o co prosiłaś przed stu laty - powiedział. - I ani jeden człowiek z czterech tysięcy nie powrócił. Masz wiele krwi na rękach, Morgaine kri Chya, muszę jednak dotrzymać słowa, które dał mój przodek - ten jeden raz. Czego od nas żadasz?

- Schronienia na krótką chwilę. Milczenia. I wszelkiej wiedzy, jaką macie o Thiyem iHjemurze.

- Wszystkie te trzy rzeczy możesz otrzymać.

- Czy kroniki Chya ocalały?

- Ra-koris, które znałaś, leży dziś w gruzach. Wilki i inne dzikie bestie objęły je w posiadanie. Jeśli Księga Chya ocalała, tam się znajduje. Brak nam tutaj środków i czasu na księgi, pani.

Ukloniła się uprzejmie.

-! Muszę was ostrzec, że Leth się poderwało. Zasiadaliśmy tam trochę niepokoju. Strzeżcie pilnie granic.

- Masz dar do wywoływania burz, pani - odparł Roh przez zaciśnięte usta. - Wyślemy ludzi w stronę, z której przybyłaś. Możliwe, że Leth zapuszcza się aż tutaj, ale tylko, jeżeli są naprawdę zdesperowani. Już nieraz otrzymali od nas nauczkę.

- Są bardzo podrażnieni. Koń Vanyego pochodzi z Leth.

Opuściliśmy ich gościnę w sposób nagły, na skutek sporu z panem Kasedrem i jego doradcą Chya Liellem.

- Liell - odezwał się cicho Ron. - Ten czarny wilk.

Masz nieprzyjaciół najwyższej klasy, pani. Jak długiej gościny żadasz?

- Tylko na jedną noc.

- Czy zmierzasz na północ?

- Tak - odparła.

Roh przygryzł wargę.

- Ten sam stary spór? Mówią, że Thiye wciąż żyje.

Nigdy sobie nie wyobrażaliśmy, że ty również mogłaś ocalać. Nie damy ci jednak już ludzi, pani. Z tym koniec. Nie mamy nikogo, kogo moglibyśmy poświęcić.

- Nie proszę o ludzi.

- Wystarczy ci ten tutaj? - był to jedyny raz, kiedy Roh raczył zauważyć Vanyego. Młode, dumne oczy władcy na krótko spoczęły na nim i wróciły do Morgaine. - Nie mogłaś znaleźć nikogo lepszego, pani?

Gdy powstał, rozkazał swym kobietom przygotować miejsce dla Morgaine na górnym piętrze, a dla Vanyego osobne, przy kominku. Morgaine pozwoliła na to, gdyż Chya było porządnym dworem i, inaczej niż w Leth, jako goście mogli czuć się tu bezpieczni. Przez chwilę jeszcze porozmawiała z Rohem, stawiając pytania i udzielając odpowiedzi, po czym przeprosiła gospodarza i udała się na górę. Vanye z przyjemnością zdjął zbroję, rozebrał się do koszuli i skórzanych spodni i rozłożył koce, które mu dano, przy ciepłym kominku.

Wówczas przyszedł Taomen i przemówił do niego cicho, rozkazując mu udać się do Roha. Vanye nie mógł odmówić, pan dworu siedział na rhowa ze skrzyżowanymi nogami.

Wokół niego zebrali się inni ludzie.

Nagle Vanye zdał sobie wyraźnie sprawę, że stracił poczucie bezpieczeństwa, mimo że w dalszych częściach dworu panował radosny hałas, nieustanne trajkotanie kobiet i dzieci. Wokół niego zacieśnił się krąg mężczyzn, tak że nikt znajdujący się na zewnątrz nie mógł dostrzec, co dzieje się w środku.

Nie uklęknął, zanim nie pokazali mu, że musi to uczynić. Potem wszyscy ugin z Chya przykucnęli wokół niego i Roha. Miecze położyli przed sobą, tak jak wtedy, gdy odbywał się sąd klanowy.

Pomyślał, że mógłby krzyknąć głośno, aby ostrzec Morgaine przed zdradą, lecz w gruncie rzeczy nie o nią się obawiał, a jego własna duma kazała mu milczeć. Oto jacy byli jego kuzyni: napastowanie ilina z powodów rodzinnych było, zgodnie z kodeksem, pogwałceniem honoru. Roh dopuścił się ciężkiej zniewagi. Vanye nie znał go dobrze. Nadzieja, którą pokładał w jego honorze, nie miała silnych podstaw, jednak powodowała, że nie poddał się całkowicie panice.

- Teraz - powiedział Roh -- opowiedz nam o niej.

Nhi Vanye, i o tym, co przy niej robisz. Tylko mów prawdę.

- Nic z tego, co ci powiedziała, nie było kłamstwem.

To Morgaine, a ja jestem jej ilinem.

Roh przyjrzał mu się uważnie i surowo.

- A więc Rijan cię przegnał. Odebrałeś mu jednego z cennych bachorów jego żony Myya, a on cię za to wypę-

dził. Nie możesz od nas żądać niczego jako od kuzynów. Moja ciotka nie pragnęła cię splodzić. Winie ją tylko za to, że nie opuściła Morija i nie wróciła do nas. Nie była wtedy więźniem, choć była ciężarna.

- Do czego miała wracać, do waszej gościnności? - nerwy przeważyły nad zdrowym rozsądkiem, gdyż słowa Roha zabolowały go. - Oddaję jej honor, Chya. Wasze poczucie godności nie pozwoliłoby wam przyjąć jej z powrotem, po tym jak Rijan ją miał, niezależnie od tego, czy chciała tego, czy nie. Dała mi życie, oddając przy tym własne. Wiem, co wycierpiała od Rijana lepiej niż wy, którym zabrakło odwagi, aby udać się po nią do Morija. Gdzie wasz honor, mężczyźni Chya?

Zapanowała absolutna cisza. Nagle cała sala opustoszała. Zostali sami. Słysząc było trzask ognia na kominku. Jedno z drzew pękło, syjąc iskrami.

- Co się z nią stało? - zapytał wreszcie Roh, przechylając szalę na stronę życia i rozsądku. - Czy zmarła przy porodzie, jak mówiono?

- Tak.

Roh wypuścił powoli powietrze z płuc.

- Lepiej by było, gdyby Rijan cię utopił. Być może żałuje teraz, iż tego nie uczynił. Dotarłeś jednak tutaj, więc pozwolimy ci żyć, Nhi Vanye, bękarcie Chya. Co jednak mamy z tobą uczynić?

- Zróbcie to, o co was prosiła. Pozwólcie nam jutro stąd odejść.

- Czy służyysz jej z własnej woli?

- Tak - odparł. - Miała prawo zażądać mojej służby. Byłem w potrzebie. Teraz mam u niej dług i muszę go spłacić.

- Dokąd ona zmierza?

- Ona jest moją panią - odparł. - I nie wolno mi mówić o jej sprawach. Lepiej zadbajcie o siebie. Leth z pewnością przejdą wasze granice z jej powodu.

- Dokąd ona zmierza, Nhi Vanye?

- Zapytaj ją, powiadam.

Roh strzelił palcami. Mężczyźni sięgnęli po miecze leżące przed nimi. Wyciągnęli je z pochew w ten sposób, że ich czubki utworzyły wokół niego krąg. Gdzieś w sali jakieś naczynie upadło na ziemię. Jedna z kobiet pobiegła bezgłośnie do korytarza, zaciągnęła za sobą zasłonę i zniknęła.

- Zapytaj Morgaine - powtórzył Vanye. Krąg wokół niego zacisnął się. Poczul znajomy dotyk ostrza na ramieniu. Zapanował nad sobą i nie wzdrygnął się, choć serce biło mu tak, jakby miało pęknąć. - Jeśli nie przestaniesz, Chya Roh, dojdę do wniosku, że Chya nie mają już w ogóle honoru i będzie mi wstyd.

Roh patrzył na niego w milczeniu. Vanyemu zrobiło się niedobrze. Nerwy miał napięte od oczekiwania. Najlżejszy nacisk ostrzy wyrwałby zapewne z jego ust krzyk, który podniósłby na nogi cały dwór wraz z Morgaine. Nie był odważny. Już dawno odkrył. On nie potrafił dzielnie znosić długotrwałego bólu lub gróźb. Jego bracia zauważyli u niego tę cechę jeszcze wcześniej niż on sam. Kłębilo się w nim teraz to samo uczucie co wtedy, gdy bracia, pod nieobecność opiekuna, starego San Romena, zmuszali go, by

klękał przed nimi i 'Wyciskali mu łzy z oczu. Tylko jeden fatalny raz wyciągnął broń przeciw dręczącemu go Kandrynowi, tylko jeden raz. To jego ręce zabiły, nie umysł, który osłupiał ze strachu. Gdyby wtedy nie miał w rękach broni, zachowałby się tak jak zawsze, tak jak teraz. Jednakże Roh strzelił palcami po raz drugi i mężczyźni odeszli.

- Wracaj na swoje miejsce, ilinie - powiedział.

Wstał wtedy, uklonił się i odszedł - niewiarygodne, że był zdolny iść prosto - na miejsce przy kominku, które niedawno opuścił. Tam położył się ponownie, zawinięty w swój płaszcz, i zacisnął zęby, pozwalając, żeby ciepły ogień usunął drżenie z jego mięśni.

Pragnął krwi. Za każdą zniewagę, jaką kiedykolwiek mu wyrządzono, za cały strach, który odczuwał. Pragnął krwi. Wytarł łzy z oczu, myśląc, że pewnie jego ojciec miał rację i jego ręka była bardziej prawdopodobna, niż mu się zdało. Bał się wielu rzeczy - śmierci, Morgaine, Liella i szaleństwa Kasedrego - nic jednak nie dorównywało strachowi, jaki odczuwał, gdy klęczał sam wśród kuzynów, dla których zawsze był bękartem i wyrzutkiem.

Pewnego razu, jeszcze w dzieciństwie, Kandrys i Erij zwabili go do piwnicznych składów Ra-morij, obezwładnili i zawiesili na belce w najgłębszym lochu, samego, w ciemności, wśród szczerów. Przyszli po niego dopiero wtedy, gdy krew całkowicie odpłynęła mu z rąk i zabrakło już sił, by krzyżeć. Przynieśli ze sobą latarnie i odcięli go, spoglądając z góry z pobladłymi twarzami, przerażeni myślą, że go zabili. Później grozili, że zrobią coś jeszcze gorszego, jeśli pokaże komukolwiek straszliwe ślady po sznurach. Nie poskarżył się nikomu. Zrozumiał już wtedy, pod jakimi warunkami tolerowano go w Nhi. Nauczył się milczeć i próbował ocalić resztki swojego honoru. Ćwiczył przygryzając wargi. Kierował się własnym rozsądkiem, aż udało mu się zdobyć w uczciwy sposób zaszczytny warkocz wojownika. Od tej chwili wymogi honoru uyin powstrzymywały Kandrysa i Erija od jawnego znęcania się nad nim. Jednakże ich spojrzenia pozostały. Chytre, pełne nienawiści spojrzenia; i skrywana pogarda, którą ujawniali, gdy tylko popełnił jakiś błąd, godzący w honor.

Chya potraktowali go w ten sam sposób - poczuli woń strachu i poszli za nią jak wilki za jeleniem.

Tkwiło w nim jednak jakieś pragnienie, by stać się takim, jak pan Chya, do którego z rysów twarzy był tak podobny. Ale Roh to przecież prawowity syn. Jego ojciec pozostawił panią Hel własnemu losowi - w niewoli i noszącą bękarta Rijana - gdyż obawiał się, że jej dziecko może wrócić, skalać czystość krwi Chya i zagrozić pozycji Roha.

Zatem Chya jednocześnie bali się go i byli powodem jego strachu. Zapewne rzuciliby się mu do gardła, gdyby nie ich dług wobec Morgaine.

Znacznie później, w środku nocy, jego płytki sen został przerwany przez obutą stopę, która rozdeptała węgielek tuż obok jego głowy. Uniósł się na ramieniu. Ujrzał Roha patrzącego na niego z góry. Vanye w panice sięgnął po miecz, lecz Roh przeszkodził mu, chwytając dłoń zaciśniętą na rękojeści.

- Przybyliście z Leth - powiedział cicho. - Gdzie ja spotkałeś?

- W Aenor-Pywn. - Vanye usiadł, podwinał stopy pod siebie i odgarnął włosy opadające mu na oczy. - I powtarzam, pytaj Morgaine o jej sprawy, nie służę. Roh skinął powoli głową.

- Mogę odgadnąć to i owo. Nie mam wątpliwości, że zamierza uczynić to samo, co niegdyś, cokolwiek to było. Ona przyniesie ci śmierć, Nhi Vanye, i Chya, ale o tym nie muszę ci mówić. Zabierz ją stąd rano tak szybko, jak tylko zdołasz. Tej nocy ludzie Leth dotarli do naszych granic. Nadeszły meldunki. Są zabici. Liell chce ją powstrzymać za wszelką cenę. Tym razem nie zamierzamy poświęcać dla niej swojego życia.

Vanye spojrział w brązowe oczy kuzyna i znalazł tam niechętną akceptację swojej osoby. Po raz pierwszy tamten przemówił do niego tak, jakby Vanye wciąż posiadał godność uyo wielkiego klanu. Wyglądało na to, że nie spisał się tak marnie i że Roh wciąż uznawał pewien stopień pokrewieństwa pomiędzy nimi. Vanye zaczerpnął głęboko powietrza i wypuścił je znowu.

- Co wiesz o Liellu? - zapytał. - Czy on jest Chya?

- Był kiedyś Chya Liell - odparł Roh. - To był dobry człowiek, zanim został doradcą w Leth - Roh spojrział w dół, na kamienie, a potem z powrotem w górę z wyrazem pogardy na twarzy. -- Nie wiem. Krążą słuchy, że to ten sam człowiek, lecz inni powiadają, że ten z Leth jest aujalem. Że - podobnie jak Thiye z Hjemuru - jest stary. Mogę ci tylko powiedzieć, że w jego ręku spoczywa władza w Leth, lecz jeśli stamtąd przybywasz, sam o tym wiesz. Czasami bywa naszym cichym nieprzyjacielem, lecz gdy najgorsze z bestii wysłanych przez Thiyeego nawiedzają Las Korijski, ludzie Liella starają się nie mniej gorliwie niż my uwalniać Koris od tej plagi. Przy podobnych okazjach przestrzegamy pokoju łowców, dla wspólnego dobra. Jednakże fakt, że udzieliliśmy schronienia Morgaine, nie poprawi stosunków pomiędzy Leth i Chya.

- Wierzę w te wieści - powiedział po chwili Vanye. Chłód zagnieździł mu się w brzuchu, gdy jego myśli wróciły na brzeg jeziora.

- Ja nie wierzyłem - odparł Roh - aż do chwili, gdy ona przybyła do dworu.

- Rano odjedziemy - odparł Vanye.

Roh patrzył mu w twarz jeszcze przez chwilę.

- Jest w tobie krew Chya - stwierdził. - Żał mi ciebie, kuzynie. Twój los jest smutny. Jak długo jeszcze musisz u niej służyć?

- Rok - odparł. - Dopiero zacząłem.

W milczeniu patrzyli sobie w oczy. Obaj czuli, że ten rok będzie jego ostatnim. Roh pokręcił ze smutkiem głową.

- Jeśli tak się zdarzy... - powiedział. - Jeśli tak się zdarzy, że odzyskasz wolność - wróc do Chya.

Zanim Vanye zdążył odpowiedzieć, Roh odwrócił się i zniknął w odległym korytarzu.

Vanye był wstrząśnięty. Nigdy nawet o tym nie marzył. Chya chciała go przyjąć.

Pod pewnym względem słowa Roha były zwykłym okrucieństwem. Zginie, zanim upłynie rok jego służby. Mor-

gaine szukała śmierci, a on musiał podążać za nią. Nie miał wyboru. Przed chwilą nie miał też żadnej nadziei. Teraz jednak to się zmieniło. Rozejrzał się wokół. Rakoris - jeden z najdziwniejszych dworów w całym Andur-Kurshu. Tu mógł znaleźć schronienie, dom i życie. Kobiety. Dzieci. Honor. Nigdy tego nie posiadał i nigdy nie będzie. Odwrócił się, oparł ręce na kolanach i strapiiony utkwiał wzrok w ogniu. Nawet jeśli Morgaine zginie, co miał zapewne na myśli Roh, ciążyło na nim jeszcze jedno zobowiązanie. Musiał doprowadzić do upadku Hjemuru. "Jeśli tak się zdarzy, że odzyskasz wolność". W całej historii człowieka Hjemur nie padło od razu.

| |

ROZDZIAŁ VI

Odniósł wrażenie, że wszyscy Chya zebrali się rankiem, by obserwować ich wyjazd. Zachowywali się równie cicho, jak w chwili ich przybycia, ale nie odnosili się wrogo. Roh osobiście zajął się końmi i pomógł Morgaine wsiąść, przytrzymując strzemień.

Gdy siedziała już w siodle, skłonił się uprzejmie i życzył jej szczęścia na tyle głośno, żeby wszyscy Chya mogli to usłyszeć.

- Będziemy strzec twoich tyłów - oznajmił. - Nie sądzę, żeby ktoś prędko zdołał przedrzeć się za tobą przez terytorium Chya. Ty również miej na uwadze nasze bezpieczeństwo, pani.

Morgaine odskłoniła mu się z siodła.

- Jesteśmy wdzięczni, Chya Roh, tobie i wszystkim twoim ludziom. Żadne z nas nie spało bezpiecznie, zanim nie znaleźliśmy się pod twoim dachem. Pokój twojemu domowi, Chya Roh.

Powiedziawszy to odwróciła się i odjechała wśród głośnego pomruku zebranych. Vanye podążył za nią. Podobnie jak wtedy, gdy przybyli, eskortowały ich dzieci Chya biegnące obok koni. Nie zważały na zasady przyzwoitości krępujące starszych. W ich oczach widać było szalone podniecenie faktem, że oto powróciły dawne dni, o których słyssały w balladach i pieśniach. Nie wydawało się, żeby bały się lub nienawidziły jej. Przyjmowały ten cud z dziecięcym zachwytem, przekonane, że wydarzył się on specjalnie dla nich.

To dlatego, pomyślał Vanye, iż jest tak piękna, że trudno myśleć o niej źle. Słońce odbijało się w jej włosach jak w soplach lodu.

- Morgaine! - wołały za nią cicho, gdyż Chya nigdy nie mówili głośno. - Morgaine!

Wreszcie serce jej zmiękło: pomachała im ręką i posłała krótki uśmiech.

Potem popędziła Siptaha i zostawili za sobą gościnny dwór, wraz z całym ciepłem Chya, w promieniach słońca. Las ponownie zamknął się nad nimi. Jego cień zmroził im serca. Długo milczeli oboje.

Nie powiedział jej nic o swym najgłębszym pragnieniu - żeby powrócić do Chya, gdzie istniała przynajmniej nadzieja na uzyskanie schronienia. Ona nie miała podobnej szansy. Być może dlatego - pomyślał - jej twarz była tak posępna przez cały ranek. Dzień upływał, a on coraz

bardziej upewniał się, że to nie mrok lasu kładzie się cieniem na jej sercu. W pewnej chwili usłyszeli niezwykły, dziki krzyk wśród gałęzi. Spojrzała w górę z takim wyrazem twarzy, jak gdyby wyrwano ją z jakiejś głębokiej zadumy. Wyglądała na zmieszana, jakby w ogóle zapomniała, gdzie jest.

Tej nocy rozbili obóz w leśnej gęstwinie. Morgaine sama zebrała drwa na niewielkie ognisko, gdyż w tej okolicy lepiej było nie przyciągać niczyjej uwagi. Od czasu do czasu śmiała się i wymieniała z nim kilka słów. Nie był przyzwyczajony do takiego jej zachowania. Ten śmiech nie brzmiał prawdziwie. Chwilami spoglądała na niego w taki sposób, iż wiedział, że między innymi myśli i o nim.

Napełniało go to niepokojem. Nie potrafił roześmiać się w odpowiedzi. Wreszcie spojrział na nią i skłonił się nisko do ziemi, jak ktoś, kto prosi o łaskę.

Nie powiedziała nic, spojrzała tylko na niego, gdy się podniósł. Wyglądała, jakby ją zdemaskowano. Mógłby z jej twarzy odczytać prawdę, gdyby tylko wiedział, jak to zrobić.

Wiele pytań cisnęło mu się na usta. Nie potrafił jednak znaleźć takiego, które odważyłby się zadać. Wiedział, że spotka go chłodna wymówka lub, co bardziej prawdopodobne, milczenie.

- Idź spać - powiedziała wreszcie.

Skłonił głowę, wycofał się na swoje miejsce i pozostał tam, aż przyszła kolej na jego wartę.

Rankiem jej nastrój się zmienił. Uśmiechała się lekko i rozmawiała przy śniadaniu o swych starych przyjaciołach: królu - Tiffwym, jego synu i pani, która była jego żoną. Podobne historie można było usłyszeć od starych ludzi - opowieści o tych, którzy dawno umarli. Jej szare oczy nabrały tkliwego wyrazu, szukając w jego spojrzeniu jakiejś formy zrozumienia dla jedynych spraw, o których potrafiła z nim rozmawiać.

- Tiffwy - powiedział - musiał być wielkim człowiekiem. Żałuję, że go nie znałem.

- Nieśmiertelność - odparła. - Byłaby nie do zniesienia, chyba że wśród nieśmiertelnych.

Uśmiechnęła się, lecz tym nie zdołała go oszukać.

Od tej pory zamilkła. Wyglądała na przygnębioną. Kiedy ruszyli, pogrążyła się w myślach. Wciąż nie wiedział, jak rozgryźć te jej nastroje - była zamknięta w sobie i nieprzystępna jak twierdza.

Wyglądało na to, że słowami: "żałuję, że go nie znałem" przerwał jakąś cienką nić pomiędzy nimi. Wyczuła w nich litość, której od niego nie oczekiwała.

Wieczorem dostrzegli pierwsze wzgórza. Las ustąpił miejsca łąkom i pastwiskom. Na zachodzie wznosił się potężny masyw Alis Kaje o szczytach pokrytych śniegiem. Była to granica, za którą leżało Morija. Vanye nigdy nie był po tej stronie gór i widok ten był mu nie znany, jeśli nie liczyć potężnego szczytu Proeth, który jednak oglądał od strony domu.

Kiedy zatrzymali się na jakimś wzniesieniu, ujrzeli przed sobą ogromny łańcuch gór na północy.

Ivrel.

Góra ta nie była tak wysoka jak Proeth, lecz niezwykle

piękna - doskonała, zwężający się stożek, symetryczny z obu stron. Za nią wznosiły się dalsze łańcuchy górskie - Kath Vrej i Kath Svejur - ginące w oddali szczyty mroźnego Hjemuru. Ivrel nie była podobna do innych gór. Warstwa śniegu pokrywała zaledwie jej szczyt. Większa część zboczy zieleń się od porastającego jej lasu. Zaś u jej podnóża, niedostrzegalne z tej odległości, z której sama Ivrel była ledwie widoczna na horyzoncie, leżało Irien.

Morgaine popędziła piętami Siptaha, podrywając konia do biegu. Ruszyli przed siebie, w dół zbocza, a potem z powrotem w górę. Nie odzywała się ani słowem. Nie miała zamiaru się zatrzymać, nawet gdy gwiazdy zalśniły na niebie i wzeszedł księżyc.

Ivrel majaczyła coraz bliżej. Jej biały stożek lśnił w świetle księżyca jak zjawa.

- Pani - Vanye wychylił się wreszcie ze swego siodła, łapiąc siwka za wodze. - Liyo, zatrzymajmy się. Irien to nie miejsce, aby wjeżdżać tam nocą.

Zdumiewając, ale usłuchała go. Wybrała miejsce na postój, zsiadła z konia i zdjęła siodło. Następnie nie dbając o nic położyła się i owinęła futrem. Vanye krzątał się, by rozbić dla niej wygodny obóz i robił to z chęcią. Jej przygnębienie ciążyło mu na duszy. Te starania nic jednak nie dały. Morgaine ogrzała się przy ognisku wpatrzona w płonące drwa. Nie miała apetytu, lecz zmusiła się, by zjeść to, co dla niej przygotował.

Spojrzał w górę, na szczyt wznoszący się ponad nim i poczuł bijące od niego niebezpieczeństwo. To była przeklęta ziemia. Żaden zdrowy na umyśle człowiek z Andur-Kurshu nie rozbiłby obozu w tym miejscu, tak blisko Irien i Ivrel.

- Vanye - odezwała się nagle. - Czy lękasz się tego miejsca?

- Nie podoba mi się tu - odparł. - Tak, lękam się.

- Zażądałam od ciebie, abyś zniszczył Hjemur, jeśli ja nie zdołam tego dokonać. Czy wiesz chociaż, gdzie leży ich gród?

Podniósł rękę i wskazał gdzieś w pobliżu szczytu u podstawy Ivrel.

- Tam, za tą przełęczą.

- Jest tam droga, która zaprowadzi cię na miejsce. Nie ma innej, przynajmniej wtedy nie było.

- Czy spodziewasz się, że będę zmuszony tego dokonać? - zapytał.

___ Nie - odparła - ale może tak się zdarzyć.

Następnie włożyła futro i stanęła na warcie, a Vanye ułożył się do snu.

Wydawało się, że minęła zaledwie chwila, gdy poczuł, że szarpie go za ramię. Szeptem nakazała mu przejąć straż. Był zmęczony i spał mocno. Gwiazdy przesunęły się w swej nocnej wędrówce.

- Widziałam małe drapieżniki - powiedziała. - Niektóre o nieprzyjemnym wyglądzie, ale nieszkodliwe. Celowo pozwoliłam ognisku zgasnąć.

Skinął głową. Z ulgą ujrzał, że okryła się futrem, jak ktoś, kto kładzie się spać z zadowoleniem. Zasiadł przy gasnącym ognisku z kolanami pod brodą. Ramiona oparł o schowany w pochwie miecz. Wpatrywał się rozmarzony

w iskry, nasłuchując spokojnych odgłosów wydawanych przez konie, które były lepszymi strażnikami niż ludzie. Wreszcie, uspokojony przez nieustające trzaski stygnących polan, szept wiatru wśród drzew rosnących z boku i powolne ruchy koni, zaczął walczyć z narastającą sennością.

Morgaine krzyknęła.

Zerwał się z mieczem w dłoni i ujrzał, jak usiłuje się podnieść. W pierwszej chwili pomyślał, że coś ją ugryzło. Nachylił się nad nią, objął ją ramionami i przytrzymał. Cała drżała. Po chwili odepchnęła go jednak i odeszła na bok ze skrzyżowanymi rękami, jakby dla ochrony przed chłodnym wiatrem. Stała tak przez pewien czas.

- Liyo? - zapytał ją.

- Wracaj spać - odparła. - To był sen, z dawnych czasów.

- Liyo...

- Masz swoje miejsce, ilinie. Wracaj tam.

Wiedział, że nie powinien czuć się urażony jej tonem. Właścza że spowodowały go jakieś dawne, złe wspomnienia. Zabolało go to jednak. Wrócił do ogniska i ponownie zawinał się w płaszcz. Minęło sporo czasu, zanim odzyskała panowanie nad sobą, odwróciła się i podeszła do miejsca, które opuściła. Uciekł wzrokiem ku ognisku, nie chciał na nią patrzeć, lecz ona zatrzymała się przed nim i spojrzała w dół.

- Vanye - powiedziała - przepraszam cię.

- Ja też cię przepraszam, liyo.

- Idź spać. Ja poczuwam przez chwilę.

- Nie ma potrzeby, liyo. Jestem rozbudzony.

- Powiedziałam do ciebie coś, czego nie chciałam powiedzieć.

Wykonał płytki ukłon, lecz nadal na nią nie spojrzał.

- Jestem ilinem i to prawda, że moje miejsce jest przy popiołach twojego ogniska, liyo. Dotąd jednak spotykałem się z lepszym traktowaniem i byłem z tego zadowolony.

- Vanye - usiadła przy ogniu obok niego, drżąc na wietrze bez futra. - Jesteś mi potrzebny. Bez ciebie ta droga byłaby nie do zniesienia.

Zrobiło mu się jej żal. W jej głosie słychać było łzy.

Poczuł nagle, że nie pragnie ich ujrzeć. Pochylił głowę tak nisko, jak tylko mógł, i pozostał w tej pozycji, zanim nie uznał, że zdążyła już złapać oddech. Wtedy dopiero odważył się spojrzeć jej w oczy.

- Co mogę dla ciebie uczynić? - zapytał.

- Powiedziałam ci już - odparła. To była znowu Morgaine, którą znał, zakuta w zbroję. Jej szare oczy lśniły twardo.

- Nie chcesz mi zaufać.

- Vanye, nie wtrącaj się w moje sprawy. Zabiłabym i ciebie, gdybym musiała to uczynić, by dotrzeć na Ivrel.

- Wiem o tym - odrzekł. - Liyo, pragnąłbym, żebyś mnie usłuchała. Wiem, że zabiłabyś się sama, aby tam dotrzeć i zapewne zabijesz nas oboje. Nie podoba mi się tutaj. Ciebie jednak nie sposób przekonać. Wiedziałem to od początku. Przysięgam, że gdybyś mnie usłuchała, gdybyś mi pozwoliła, wyprowadziłbym cię bezpiecznie z Andur-Kurshu do...

- Sam to powiedziałaś: nie sposób mnie przekonać.
- Dlaczego? - zapytał. - Pani, ta twoja wojna to szaleństwo. Już raz ją przegrano. Nie chcę umierać.
- Oni też nie chcieli - odparła. Jej wargi stały się wąską, twardą linią. - Słyszałam, co opowiadano o mnie w Baien, zanim przeszłam z tamtego czasu do tego. Myślę, że taką właśnie mnie zapamiętają. Mimo to udam się tam, gdyż to jest moje zadanie. Twoja przysięga nie mówi, że musisz pochwalać moje postępowanie.

- Nie mówi - przyznał. Nie sądził jednak, aby go usłyszała.

Wpatrzyła się w ciemność, w stronę Ivrel i Irien. Gnębiło go jedno pytanie. Nie chciał sprawić jej bólu, zadając je, lecz w miarę jak zbliżali się do Irien, dręczyło go to coraz natarczywiej.

- Co się z nimi stało? - zapytał. - Dlaczego tak niewiele odnaleziono pod Irien?

- To z powodu wiatru - odparła.

- Liyo?

Jej odpowiedź przeszła go dreszczem, zabrzmiała jak szaleństwo. Zaciśnęła mocno wargi i spojrzała na niego.

- Z powodu wiatru - powtórzyła. - Było tam pole bramowe - sięgające z Ivrel w dół - i mgła, która wisiała tego ranka w powietrzu, wpadała w nie jak pędzący w górę komina, wiatr... wiatr, jakiego nie potrafisz sobie wyobrazić. To właśnie zdarzyło się w Irien. Dziesięć tysięcy ludzi... zostało wysłanych w nicość. My, moi przyjaciele i ja, nas pięcioro, wiedzieliśmy, co się dzieje. Nie wiem, dla kogo było to straszniejsze - czy dla nas, którzy wiedzieliśmy, co się z nami stanie, czy dla tych, którzy nic nie rozumieli. Tam była tylko ciemność usiana gwiazdami. Pustka spowita w mgłę... ale ja, rzecz jasna, ocalałam. Byłam jedyną, która znajdowała się dostatecznie daleko. Naszym zadaniem - Lriego wraz z ludźmi z Leth i moim - było okrążenie Irien. Gdy znaleźliśmy się już na górze, zaczęło się. Nie mogłam powstrzymać moich ludzi. Sądziłem, że zdołają pomóc tym na dole, w tym także swemu królowi, zjechali więc do nich. Nie chcieli mnie słuchać, rozumiesz, ponieważ jestem kobieta. Myśleli, że się boję, a ponieważ im, jako mężczyznom, nie wolno było się bać, pojechali. Nie mogłam im tego wytłumaczyć i nie mogłam za nimi pojechać - głos jej zadrżał, lecz po chwili odzyskała równowagę. - Widzisz, byłam zbyt mądra, żeby pojechać za nimi, wiedziałam lepiej. I podczas gdy byłam taka mądra, zrobiło się za późno. Nadciągnął wiatr. Przez chwilę nie można było oddychać. Nie było powietrza. Potem wiatr minął i namówiłam biednego Siptaha, żeby wstał. Nie pamiętam dokładnie, co zrobiłam później, poza tym, że pojechałam w stronę Ivrel. Wojska Hjemurów zagroziły mi drogę. Cofałam się coraz bardziej, aż pozostała mi tylko droga na południe. Koris bronił się przez jakiś czas, lecz potem utracił i to schronienie i uciekłam do Leth, gdzie przebywałam, zanim udałam się do Aenor-Pywn. Miałam zamiar zebrać tam armię, lecz nie chcieli mnie słuchać. Gdy nadeszli, by mnie zabić, rzuciłam się w Bramę. Nie pozostała mi już żadna inna droga ucieczki. Nie wiedziałam, że będę musiała czekać tak długo.

- Pani - powiedział. - To... to coś, co uczyniono

w Irien, zabijanie ludzi bez zadania jednego ciosu... czy, gdy się tam udamy, Thiye będzie mógł skierować ten wiatr również na nas?

- Tak, jeśli będzie znał chwilę, w której nadejdziemy.

Ten wiatr - to było powietrze wpadające w otwartą Bramę, której pole sięgało aż do Pionowego Kamienia w Irien. Otworzyło ono otchłan pomiędzy gwiazdami. Próba utrzymania go przez dłuższy czas skończyłaby się katastrofą dla Hjemuru. Nawet Thiye nie mógłby być tak lekkomyślny.

- A więc wtedy w Irien... on wiedział.

- Tak jest, wiedział - twarz Morgaine ponownie przybrała twardy wyraz. - Był pewien człowiek, który z początku był z nami, lecz zabrakło go w Irien. Ten sam, który pragnął władzy Tiffwy'ego, który zdradził go z jego żoną, a później został nauczycielem syna Edjnela, po tym jak sam go zabił.

- Chya Zri.

- Tak jest, Zri. Będę w to wierzyć do końca moich dni, choć jeśli to prawda, otrzymał od Hjemuru nędzną zapłatę. Chciał zostać królem, a to, co zdobył, nie było tym, czego pragnął.

- Liell - Vanye wypowiedział to imię niemal bez zastanowienia.

Poczuł jej wzrok na sobie.

- Dlaczego o nim pomyślałeś?

- Roh powiedział, że są wątpliwości, co do tego człowieka. Że Liell jest... że jest stary, liyo, stary w taki sam sposób jak Thiye.

Na twarzy Morgaine pojawił się wyraz głębokiego niepokoju.

- Zri i Liell. Cóż za brak oryginalności, żeby utopić wszystkich dziedziców Leth - o ile rzeczywiście utonęli.

Vanye przypomniał sobie Bramę migoczącą ponad taflą jeziora i zrozumiał, co miała na myśli. Ponownie osaczyły go wątpliwości. Odważył się zadać pytanie, które napełniało go głębokim obrzydzeniem:

- Czy potrafiłabyś... przeżyć w podobny sposób, gdybyś chciała?

- Tak - odpowiedziała mu. A

- Czy robiłaś to?

- Nie - odparła i, jakby czytała w jego myślach, dodała: - To się robi za pomocą Bram. Nie jest łatwo odebrać ciało drugiemu człowiekowi. Sama dokładnie nie jestem pewna, jak to się robi. To jest wstrętne: ciało musi od kogoś pochodzić, rozumiesz. A Liell, jeżeli to prawda, starzeje się. Zadrżał, przypomniał sobie dotyk palców Liella na swym ramieniu i głód - już wtedy rozumiał, że to głód - w jego oczach. "Chodź ze mną, to ci pokażę", powiedział Liell. "Zanim to się skończy, ona zabierze ci duszę. Pójdź ze mną, Chya Vanye. Ona kłamie. Kłamała już przedtem". "Pójdź za mną".

Wydusił z siebie przekleństwo, modlitwę, czy coś takiego i wstał niezgrabnie na nogi, aby odejść na chwilę na bok. Był chory z przerażenia. Pierwszy raz poczuł, że jego młodość i jego silne, wyćwiczone ciało mogą się stać obiektem czyjejś pożądanłości.

Czuł się zbrukany.

- Vanye - powiedziała zatroskanym głosem.

.- Mówię - rzekł z wysiłkiem - że Thiye też się starzeje. Że wygląda jak stary człowiek.

- Jeśli - odparła spokojnym głosem - zostanę zabita lub zaginę i będziesz musiał sam wyruszyć przeciwko Hjemurom, nie pozwól, aby wzięto cię tam do niewoli. Ja nie pozwoliłabym na to w żadnej sytuacji, Vanye.

- O Niebioso - szepnął. Poczł w gardle smak żółci. Zaczł nagle rozumieć stawkę, o jaką toczyły się te wojny aųjalów i ludzi, oraz cenę, jaką płaciło się za przegraną. Spoglądał na nią - wiedział o tym - oczyma niewiniątka -- i dostrzegł u niej brak należytego obrzydzenia.

- Czy uczyniłabyś coś takiego? - zapytał.

- Myślę - odparła - że pewnego dnia, aby zrobić to, co trzeba, będę się musiała nad tym zastanowić.

Zaklął. Niewiele brakowało, a opuściłby ją w tym momencie.

Zaczęła jednak okazywać zatroskanie, maleńką iskierkę człowieczeństwa, i to go powstrzymało.

- Usiądź - powiedziała. Posłuchał jej.

- Vanye - zaczęła. - Nie mogę sobie pozwolić na honorowe postępowanie. Staram się, staram, wszystkim, co ze mnie zostało. Lecz tego jest tak niewiele. Co uczyniłbyś, gdybyś umierał, a musiał tylko wyciągnąć rękę i zabić - nie po to, aby przedłużyć starość z jej bólem i chorobami, ale by zdobyć drugą młodość? Dla aųjalów nie ma nic po śmierci, żadnej nieśmiertelności, jedynie kres. Utracili swoich bogów, czy jakakolwiek wiarę, którą ongiś mieli. To wszystko, co im pozostało - życie, przyjemności i władza.

- Czy mnie okłamałaś? Czy jesteś ich krwi?

- Nie kłamałam. Nie jestem aųjalem. Znam ich jednak. Zri... jeśli masz rację, Vanye, to wiele tłumaczy. Nie z ambicji, ale z desperacji. Żeby żyć, żeby ocalić Bramy, które są mu niezbędne. Ja tego w nim nie odkryłam. Co ci powiedział, gdy z tobą mówił?

- Tylko to, że powinienem opuścić ciebie i pójść z nim.

- Na szczęście miałeś więcej rozsądku. W przeciwnym razie...

Nagle jej spojrzenie stało się nieufne. Wyjęła zza pasa czarną broń. W pierwszej chwili pomyślał, że dostrzegła jakiegoś intruza, lecz potem, ku swemu zdumieniu, ujrzał, że wymierzyła ją w niego. Zamarł. W jego umyśle pozostała tylko jedna myśl - że nagle ogarnęło ją szaleństwo.

- W przeciwnym razie - ciągnęła - miałabym w drodze na Ivrel takiego towarzysza, który upewniłby się, że nie przeżyję, takiego, który zczekałby, aż bliskość Bramy dałaby mu sposób na załatwienie się ze mną. Gdy cię zostawiłam, jechałeś na gniadej klaczy, Chya Vanye, a potem wybrałeś wierzchowca Liella. Gdy ujrzałam, jak nadjeżdżasz, pomyślałam, że to on, a nie miałam ochoty znaleźć się z nim sam na sam. Byłam zdumiona, gdy spostrzegłam, że to ty.

- Pani - oznajmił wyciągając ręce do przodu, aby okazać, że nie kryje się w nich żadna groźba. - Złożyłem ci przysięgę... nie oszukałem cię. Z pewnością... to niemożliwe, żeby to się zdarzyło, a ja bym o tym nie wiedział. Musiałbym wiedzieć, prawda?

Wstała, wciąż patrząc na niego, patrząc nieustannie,

i cofnęła się ku miejscu, gdzie leżały jej płaszcz i miecz?.

- Osiodłaj mojego konia - rozkazała.

Podszedł do niego ostrożnie i zrobił to, co mu kazała, ze świadomością, że stoi za jego plecami z bronią w ręku.

Gdy skończył, stanął do niej tyłem. Obserwowała go uważnie, nawet gdy wskoczyła już na konia.

Następnie zwolniła wodze i skierowała się w stronę karego ogiera. Natychmiast odczytał jej myśli - zabić wierzchowca i pozwolić mu odejść na piechotę, ponieważ nie chciała zabić jego, jako ilina.

Rzucił się pomiędzy nią a konia. Spojrzał w górę z oburzeniem i odrazą. Byłoby niehonorowo postąpić w taki sposób - nadużyć przysięgi ilina, zabić wierzchowca i zostawić człowieka na łasce losu. Przez chwilę miała tak szalony wyraz twarzy, że obawiał się, iż użyje broni zarówno przeciwko niemu, jak i zwierzęciu.

Nagle jednak szarpnęła głową Siptaha, uderzyła go piętami i oddaliła się na północ, zostawiając go za sobą. Spoglądał za nią przez chwilę, dochodząc do wniosku, że oszalała.

Podobnie jak on.

Zaklął, zebrał swój ekwipunek, narzucił siodło na grzbiet konia, zaciągnawszy popręg wspiał się na nie i ruszył w drogę. Kary ogier wiedział już teraz dobrze, że siwek jest jego towarzyszem. Nie trzeba było go popędzać. Rumak pobiegł wzdłuż zbrocza omijając skały, potem przez strumień i znowu w górę, aż wreszcie dogonił posuwającego się krótkim galopem Siptaha.

Na wpół spodziewał się błyskawicy, która straci go z siodła lub powali trupem jego konia, lecz Morgaine, dostrzegłszy go, pozwoliła mu się zbliżyć, ściągając wodze. - Jesteś idiota - oświadczyła, gdy podjechał blisko.

Wyglądała, jakby miała się rozplakać, lecz nie uczyniła tego. Schowała czarną broń za pas, pod płaszczem, spojrziała na niego i potrząsnęła głową. - Jesteś też Kurshinem. Nikt inny nie byłby tak głupio honorowy. Zri z pewnością by uciekł, chyba że jest odważniejszy niż niegdyś.

My, którzy gramy w tę grę z Bramami, nie jesteśmy odważni. Mamy zbyt wiele do stracenia, aby pozwolić sobie na taki luksus. Zazdroszczę wam, Kurshinom. Zazdroszczę wszystkim, którzy mogą sobie pozwolić na takie gesty. Zacisnął mocno wargi. Czuł się zawstydzony swą naiwnością. Zrozumiał teraz, że próbowała go odstraszyć. Jej nastroje i jej brak zaufania były dla niego zagadką. - Łatwo mnie oszukać, liyo - powiedział niepewnym głosem. - Znacznie łatwiej niż ciebie. Nawet twoje najprostsze sztuczki wprawiają mnie w zdumienie, a niemało z nich przeraża.

Nie znalazła żadnej odpowiedzi.

Niekiedy spoglądała na niego w sposób, który mu się nie podobał. Atmosfera pomiędzy nimi popsuka się. "Odejdź - mówiło jej spojrzenie - odejdź. Nie będę cię zatrzymywać".

Nie mogliby zostawić jej w podobnej potrzebie. Byłby to hańbiący uczynek, nawet wtedy gdy Morgaine była zdolna dać sobie radę sama, a tym bardziej teraz, gdy coś w jej zachowaniu mówiło mu, że rozum ją opuścił.

Niebo stawało się coraz jaśniejsze. Nadchodził zimny,

ponury poranek. Z północy nadciągały chmury.

Tego ranka ziemia opadła w dół pod ich stopami i wzgórzem przeszły w stoki Irien.

Okazało się, że jest to szeroka, przyjemna dla oka dolina. Gdy zatrzymali się na krawędzi tej wielkiej niecki, Vanye nie był pewien, czy są we właściwym miejscu. Wtedy jednak po drugiej stronie dostrzegł Ivrel, a w środku doliny teren pozbawiony roślinności. Byli zbyt daleko, aby dostrzec taki drobiazg, jak pojedynczy pionowy kamień, uznał jednak, że znajduje się on w środku tego obszaru. Morgaine ześliznęła się z grzbietu Siptaha i zadała sobie trud, aby odpiąć "Odmieńca", co wskazywało, że planuje tu dłuższy postój. On również zsiadł z konia, gdy jednak odwróciła się i odeszła kawałek wzdłuż stoku, uznał, iż nie pragnie, aby za nią podążył. Usiadł na wielkim głazie i czekał, wpatrzony w głąb doliny. Wyobraził sobie tysiące jeźdźców, którzy wjechali do niej jednego z tych szarych, wiosennych poranków, gdy doliny kryły się we mgle, w której ludzie i konie poruszali się jak duchy; a potem ciemność pochłaniająca wszystko i wiatr - jak powiedziała - wciągający mgłę jak dym w górę komina.

Dzisiaj jednak było tam widać tylko nisko wiszące chmury, zimowe słońce oraz trawę i drzewa pod nimi. Sto lat zaleczyło wszystkie blizny i nie sposób było wyobrazić sobie, co się tu wtedy zdarzyło.

Morgaine długo nie wracała. Czekał, mimo że stał się już niespokojny, aż wreszcie zebrał się na odwagę, wstał i podążył za nią ścieżką prowadzącą za pagórek. Poczul ulgę, gdy ją tam odnalazł. Stała spokojnie i wpatrywała się w dolinę. Przez chwilę nie mógł się przemóc, by do niej podejść, lecz uznał, że powinien to zrobić, gdyż ona nie jest już w pełni sobą, a wśród tych wzgórz kryją się ludzie i zwierzęta, czyniący z Irien niebezpieczne miejsce. - Liyo - zawołał podchodząc. Odwróciła się, podeszła do niego i razem zeszli do kotlinki, w której ukryli konie. Tam zawiesiła miecz u siodła, wzięła w ręce wodze Siptaha i ponownie się zatrzymała, spoglądając na dolinę. - Vanye - powiedziała. - Vanye, jestem zmęczona. - Pani? - zapytał ją, sądząc z początku, że chce po prostu zatrzymać się tu przez pewien czas, co uznał za zły pomysł. Potem jednak spojrzała na niego i zrozumiał, iż miała na myśli inny rodzaj zmęczenia.

- Boję się - przyznała. - I jestem sama, Vanye. Nie mam już honoru, ani ludzi, których mogłabym poświęcić. Tam - wyciągnęła rękę, wskazując w dół stoku - tam ich zostawiłam. Jechałam wzdłuż tej krawędzi, a potem tam... - wskazała ręką na odległy punkt po drugiej stronie doliny, gdzie wznosiła się skała oraz liczne drzewa. - Z tamtego miejsca patrzyłam na zgubę armii. Była nas setka, moich towarzyszy, i przez lata wciąż nas ubywało i ubywało, aż wreszcie zostałam sama. Zaczynam rozumieć aųjalów, a nawet czuć wobec nich litość. Gdy tak bardzo trzeba zachować życie, nie można już być odważnym. Zaczął rozumieć jej przerażenie. Takie samo gorączkowe przerażenie - pomyślał - było w Liellu, który również czegoś od niego pragnął. Nie chciał już słyszeć od niej więcej prawdy. Taka prawda wywoływała koszmary, zamiast sprowadzać spokój. Prosiła go o wybaczenie za sprawę,

których nie rozumiał. Oszczędź mi tego - chciał jej powiedzieć. - Oddawałem ci dotąd honor. Nie czyn tego niemożliwym.

Powstrzymał jednak swój język.

- Mogłam cię zabić w panice - przyznała. -- Łatwo mnie przestraszyć, rozumiesz. Nic jestem rozsądna. Nie chcę podejmować żadnego ryzyka. To by było nieodpowiedzialne - narażać się na niebezpieczeństwo, gdy dźwiga się takie brzemie, jak ja. Powtarzam sobie, że jedyny niemoralny czyn, jaki popełniłam, to ten, że ci zaufałam po tym, jak próbowałam odebrać ci życie.

Czy rozumiesz, że nie mogę sobie pozwolić na takie luksusy, jak honor?

- Nie rozumiem - odparł.

- Mam nadzieję, że nie.

— Czego pragniesz ode mnie?

- Dotrzymaj przysięgi.

Wskoczyła na grzbiet Siptaha, zaczekała, aż Vanye wsiaździe, po czym poprowadziła nie poprzez dolinę Irien, lecz wzdłuż krawędzi, tą samą trasą, którą podażyła w dniu bitwy. Znajdowała się na granicy szaleństwa. Nie myślała jasno. Był już co do tego pewny. Bała się go, jakby był samą śmiercią, usiłującą się z nią zaprzyjaźnić, bała się także wszystkiego, co wskazywało, że jest inaczej. Niemniej powstrzymała się od zabójstwa, od pogwałcenia honoru.

To była mała, drogocenna różnica pomiędzy tą, której służył, a tym, który ich ścigał. Uczepił się tego, choć do jego myśli przeniknęło przeczucie Morgaine, iż ten właśnie fakt pewnego dnia stanie się przyczyną jej śmierci.

Jazda obrzeżem doliny trwała długo. Musieli kilka razy zatrzymać się na odpoczynek. Słońce stało już nisko na niebie, gdy nad stożkiem Ivrel zaczęły zbierać się gęste chmury zapowiadające burzę, północną burzę, jedną z tych, które niekiedy zasypywały śniegiem podobne doliny na północ od Chya, lecz częściej sprowadzały trzaskający mróz i niewygodę dla ludzi i zwierząt.

Burza wkrótce nadciągnęła. Zaczął padać śnieg z deszczem. Było coraz ciemniej. Zatrzymali się na ostatni postój przed przejściem na stronę Ivrel.

Nagle wokół nich eksplodował chaos. Jedynym ostrzeżeniem było parsknięcie Siptaha i spłoszenie się obydwu koni. Jeszcze chwila, a rozsiodłaliby wierzchowce. Vanye jak błyskawica wskoczył z powrotem na siodło. Wyciągnął miecz i ciał nim w półmroku w postacie, które runęły na nich zza drzew i skał. Ludzie z Hjemuru, ubrani w futra, najpierw piegi, za nimi kolejni, na kucach. W ciemnościach błysnął ogień. Mała broń Morgaine bez litości siała spustoszenie wśród ludzi i koni...

Spięli wierzchowce do biegu. Gdy dotarli do zakrętu, cały stok roił się już od napastników, wspinających się na piechotę - ciemne postacie w półmroku. Nie wszyscy z nich wyglądali na ludzi.

Kiedy horda zbliżyła się do nich, błysnęły noże, zagrażające nie osłoniętym końskim brzuchom i nogom. Odparli atak i ponownie spięli konie, kierując je tam, gdzie były największe szanse ucieczki. Morgaine krzyknęła głośno i kopnęła w twarz jednego z napastników, który padł pod

kopyta Siptaha. Vanye wbił mocno pięty w boki swego rumaka i skierował go śladem siwego ogiera.

Walka była beznadziejna. Jego liyo popędziła pejczem strudzonego siwka aż do granic jego wytrzymałości, choć musieli zboczyć przez to z wybranej drogi. Vanye uczynił to samo. Serce podchodziło mu do gardła, tak ze względu na pościg za nimi, jak i na sposób, w jaki jechali. Pędzili na oślep w dół, po kamienistym stoku wśród ciemności, po nieznannej drodze, a potem przez wawóz wśród skał na równinę leżąca na zachód od Irien.

Tam, choć ich konie były zmęczone, zyskali przewagę nad hjemurskimi kucami, gdyż długie nogi ich rumaków szybciej pochłaniały przestrzeń i ścigający zaczęli wreszcie zostawać z tyłu.

Nagle, z zachodu pojawili się jeźdźcy, którzy wyjechali z wąskiego przesmyku pomiędzy wzgórzami, po czym rozwinięli się w łuk, by ich otoczyć, znowu zmuszając do odwrotu.

Morgaine ponownie zmieniła kierunek, starając się wyrwać z okrażenia i uniknąć odcięcia od drogi na północ. Bała się, że zostaną zapędzeni w pułapkę pod Irien. Siptah był już prawie niezdolny do biegu. Potknął się. Nie mogło im się to udać. Wreszcie ściągnęła wodze trzymając w ręku broń. Vanye zatrzymał swego zdyszanego wierzchowca obok niej, wyciągnął miecz i stanął z jej lewej strony. Jeźdźcy otoczyli ich teraz ze wszystkich stron i zaczęli zaciskać pierścień.

- Konie już nie dają rady - powiedział Vanye. -

Pani, myślę, że zginiemy tutaj.

/ - Nie mam takiego zamiaru - odparła. - Trzymaj się z dala ode mnie, ilinie. Nie przejeżdżaj z przodu, ani nawet nie jedź równo ze rynną

W tej chwili Vanye rozpoznał łaciatego konika, należącego do wojownika, który jechał na czele, wydając swym jeźdźcom rozkazy zacieśnienia kręgu. Tuż obok zauważył gniadosza z białą strzałą na czole.

To byli morijscy jeźdźcy, strzegący granicy na Alis Kaje. Niekiedy - gdy siły Hjemuru lub Chya burzyły się niebezpiecznie - zapuszczali się nawet tutaj.

Złapał Morgaine za ramię. Spojrzała na niego z gniewem, nagłym podejrzeniem oraz strachem.

- To są Morije! - krzyknął. - Mój klan, Nhi. Liyo, nie zabijaj żadnego z nich. Mój ojciec - on jest ich panem - nie wybacza łatwo, ale jest honorowy. Kodeks ilina mówi, że moje zbrodnie nie mogą obciążać ciebie, a - cokolwiek uczyniłaś - oni nie poprzysięgli ci zemsty. Proszę cię, pani, nie odbieraj im życia.

Zastanowiła się. Jego rady były rozsądne i z pewnością o tym wiedziała. Jeśli musieliby dalej uciekać, konie najpewniej padłyby pod nimi. Nawet gdyby teraz udało im się przebić, na północy było zapewne więcej wojowników z Hjemuru. Tutaj mogli odnaleźć schronienie, choć nie gościć. Wycelowała w niego.

- Na twą duszę - syknęła. - Na twą duszę, jeśli kłamiesz...

- Nie kłamię, to warunek mojej przysięgi - odparł wstrząśnięty. |- A o tym wiedziałaś już, odkąd z tobą jestem. Nigdy bym cię nie zdradził. Na mą duszę, liyo.

Broń wróciła na miejsce.

- Porozmawiaj z nimi - powiedziała. -- I jeśli nie przeszyją cię tuzinem strzał, zgodzę się pójść z nimi - pod twoim słowem.

Schował miecz i rozłożył szeroko ręce, popędzając wyczerpanego wierzchowca lekko do przodu, aż nadciągający jeźdźcy znaleźli się w zasięgu głosu. Ich krąg nie przestawał się zacieśniać.

- Jestem ilinem - zawołał do nich, a było hańbą zabić ilina, nie zważając na jego pana. - Jestem Nhi Vanye. Nhi Parenie, synu Lellena, znasz mój głos.

- W czyjej służbie jesteś, Nhi Vanye? - nadbiegł głos Parena, szorstki, znajomy i przywitany z radością.

- Nhi Parenic, te wzgórza pełne są ludzi z Hjemuru i zapewne również z Leth. Na miłosierdzie Niebios, udzielcie nam swojej opieki. Złożymy swą prośbę w Ra-morij.

. - A więc służysz jednemu z naszych wrogów - zauważył Nhi Paren. W przeciwnym razie podałybyś nam jego imię.

- To prawda - przyznał Vanye. - Lecz w tej chwili on wam nie zagraża. Prosimy o schronienie, Nhi Parenie. Jest prawem pana Nhi udzielić go nam lub odmówić, musisz więc wysłać posła do Ra-morij.

Jakiś czas panowała cisza. Następnie usłyszał z oddali: "Weźcie ich obu". Jeźdźcy zbliżyli się. Przez chwilę, gdy byli ciasno otoczeni, Vanye poczuł gwałtowny lęk, że Morgaine może wpaść nagle w panikę i sprowadzić śmierć na nich oboje, zwłaszcza że Paren zażądał, aby oddali broń. Wtedy Paren po raz pierwszy dostrzegł wyraźnie w ciemności Morgaine i wypowiedział pierwsze słowa inwokacji do Niebios. Ludzie wokół niego poczynili znaki chroniące przed złem.

- Nie sądzą, żebyście pragnęli dotykać mojej broni, gdyż wasza religia tego zabrania - stwierdziła Morgaine.

- Pożyczcie mi płaszcz, żebym mogła ją zawinać. Wtedy będziecie pewni, że jej nie użyję, mimo że nadal będę ją niosła. Myślę, że powinniśmy opuścić tę okolicę. Vanye mówił prawdę o Hjemurach.

- Wracamy do Alis Kaje - oznajmił Paren, spoglądając na nią, jakby dokładnie przemyśliwał sprawę broni. Następnie rozkazał Vanyemu, by dał jej płaszcz i przyglądał się uważnie, gdy zawijała w niego cały swój sprzęt i położyła wzdłuż łęku siodła.

- Zbiórka! - krzyknął następnie do swych ludzi. Nie skrzępowano ich w żaden sposób, byli jednak ze wszystkich stron otoczeni przez jeźdźców.

Jechali bok w bok, on i Morgaine. Po krótkiej chwili spróbowała podać mu broń zawiniętą w płaszcz. Obawiał się przyjąć pakunek, wiedząc, jak zareagują na to Nhi. W jednej chwili wymierzono w nich ostrza mieczy. Człowiek z klanu San, śmielszy od pozostałych, zabrał mu tobolek. Vanye spojrział przygnębiony na Morgaine. Wiedział, jak ona to przyjmie.

Ta jednak siedziała mocno pochylona w siodle, zaledwie zdolna się w nim utrzymać, z dłonią zaciśniętą na nodze. Spomiędzy bladych palców skapywały krople krwi.

- Wytarguj dla nas schronienie - powiedziała mu. __
Jeśli tylko zdołasz, ilinie. Nie mam prawa azylu w klanie

Nhi, ani też nie przyrzekli mi zemsty. Każ im się zatrzymać, gdy tylko będzie to bezpieczne. Muszę opatrzyć ranę. Spojrzał na jej bladą, pełną napięcia twarz i zrozumiał, że się boi. Oceniał, że zabraknie jej sił, aby znieść jazdę wyboistą drogą prowadzącą do Alis Kaje. Zostawił ją i przepchnął się przez otaczających ich jeźdźców, by dotrzeć do Nhi Parena.

- Nie |- odrzekł tamten, usłyszawszy prośbę. Odpowiedź była twarda i niewzruszona. Vanye nie mógł mieć o to do niego pretensji, nie w tej okolicy. - Zatrzymamy się w Alis Kaje.

Wrócił do niej. W jakiś sposób trzymała się jeszcze w siodle. Wargi jej pobladły. Wyglądała marnie. Pod wpływem mokrej zadymki przebiegały ją dreszcze. Gdy znaleźli miejsce na postój, zaczekała, aż zejdzie z konia i pomoże jej zsiąść.

Przygotował dla niej miejsce i uprosił tego, kto trzymał jej rzeczy, aby dał mu przynajmniej lekarstwa. Następnie przyjrzał się zebranej wokół ponurej bandzie, a potem Parenowi, który miał choć tyle przyzwoitości, aby kazać się im trzymać na dystans.

Vanye opatrzył głęboką ranę najlepiej jak potrafił, posługując się jej lekarstwami. Jego dusza brzydziła się nawet ich dotknięciem, lecz wytłumaczył sobie, że kimkolwiek by ona nie była, najszybciej wyleczą ją jej własne metody. Próbowała coś powiedzieć, lecz niewiele z tego zrozumiał. Z płótna wyjętego z torby zrobił bandaż, który przynajmniej spowolnił krwawienie. Ułożył ją najwygodniej, jak tylko mógł.

Gdy wstał, Nhi Paren podszedł do nich, spojrział na nią w dół i wrócił do swoich ludzi, rozkazując im przygotować się do dalszej drogi.

- Nhi Parenie - Vanye rzucił przekleństwo i ruszył za nim. Stał w ciemności otoczony ze wszystkich stron ludźmi, którzy dosiadali już koni. - Nhi Parenie, czy nie możesz zaczekać przynajmniej do rana? Czy musimy się tak spieszyć? Przecież przekroczyliśmy już góry.

- Sprowadzacie tylko kłopoty, Nhi Vanye, ty i ta kobieta - odparł Paren. - Całe Hjemur jest pod bronią. Nie, nie zatrzymamy się. Jedziemy prosto do Ra-morij.

- Wyślij posłańca. Nie musisz jej zabijać przez swój pośpiech.

•- Jedziemy do Ra-morij - powtórzył Paren.

Vanye zaklął szpetnie. Gniew odebrał mu mowę. Nhi Paren nie był okrutny, jedynie tępo uparty - jak zwykle Nhi. Przełożył derkę na przód siodła, waląc ręką, aby ją dobrze ułożyć. Gniew nadal w nim kipiał. Odwrócił się, aby podprowadzić konia do Morgaine.

- Każ więc, żeby któryś z ludzi pomógł mi przy niej - powiedział do Parena przez zęby. - I bądź pewien, że powtórzę to wszystko Nhi Rijanowi. On przynajmniej jest sprawiedliwy. Jego honor sprawi, że nie pochwali twojego bezsensownego uporu, Nhi Parenie.

- Twój ojciec nie żyje - odparł Paren.

Zatrzymał się, czując, jak koń, którego prowadził za wodze, napiera na niego z tyłu. Jego ręce powstrzymały zwierzę bez udziału świadomości. Wszystko to nastąpiło, zanim dotarły do niego słowa Parena, zanim musiał mu

uwierzyć.

- Kto jest panem Nhi? - zapytał.

- Twój brat - odparł Paren. - Erij. Obowiązuje nas rozkaz, że jeśli kiedykolwiek postawisz stopę w Morija, mamy cię natychmiast doprowadzić do Ra-morij. Tak też musimy uczynić. Nie jest to - dodał łagodniejszym tonem - to, czego bym pragnął, Nhi Vanye, niemniej tak właśnie zrobimy.

Pojał wszystko mimo odrętwienia. Skłonił się lekko, godząc się z rzeczywistością. Nhi Paren odebrał ten gest z godnością. Sprawiał wrażenie zawstydzonego. Rozkazał swym ludziom, aby pomogli Vanyemu dźwignąć Morgaine tak, żeby mógł ją trzymać przed sobą w siodle.

Morijska twierdza Ra-morij uchodziła za niezdobytą. Siedziała wysoko spiętrzona na stoku górskim, z całym masywem góry z tyłu, a podwójnym rzędem murów i bram z przodu. Nigdy nie zdobyto jej zbrojnie. Czasem była we władzy Yla, a czasem Nhi, lecz zmieniała panów tylko poprzez małżeństwa i intrygi rodzinne, a ostatnio na skutek tragedii, która wydarzyła się w Irien, nigdy zaś przez oblężenie samej twierdzy. Bogate stada koni i bydła pasły się na ziemiach w pobliżu. Wioski w dolinie cieszyły się względnym bezpieczeństwem, gdyż ani wilki, ani jeźdźcy, ani bestie korijskie nie grasowały tam, tak jak to czyniły na równinach. Twierdza spoglądała spod zmarszczonych brwi na piękną krainę, jak pełen surowości dziadek na ulubioną córkę. Jego głowę wieńczyła korona z ozdobionych blankami murów i zębatych wież.

Nadal ją kochał. Łzy napłynęły mu do oczu na widok tego domostwa, w którym doznał tylu cierpień. Przez chwilę wspomniał swe dzieciństwo, wiosnę, tłustą Mai o białej grzywie - jego pierwszą Mai - oraz dwóch braci ścigających się z nim jednego z tych dni, gdy w powietrzu było tyle ciepła, że nawet oni nie mogli wykrzesać z siebie niewiści, gdy sady skapane były w kwieciu, a cała wielka dolina usiana różowymi i białymi obłokami drzew.

Teraz, na murach lśniło światło bladego zimowego słońca, wokół słychać było szcęk zbroi jeźdźców, a ramiona uginały mu się pod ciężarem Morgaine. Spała. Ręce mu zdrętwiały, a plecy stały się jednym słupem ognia. Niewiele wiedziała o tym, co wydarzyło się podczas drogi. Była straszliwie osłabiona, choć krwawienie ustało, a rana zaczynała się powoli goić. Pomyślał, że może zwalczyłaby swoją słabość, gdyby wiedziała, jak źle wyglądają sprawy, mimo że ludzie Nhi obchodzą się z nią tak dobrze. Robili dla mej,

191
co tylko możliwe, starając się jednak nie dotykać jej lub jej lekarstw. Ich strach przed nią najwyraźniej znacznie osłabł.

Była bardzo piękna. Wyglądała młodo, a z zamkniętymi oczyma mogła również wyglądać niewinnie. Nawet z wysoko urodzonymi kobietami mężczyźni z niższych klanów pozwalali sobie na prostackie, choć dobroduszne żarty. W stosunku do wieśniaczek także mężczyźni z wielkich klanów byli bardzo bezpośredni. Z Morgaine nikt nie pozwalał sobie na takie rzeczy - być może dlatego, że miała uprawnienia pana, a u jej boku znajdował się ilin, najpewniej jednak dlatego, że uważano ją za aujala, a quja-

łów ludzie nigdy nie traktowali lekceważąco.

Od czasu do czasu Nhi Paren dowiadywał się o jej samopoczucie i wtedy niektórzy czynili to samo, zdziwieni, że śpi tak głęboko.

Jedynie Nhi Ryn, syn Parena, spoglądał na nią z wyrazem czci. Był bardzo młody. Głowę miał pełną legend i gadek poetów. Potrafił grać na harfie jak rzadko który z mężczyzn z wielkich klanów. Z początku w jego oczach malowało się jedynie zdumienie, lecz szybko ustąpiło ono miejsca czci. Źle to wróżyło jego duszy.

Nhi Paren najwyraźniej zauważył, co się dzieje, i szybko skierował młodzieńca do straży tylnej, z dala od niej. Czas, w którym otaczano ich taką opieką, dobiegał końca. Usłyszeli odgłos końskich kopyt na bruku. Zbliżali się do bram twierdzy. Pięćdziesiąt lat temu Nhi Rej wybrukował drogę oraz wybudował kanały. Kończąc dzieło Yla Ena. Nie był to luksus, lecz konieczność, gdyż w przeciwnym razie wiosenne deszcze zaczęłyby rozmywać cały stok. Wjechali do środka przez Czerwoną Bramę. Była ona rzeczywiście czerwona, gdyż powiewały na niej sztandary Nhi tego koloru, ozdobione czarnymi literami. Gdy wjechali na podwórze, nie słychać było niczego poza łopotaniem flag na wietrze oraz stukotem kopyt na bruku. Jeden ze służących wybiegł im na spotkanie i pokłonił się Nhi Parenowi. Wymieniono rozkazy i informacje.

Vanye siedział w siodle, czekając cierpliwie, aż zostanie

-

podjęta jakaś decyzja. Wreszcie młody Ryn wraz z drugim mężczyzną podjechali do niego, aby pomóc mu zjechać Morgaine z konia. Spodziewał się aresztowania, ataku - czy czegoś podobnego - lecz odbyła się tylko spokojna rozmowa, jak gdyby byli zwyczajnymi wędrowcami. Postanowiono, że Morgaine zatrzyma się w słonecznej wieży zachodniej. Zanieśli ją tam we trójkę. Strażnicy podążyli za nimi. Tam przekazali ją w ręce wystraszonych służebnic, którym najwyraźniej nie było w smak to zadanie.

- Pozwólcie mi z nią zostać - prosił Vanye. - One nie umieją zadbać o nią jak należy... a przynajmniej zostawcie jej lekarstwa.

- Lekarstwa zostawimy - odparł Paren - ale co do ciebie mamy inne rozkazy.

Sprowadzili go po schodach do dolnej sali, którą znał tak dobrze. Po lewej znajdowała się komnata Erija, a dalej schody wiodące do środkowej wieży, gdzie mieściła się jego dawna izba. Zaprowadzili go jednak do komnaty, która należała do Kandrysa. Zasuwa ustąpiła z oporem, widać od dawna jej nie otwierano.

Vanye spojrział na Parena z wyrazem lęku i protestu.

Więzić go tutaj to szaleństwo. Paren miał bardzo zawstydzoną minę, jak gdyby rozkazy, które otrzymał, nie podobaly mu się w najmniejszym stopniu. Mimo to kazał mu wejść do środka. Z izby bił zapach stęchlizny, pleśni i starości. Panował tam chłód, a podłogę pokrywał kurz, który przenikał nieustannie do Ra-morij przez zamknięte okna i rozpadliny w murach.

Jeden ze sług przyniósł świece z knotem z sitowia. Inni drwa oraz kubeł węgla, aby rozpalić ogień. Obejrzał komnatę w słabym świetle. Wyglądała dokładnie tak, jak ją

zapamiętał. Niczego tu z pewnością nie ruszano od ranka, w którym zginął Kandrys. Dostrzegł w tej chorobliwej dbałości rękę swego ojca, oszalałego na punkcie pierwszordnego syna.

Na krześle wisiało ubranie. Zabłocone buty pozostawiono przy kominku, jakby je miano za chwilę oczyścić. Na zakurzonej pościeli widniał odciśnięty ślad ciała Kandrysa. Zaklął, buntując się przeciwko temu, lecz mocne ręce zagroziły mu drogę do drzwi, a na zewnątrz czekali uzbrojeni ludzie. Nie miał wyboru, musiał poddać się temu szaleństwu. •|•||

Podano mu wodę do mycia, talerz z jedzeniem i wino. Wszystko to ustawiono na długim stole przy drzwiach. Przyniesiono też dodatkowe naręczce drewna i położono przed kominkiem, w którym palił się już przyjemny ogień. - Kto wydał takie polecenia? - zapytał wreszcie Vanye. - Erij?

- Tak - odparł Paren tonem wskazującym wyraźnie, że nie pochwała całej tej sprawy. W oczach wojownika pojawił się wyraz współczucia, które nie należało się Vanyemu jako banicie. Nie możemy też zostawić ci zbroi, ani żadnej broni.

Nie było mowy o dyskusji. Vanye odsznurował i ściągnął zarówno skórzaną tunikę z kolczugą, jak i bluzę, po czym oddał je jednemu z ludzi, którzy przedtem zabrali jego hełm. W milczeniu pozwolił im przeszukać się w poszukiwaniu ukrytej broni. Poza butami i skórzanymi spodniami została mu tylko cienka koszula, nie dająca osłony przed chłodem, który wciąż zalegał w pomieszczeniu. Gdy zostawili go samego, z radością skulił się przy kominku, aby się ogrzać. Znalazł wreszcie dość apetytu, aby zjeść przyniesione jedzenie i wypić wino, po czym umył się, ogrzewszy wodę w małym kociołku stojącym przy palenisku.

Wreszcie zmęczenie, które go ogarnęło, pokonało resztę skrupułów. Pomyślał, że Erij zapewne chciał, by spędził noc, siedząc przy kominku pogrążony w poczuciu winy, zamiast spać w upiornym łożu.

Był jednak w wystarczającym stopniu Nhi, by zdobyć się na przekorę. Postanowił więc, że nie pozwoli, aby rozgniewany duch, który unosił się w tej komnacie, uczynił sobie z niego ofiarę. Odsunął kołdrę i położył się do łoża, zdejmując jedynie buty, choć ludzie we dworze spali zawsze nago. Nie miał aż tyle zaufania do morijskiej gościnności. Był znużony ciężarem kolczugi, której przez długi czas nie zdejmował nawet w nocy. Sam fakt, że się od niej uwolnił, wystarczał, aby poczuł, że jest mu wygodnie. Zasnął, gdy tylko rozluźniły się mięśnie, a zimna pościel rozgrzała się od jego ciała. Jeśli nawet śnił, niczego nie zapamiętał.

|

-

|

ROZDZIAŁ VII

„ |

Usłyszał szuranie butów po kamieniu. Przekręcił się na bok w nagłej panice, odrzucił kołdrę i spróbował wstać. Mężczyzna w czarno-srebrnym stroju zrobił krok do tyłu.

Vanye zatrzymał się z jedną bosą stopą na podłodze. Ogień dogasał. Białe światło dnia sączyło się przez wąską szparę w oknie. Towarzyszył temu zimny powiew.

To był Erij. Postarzał się, twarz mu stwardniała, a czarne włosy splecione były w warkocz o innym kształcie, oznaczający pana dworu. Oczy jednak miały taki sam wyraz - zuchwały i drwiący.

Vanye zerwał się na nogi. Dostrzegł od razu, że są sami w izbie, a drzwi zostały zamknięte. Na zewnątrz z pewnością byli ludzie. Nie miał złudzeń co do tego, że jest bezpieczny. Przybrał jednak odważną minę i przez chwilę nie zwracał uwagi na brata, zajęty zakładaniem butów. Następnie podszedł do resztek wczorajszego wina i pociągnął łyk nędznego trunku. Podszedł szybko do kominka, gdyż chłód przeszył go aż do szpiku kości. Erij pozwolił mu na to wszystko bez sprzeciwu.

Gdy uklęknął, aby na nowo rozpalić ogień, usłyszał kroki Erija za plecami. Poczul delikatny dotyk jego długich palców na włosach, które wisiały mu luźno do ramion. Były już wystarczająco długie, aby można je ująć w dłoń, lecz nie na tyle, by ponownie spleść je w warkocz wojownika. Erij pociągnął za nie delikatnie, jakby miał do czynienia z dzieckiem. Vanye musiał unieść głowę. Nie próbował się odwrócić, lecz przygotował się na okrutne szarpnięcie, które - był tego pewien - zaraz nastąpi.

Nic takiego się nie stało.

- Spodziewałem się - odezwał się Erij - że honory, z jakimi cię stąd odprawiono, skłonią cię do tego, żebyś już tu nie wracał.

Brat puścił jego włosy. Vanye wykorzystał szansę, aby odwrócić się i wstać. Erij był wyższy od niego. Nie mógł nic poradzić na to, że spoglądał na niego z dołu, zwłaszcza gdy stał tak blisko. Kominek parzył nieprzyjemnie w plecy, lecz Erij nie cofnął się, aby pozwolić mu się odsunąć.

Wówczas dostrzegł, że jego brat nie ma prawej ręki.

W rękawie tuniki krył się jedynie kikut. Spojrzał na to w przerażeniu. Erij uniósł rękę do góry, aby mógł ją lepiej obejrzeć.

- To twoje dzieło - oznajmił. - I to nie jedyne.

Vanye nie wyraził z tego powodu żalu, gdyż nie mógł powiedzieć, że go w tej chwili odczuwa. Był jedynie wstrząśnięty. Ogień boleśnie parzył go w nogi. Odepchnął wreszcie Erija. Wino z pucharu wylało się na podłogę, pozostawiając ciemny ślad czerwonych kropelek na spragnionym kurzu.

- Przybyłeś w dziwnym towarzystwie - powiedział

Erij. - Czy to naprawdę ona?

- Tak - odparł Vanye.

Erij zadumał się nad tym. Jako Myya był rozsądny i praktyczny. Myya w wiele rzeczy wątpili i w mało co wierzyli. Nie służyli z pobożności. Nie było wiadomo, która część jego osobowości osiągnie przewagę - bogobojny Nhi czy cyniczny Myya.

- Obejrzałem niektóre rzeczy, które miała ze sobą - powiedział. - Wydają się to potwierdzać. Krwawi jednak jak zwykły śmiertelnik.

- Naszym tropem podążają wrogowie - odparł ochryplym głosem Vanye - którzy nie przyniosą Morijsa niczego dobrego. Pozwól nam wyruszyć w drogę, gdy tylko bę-

dzie zdolna do jazdy. Nie sprawimy ci kłopotu, a i oni też nie. Hjemur zbyt będzie nami zajęte, żeby zadzierać z Morija. Jeśli jednak spróbujesz ją tu zatrzymać, może się stać inaczej.

- A jeśli ona tu umrze?

Wbił wzrok w Erija, pragnąc odgadnąć jego myśli. Zdał sobie sprawę, że minęły dwa lata, podczas których umarł chłopiec i narodził się mężczyzna, zdolny zabić z zimną krwią. Eriem zawsze rządziły nastroje, próżność, niekiedy życzliwość -- nie tak, jak u Kandrysa. Teraz jednak rysy jego twarzy zdawały się wskazywać, iż nigdy się nie uśmiecha. Na jednym z policzków widniała świeża blizna. Wokół oczu pojawiły się zmarszczki.

- Pozwól jej odejść - powtórzył Vanye. - Będą chcieli dostać ją i wszystko, co do niej należy. Nie dogadasz się z Hjemurem. Z nimi nie sposób się dogadać i dobrze o tym wiesz.

|- Czy ona się tam właśnie udaje? - zapytał.

- Im mniej Morija ma z nią do czynienia, tym lepiej.

Przyrzekła zemstę Hjemurom. Stanowi większe zagrożenie dla nich niż dla was. Mówię ci prawdę.

Erij myślał nad tym przez chwilę, pochylony nad kominikiem. Schował okaleczoną kończynę z powrotem pod tunikę. Jego ciemne oczy spoczęły na Vanyem, twarde i wyrachowane.

- Ostatni raz słyszałem o tobie od Myya Gervaine'a. Chodziło o zabójstwo i kradzież konia w Erd.

- Przedostanie się przez ziemie twoich kuzynów Myya zajęło mi większą część tych dwóch lat - przyznał Vanye. - Żyłem na ich koszt. Zamieniłem tego konia na swojego.

Wargi Erija zacisnęły się w posępnym uśmiechu wywołanym zuchwałością.

- Zanim znalazłeś się na służbie, jak sądzę?

- Tak jest, zanim.

- A jak doszło do tego, że się na niej znalazłeś?

Vanye wzruszył ramionami. Było mu zimno. Podszedł z powrotem do ognia i złożył ręce na piersi dla ochrony przed chłodem.

- Przez nieostrożność - odparł. - Schroniłem się tam, gdzie nie powinienem. Widziałem tylko kobietę. Zapomniałem, że ona ma uprawnienia pana. Ale wszystko było zgodnie z prawem.

- Czy śpisz z nią?

Spojrzał na brata wstrząśnięty.

- Ilin z liyo, i to z taką, jak ona? Nie. Ani razu.

- Jest piękna. Jest też aujalem. Nie podoba mi się, że przebywa pod mym dachem. Nie ma u nas prawa azylu i nie mam zamiaru jej go przyznać.

- Ona tego nie pragnie - odparł Vanye. - Wyślij nas tylko w drogę.

- Kiedy upływa termin twojej służby? I czego ona od ciebie żąda?

- Nie sądzę, żebym miał prawo ci to powiedzieć. Nie ma to jednak nic wspólnego z Morija. Skierowaliśmy się tutaj tylko dlatego, że ścigali nas ludzie z Hjemuru.

- Dokąd uda się, jeśli ją zwolnię?

- Poza twoje ziemie, najszybciej jak tylko można -

spojrzał bratu w twarz. Odrzucił wszelką arogancję. Erij miał prawo do zemsty na nim i wymierzył ją poprzez gościnność, jaką ich uraczył. - Przysięgam, Eriju, że nie mam ci za złe tego, jak nas przywitałeś. Jeśli pozwolisz nam odejść, dołożę wszelkich starań, aby nie sprowadzić kłopotów na twój kraj. Przysięgam na swe życie.

- Czego pragniesz ode mnie?

- Zwróć tylko ekwipunek, który nam zabrałeś. Daj zapasy, jeśli raczysz. Brak nam wszystkiego. Odjedziemy, gdy tylko będzie zdolna utrzymać się w siodle.

Erij spojrział z ukosa w ogień, po czym zwrócił wzrok z powrotem na Vanyego i zmarszczył brwi.

- Ta przysługa ma swoją cenę.

- Co jest tą ceną?

- Ty. - Gdy Vanye spojrział na niego bezradnie, niemal nie rozumiejąc, Erij dodał: - Zwolnię ją. Dzisiaj.

Z zapasami, z końmi i całym ekwipunkiem. Będzie się mogła udać, dokąd zechce. Ciebie jednak nie zwolnię. Taka jest cena za moją gościnność.

"Wytarguj dla nas schronienie - rozkazała mu, zanim pograżyła się w delirium - jeśli tylko zdołasz". Wiedział, że opuszczenie go byłoby dla niej hańbą, znał też jednak przymus, jaki odczuwała. Żyła tylko jedną myślą i niczym innym. Jej twarz zwrócona była w stronę Hjemuru. Z chęcią poświęciłaby jego życie, jeśli to zaprowadziłoby ją do celu. Sama mu to powiedziała.

- Gdy moja służba u niej dobiegnie końca - zaproponował - wrócę do Morija.

- Nie - odparł Erij.

- A więc - powiedział wreszcie - będziesz musiał zapłacić za to uczciwą cenę. Przysięgnij, że Morgaine odjedzie stąd ze wszystkim, co do nas należy, końmi, bronią i zapasami wystarczającymi na drogę do dowolnej z naszych granic, i ponadto pozwól jej odjechać swobodnie od samej bramy, bez żadnych sztuczek.

- A z twojej strony? - zapytał Erij. - Czy jeśli spełnię te warunki, nie zostanę przeklęty przez ciebie ani przez nią?

- Nie zostaniesz - odparł Vanye i jego brat złożył przysięgę, taką, której nawet pół-Myya powinien dotrzymać.

Kiedy Erij wyszedł, Vanyego ogarnął chłód. Uklęknął przy kominku. Dokładał do niego powoli drew, aż ogień rozpalili się jasno. W izbie panowała cisza. Gdy spoglądał w cienie, poza blask ognia, dostrzegał jedynie rzeczy należące do Kandrysa. Nigdy nie wierzył zbyt w opowieści o nieszczęśliwych zmarłych pozostających w pobliżu żyjących, choć sam służył tej, która powinna nie żyć od stu lat. Mimo to czuł, że komnata przesycona jest chłodem, jakąś przyczajoną niepewnością, która mogła być poczuciem winy, strachem lub inną siłą, płynącą z przebywającej tu wciąż duszy Kandrysa.

Na podwórzu dał się słyszeć stukot kopyt. Vanye podszedł do wąskiego okna i wyjrzał na zewnątrz. Ujrzał, że osiodłano już Siptaha i karego. Stali przy nich ludzie. Dwóch strażników pomogło zejść Morgaine i wsadziło ją na konia. Utrzymywała się w siodle z największym trudem. Chwyliła wodze niezgrabnym gestem i natychmiast

omal nie wypuściła ich z rąk.

Gdy zobaczył, w jakim stanie ją wypuszczono, wezbrał w nim gniew. Erij pragnął jej śmierci.

Wysunął ramiona przez wąski otwór i krzyknął w dół do niej.

- Liyo! - Jego głos niósł się wśród zimnego wiatru.

Spojrzała w górę i omiotła wzrokiem wysokie mury.

- Liyo!

Uniosła rękę. Dostrzegła go. Zwróciła się w stronę tych, którzy ją otaczali. W jej ruchach widoczny był gniew, u nich zaś zawstydzienie. Odwrócili się od niej wszyscy, z wyjątkiem tych, którzy musieli trzymać konie.

Nagle poczuł strach o nią. Obawiał się, że wyciągnie broń i zginie, nie wiedząc nawet dlaczego.

- Taka jest umowa - krzyknął do niej. - Jesteś wolna za jego przysięgą, ale nie ufaj mu, liyo!

Wyglądało na to, że zrozumiała. Zawróciła nagle Siptaha i ścisnęła go piętami, kierując się w stronę bramy tak szybko, iż Vanye przestraszył się, że spadnie z siodła na zakręcie. Czarny rumak, który należał do Liella, podążył za nią, przywiązany postronkiem do siodła Siptaha. Na grzbiecie dźwigał pakunek - rzeczy Vanyego.

Zanim brama się zamknęła, podążył za nimi ktoś jeszcze. Ryn, śpiewak, z harfą na plecach, spiał swojego konia i popędził za nią. Łzy napłynęły Vanyemu do oczu, choć nie potrafił powiedzieć dlaczego. Pomyślał później, że może był to gniew, spowodowany tym, że poprowadziła następnego niewinnego człowieka ku zgubie.

Ponownie siadł ciężko przy kominku i skrył głowę w ramionach, starając się nie myśleć o tym, co go czeka.

- Ojciec zmarł - oznajmił Erij - sześć miesięcy temu.

- Wyciągnął nogi przed kominkiem w swej własnej, czystej i wyściełanej kobiercami komnacie, która należała uprzednio do ich ojca, i spojrzał w dół na Vanyego siedzącego po turecku przed kominkiem. Tego wieczoru Vanye był Jego przymusowym gościem. W powietrzu unosił się odór wina. Erij ujął lewą ręką puchar, a następnie dzban stojący na stole, po czym zaproponował gestem, że doleje bratu wina. Ten jednak odmówił.

- Tak więc uśmierciłeś go - ciągnął Erij, tak jakby mówili o kimś, kogo ledwie znali - tym, że zabiłeś Kandrysa. Ojciec popadł w obsesję na jego punkcie. Zachował spokój tak, jak go widziałeś. Wszystko po staremu. Uprząż w stajni - wciąż ta sama. Wypuścił jego konia. To był dobry wierzchowiec, a teraz zdziczał albo zjadły go wilki, kto wie? Usypał wielki kurhan w lesie, na zachód stąd i pochował tam Kandrysa. Matka nie mogła przemówić mu do rozsądku. Zachorowała pod wpływem jego nastrojów i zabiła się. Spadła ze schodów. A może on ją zepchnął. Gdy ogarniał go ten nastrój, stawał się straszny. Po jej śmierci zaczął przesiadywać godzinami przy kurhanie. Matkę też tam pochowano. W ten właśnie sposób umarł. Padał deszcz. Pojechaliśmy tam, aby sprowadzić go siłą. Zachorował i umarł.

Vanye nie patrzył na niego, tylko słuchał. Głos brata wydał mu się nieprzyjemnie podobny do głosu Leth Kasedrego. Pobrzmiewało w nim to samo niedbałe okrucieństwo. Dostatecznie przerażało go to, gdy byli dziećmi -

teraz fakt, że człowiek, który rządził Nhi, zabawiał się takim bezcelowym okrucieństwem, miał jeszcze bardziej nieprzyjemny posmak.

Erij tracił go lekko stopą.

- Nigdy ci nie wybaczył, wiesz?

- Nie liczyłem na to -! odparł Vanye nie odwracając się.

- Mnie również nigdy nie wybaczył - dodał po chwili

Erij. - Tego, że to ja, z dwóch synów z prawego łoża, pozostałem przy życiu. I tego, że nie byłem absolutnie doskonały. Ojciec kochał doskonałość - u kobiet, u koni, u swych synów. Ty rozczarowałeś go jako pierwszy. I okaleczyłeś mnie. Brzydził się myślą, że pozostawi Nhi kalece.

Vanye nie mógł już tego dłużej znieść. Odwrócił się na kolanach i ukłonił bratu tak, jak nigdy dotąd tego nie czynił - okazując mu szacunek należny głowie klanu, z czołem pochylonym do podłogi. Następnie wyprostował się i spojrzął na niego z rozpaczliwym błaganiem.

- Pozwól mi stąd odejść, bracie. Mam obowiązki względem niej. Nie jest zdrowa. Złożyłem jej przysięgę, której muszę dotrzymać. Jeśli przeżyję, wrócę tu i wtedy załatwimy nasze sprawy.

Erij zmierzył go wzrokiem. Vanye pomyślał, że może tego właśnie jego brat pragnął - aby porzucił swą dumę__ lecz tamten uśmiechał się łagodnie.

- Wracaj do swojej komnaty - powiedział.

Vanye zaklął, wściekły i nieszczęśliwy, po czym wstał i uczynił to, co mu nakazano. Wrócił do przesyconej nastrojem smutku komnaty Kandrysa, do kurzu, duchów i brudu, zmuszony spać na posłaniu zabitego brata, nosić jego ubranie i chodzić samotnie po jego izbie.

W nocy padał deszcz. Woda wpadała do środka przez szczeliny w niepomalowanych, gnijących żaluzjach. Pioruny biły niepokojąco, jak zawsze na stokach gór. Zmrużył oczy pod wpływem błyskawic. Spoglądał na wzgórza pokryte chmurami i zastanawiał się, jak się wiedzie Morgaine, czy żyje jeszcze, czy też powaliła ją rana, i czy zdoła znaleźć schronienie. Po pewnym czasie ulewa przeszła w deszcz ze śniegiem, lecz grzmoty nie ucichły.

Rankiem wszystko pokrywała cienka powłoka śniegu, a starodawne kamienie Ra-morij stały się białe. Wkrótce jednak na podwórzu zaczął się ruch i grunt ponownie przybrał kolor brunatny. Śnieg nigdy nie utrzymywał się długo w Morija, poza Alis Kaje czy szczytem Proeth.

To, pomyślał, ułatwi sprawę tym, którzy mogliby podążyć jej śladem. Ta myśl napełniła go jeszcze głębszym niepokojem.

Przez cały dzień, podobnie jak wczoraj, nikt do niego nie przyszedł, nawet po to, aby mu przynieść jedzenie. Wieczorem nadeszło wezwanie, którego oczekiwał, i ponownie musiał usiąść z bratem do stołu, on po jednej stronie, a Erij po drugiej.

Tego wieczora na środku stołu, wśród talerzy i wina. leżał łuk Chya.

- Czy mam cię zapytać, co to oznacza? - spytał wreszcie Vanye.

- Chya przekroczyli w nocy naszą granicę. Twoje przewidywania okazały się prawdziwe. Morgaine ma niezwy-

kłe towarzystwo.

- Jestem pewien, że ich o to nie prosiła.

- Zabiliśmy pięciu z nich - oświadczył Erij z zadowoloną miną.

- W Ra-leth poznałem człowieka - odrzekł Vanye przez zaciśnięte zęby, nalewając sobie wina - do którego stałeś się podobny, mój bracie z prawego łoża, dziedzicu Rijana. Człowieka, który utrzymuje komnaty w podobnym stanie jak ty, traktuje gości podobnie jak ty i dba o honor podobnie jak ty.

Erij wydawał się ubawiony, lecz była to tylko cienka otoczka.

- Bękarci bracie, widzę, że humor dopisuje ci tego wieczora. Stałeś się nazbyt pewny mojej gościnności.

- Bratobójstwo nie skończyłoby się dla ciebie lepiej niż dla mnie - odparł Vanye głosem pewnym i spokojnym, choć wcale nie czuł się pewnie. - Nawet jeśli zdołasz wypełnić swój dwór Myya takimi jak ci twoi wspaniali słudzy stojący za drzwiami, ludzie, którymi władasz, to Nhi. Porderżnij mi gardło, a znajdują się tacy Nhi, którzy o tym nie zapomną.

- Tak sądzisz? - odparł Erij, odchylając się do tyłu. - Nie masz bliskich kuzynów wśród Nhi, bękarci bracie, jedynie mnie. Nie sądzę też, żeby Chya byli zdolni uczynić mi cokolwiek, nawet gdyby chcieli, w co bardzo wątpię. Ona zaś opuściła cię bardzo szybko. Chciałbym wiedzieć, co ma w sobie ta wiedźma, że potrafiła zmienić kogoś takiego, jak ty, w wiernego sługę. Vanye sobek. Vanye tchórz. I to nie dzieląc z tobą łoża. By skłonić cię do tak wiernej służby, trzeba było wielkiego czarnoksięstwa. Zawsze wolałeś działać z zasadzki.

Niektóre rzeczy z tego, co mówił o nim Erij, Vanye uznawał za prawdę. Młodszy brat przeciw starszym, bękart przeciwko dziedzicom, nie zawsze przestrzegał zasad honoru, Oni również przygotowywali na niego zasadzki, zwłaszcza po tym, gdy umarła jego piastunka i zamieszkał na stałe w twierdzy Ra-morij.

To była, przypomniał sobie, chwila, w której przestali być braćmi. Wtedy, gdy zamieszkał na stałe w twierdzy i przestał być dla nich ubogim krewnym, a stał się rywalem. Nie rozumiał tego wówczas dokładnie. Miał dziewięć lat.

Erij miał dwanaście. Kandryś trzynaście. Chłopcy w tym wieku wyjątkowo dobrze potrafią kierować się zamierzonym, bezmyślnym okrucieństwem.

- Byliśmy dziećmi - powiedział Vanye. -| Wszystko wyglądało wtedy inaczej.

- Kiedy zabiłeś Kandryśa - odparł Erij - nie pozostawiłeś wątpliwości.

- Nie chciałem go zabić - sprzeciwił się Vanye. - Ojciec powiedział, że on nigdy nie uderzał tak, aby zabić, lecz ja o tym nie wiedziałem. Erij, on pędził prosto na mnie.

Widziałeś to, widziałeś. Ciebie nigdy bym nie uderzył.

Erij skierował na niego puste, zimne spojrzenie.

- Tylko, że moja ręka przypadkowo osłaniała go w chwili, gdy otrzymał śmiertelną ranę. Leżał już wtedy, bękarci bracie.

- Byłem w zbyt wielkim napięciu, aby myśleć jasno.

Postąpiłem źle. Jestem winny. Odprawiam za to pokutę.

- W grucie rzeczy - stwierdził Erij - Kandrys pragnął cię tylko cokolwiek skaleczyć. Nigdy cię nie lubił, ani trochę. Nie spodobało mu się, gdy przyznano ci miejsce pomiędzy wojownikami. Powiedział, że chce, abyś sam uznał, że nie masz do tego prawa. Co do mnie, było mi wszystko jedno, ale Kandrys był moim bratem i jeśli postanowił poderżnąć ci gardło, to musiałem liczyć się z tym, że jest dziedzicem Nhi. Szkoda, że nie chcieliśmy posunąć się dalej. Władaleś tym mieczem lepiej, niż się nam zdawało. W przeciwnym razie Kandrys nie drażniłby cię tak od niechcenia. Muszę ci to przyznać, bękarci bracie, byłeś naprawdę dobry.

Vanye sięgnął po puchar i przełknął resztę wina, które pozostawiło w jego ustach kwaśny posmak.

- Ojciec miał świetnych dziedziców do wyboru, prawda? Trzech potencjalnych morderców.

- Ojciec był z nas najgorszy - odparł Erij. - Zabił matkę. Jestem tego pewien. Sprowokował śmierć Kandrysa faworyzując ciebie. Nic dziwnego, że widywał duchy.

- A więc uwolnij od nich ten dwór. Pozwól mi stąd odjechać. Nasz ojciec wcale nie był dla ciebie lepszy niż dla mnie. Pozwól mi odjechać.

- Nie przestajesz mnie prosić. Ja ci odmawiam. Dlaczego po prostu nie spróbujesz ucieczki?

- Sądziłem, iż oczekujesz, że dotrzymam słowa - odparł. - A poza tym nie dotarłbym nawet na parter Ramorij.

- Możesz potem żałować, że nie wykorzystałeś szansy.

- Chcesz mnie przestraszyć. Znam te sztuczki, Erij. Zawsze byłeś w tym świetny. Wierzyłem w to, co mi mówiłeś, i ufałem ci bardziej niż Kandrysowi. Chciałem wierzyć, że jest w tobie jakieś poczucie honoru, coś, czego on nie miał.

- Nienawidziłeś nas obu.

- Było mi was żal. Było mi żal nawet Kandrysa.

Erij uśmiechnął się, wstał od stołu i podszedł do ognia, gdzie było ciepło. Vanye podążył za nim. Erij, wciąż trzymając w ręku puchar, zasiadł na swym ulubionym krześle, podczas gdy jego brat spoczął na ciepłych kamieniach. Przez dłuższy czas panowało pomiędzy nimi milczenie, niemal pokój. Erij wychylił jeszcze dwa puchary wina. Jego opalona twarz poczerwieniała, a oddech stał się ciężki.

- Pijesz za dużo - odezwał się wreszcie Vanye. -

Dzisiaj i poprzedniego wieczora... pijesz za dużo.

Erij podniósł w górę kikut ramienia.

- To... boli mnie w chłodne wieczory. Długi czas piłem, aby łatwiej zasnąć w nocy. Będę chyba musiał przestać albo skończyć tak jak ojciec. To wino doprowadziło go do ruiny, wiem o tym dobrze. Gdy pił, czyli zawsze od śmierci Kandrysa, tracił rozsądek. Gdy się upił, wychodził na zewnątrz, siadał u jego grobu i widział duchy. Nie chciałbym umrzeć w ten sposób.

W rozumowaniu Erija była pewna racjonalność, która czyniła go bardziej szalonym. Chwilami Vanye miał wrażenie, że można mu przemówić do rozumu, skłonić do wybaczenia. Nikt nie rozmawiałby w ten sposób ze swoim wrogiem. W takich chwilach stawali się braćmi w większym stopniu niż kiedykolwiek przedtem. Mógł wtedy nie-

mal zrozumieć Erija, choć jego nastroje, napady nienawiści i zmarszczki, które zaczynały się rysować na twarzy, sprawiały, że wydawał się o kilka lat starszy, niż w istocie był.

- Twoja pani - powiedział wreszcie Erij - nie opuściła Morija, tak jak zapowiadałaś.

Vanye rzucił mu szybkie spojrzenie.

- Gdzie ona jest?

- Powinieneś to wiedzieć - odparł Erij - skoro, jak sądzę, dobrze znasz jej zamiary.

- To jest jej sprawa.

|- Czy mam ją tu sprowadzić, czy też zapytać ciebie po raz drugi?

Vanye spojrzał na niego. Dostrzegł nagle metodę w szaleństwie brata, w jego chorobliwie zmiennych nastrojach. To dawało mu szansę.

- Ma sprawę z Hjemurami i nie żywi przyjaźni do Thi-yego. Niech ci to wystarczy.

- Doprawdy?

- To prawda, Erij.

- Jednakże - odparł Erij - nie opuściła Morija. Wszelkie obietnice złożyłem tylko pod tym warunkiem.

- Ja również - powiedział Vanye - pod warunkiem.

Erij spojrzał na niego z góry bez śladu wesołości. Nagle jego oczy przybrały wyraz przypominający Nhi Rijana - młodego, twardego i pełnego złej woli.

- Możesz odejść.

- Nie czyni niczego przeciw niej - ostrzegł go Vanye.

- Możesz odejść - powtórzył Erij.

Vanye podniósł się z ziemi i ukłonił zdawkowo na pożegnanie, co podtrzymało pomiędzy nimi wątłą nitkę uprzejmości. Na zewnątrz czekali na niego strażnicy. Byli tam zawsze - Myya - Erij nie ufał żadnym Nhi na tyle, aby powierzyć im obowiązek odprowadzania brata do jego izby. Jednakże w czasie, gdy przebywał w komnacie, ich liczba uległa podwojeniu. Przedtem było ich dwóch, teraz czekało na niego czterech.

Spróbował cofnąć się do środka. Usłyszał świst stali i ujrzał, jak Erij wyciąga z pochwy miecz. W tym momencie strażnicy schwycili go, próbując unieruchomić.

Wiedział, że nie ma nic do stracenia, rzucił się więc na brata, by przynajmniej roztrzaskać mu czaszkę. Żaden bowiem Myya nie powinien być panem Ra-morij. W ten sposób pomoże przynajmniej nieszczęsnym Nhi.

Dopadli go jednak, depcząc po sobie nawzajem i przewracając meble w pośpiechu, a pięść Erija wzmocniona głowicą miecza uderzyła go w bok głowy i powaliła na kolana.

Znał dobrze te lochy, głęboko wryte w skałę, gdzie trzymano zapasy zebrane na wypadek oblężenia. Był to prawdziwy labirynt tuneli i pomieszczeń o ociekających wodą pułapach, które w zimie zamarzały. To właśnie sprawiało, że całe wschodnie skrzydło nie było bezpieczne i nikt tam nie mieszkał. Jak długo sięgała pamięć, uważano, że w każdej chwili może się ono zawalić, choć sufity lochów i magazynów podparte były kolumnami, a niektóre z nich wypełniono ziemią. Gdy byli dziećmi, nie pozwalano im tam chodzić. Bawili się w bezpiecznych górnych magazynach części zachodniej, tak podczas mroźnych zim, jak i upalnych lat.

Pewnego razu jednak, gdy na stałe zamieszkał w Ra-morij, bracia namówili go, aby zapuścił się z nimi w najdalsze głębiny. Wzięli ze sobą tylko jedną lampę i wyruszyli do lochów, gdzie panował chłód i wilgoć, pełno było zbutwiałych belek i kruszących się murów.

Tam go zostawili, w miejscu, z którego nie sposób było usłyszeć jego krzyków.

Tam też zamknęli go Myya, bez światła i bez wody.

Przed chłodem chroniła go jedynie cienka koszula. Opierał się im oszołomiony, ogarnięty lękiem przed tym, że zwiążą go tak, jak uczynił to Kandrys. Wyrwał się z ich uścisku i przygotował się do walki.

Zamknęli za nim drzwi i zostawili go w całkowitej ciemności. Trzask zamka na zewnątrz rozniósł się szerokim echem.

Walil w drzwi ze wszystkich sił, aż mu ich zabrakło.

Bark miał posiniaczony, a dłonie poranione. Wreszcie padł na ziemię pod drzwiami, które były jedynym pewnym punktem tej absolutnej ciemności, w jedynym miejscu nie pokrytym zimną ziemią i kamieniami. Odzyskał oddech.

Przez chwilę słyszał tylko powolne, odległe kapanie wody.

Nagle ożywiły się szczury. Z początku były nieśmiałe.

Cofały się, gdy tylko wydał jakiś dźwięk. Stopniowo stawały się coraz śmielsze. Słyszał odgłos ich małych łap zarówno na ścianach, jak i nad głową, w labiryncie niewidocznych belek.

Nienawidził ich od czasu koszmaru, który przeżył w podziemiach Ra-morij. Nie mógł na nie patrzeć nawet w pełnym świetle. Sam ich widok wywoływał wspomnienie mrocznych zakamarków, gdzie pieniały się w wielkich gromadach.

Nie śmiał już dłużej tak leżeć. Mimo strachu, który odczuwał, rozumował, że szczury z reguły unikają czuwającego człowieka, zaś wiele słyszał o tym, co mogą uczynić z tym, który zaśnie. Chodził po celi, by obronić się przed snem. W pewnej chwili, gdy położył się, aby odpocząć, poczuł, jak coś lekkiego przebiegło mu po nodze. Zerwał się z krzykiem przerażenia, który odbił się szaleńczym echem w ciemności.

Ten krzyk sprawił, że szczury ucichły - na krótką chwilę. Wkrótce bez obaw powróciły.

Prędzej czy później będzie musiał zasnąć. Nadejdzie chwila, gdy padnie ze zmęczenia. Już teraz kolana mu drżały. Chodził długo wkoło, lecz w końcu musiał odpocząć, oparty o ścianę. Chwilami nie wiedział, co się z nim działo. Budził się w momencie, gdy padał na ziemię, aby ponownie wstać z trudem na dygoczące ze zmęczenia nogi, drżący, z brudnymi rękoma. Nagle, nareszcie, w korytarzu rozległ się brzęk. Ujrzał światło pod drzwiami, a potem wrota otworzyły się. W blasku płonącej pochodni majaczyły ciemne postacie. Pobiegł do nich jak do najbliższych przyjaciół, szukając schronienia.

Zaprowadzili go z powrotem na górę, do pięknej komnaty, która była mieszkaniem Erija. Za oknem było ciemno, wiedział więc, że upłynęła cała noc i dzień od chwili, gdy spał po raz ostatni. Zasiadł naprzeciw brata, za tym samym stołem co zawsze. Kolana mu drżały, a ręce były niemal niezdolne do posługiwania się sztucami.

Sięgnął najpierw po wino, pod wpływem którego chłód w jego żołądku zaczął ustępować. Nie mógł jednak jeść. Wziął kilka zakąsek i zjadł trochę chleba oraz kawałek sera. Nóż wypadł mu z brzękiem z ręki. Miał dość. Odstawił krzesło, nie czekając na pozwolenie brata, podszedł do ciepłego kominka i położył się tam, podczas gdy Erij kończył kolację. W oczach mu się ćmiło, i wreszcie owładnęło nim zmęczenie. Obudziło go szturchnięcie w żebra. Podniósł się, pragnąc odwlec powrót do lochu przez rozmowę i zdecydowane podporządkowanie się humorom Erija, lecz strażnicy Myya zdążyli już wrócić. Złapali go, by zabrać z powrotem do celi, pełnej ciemności i szczurów. Opierał się z głośnym krzykiem i łkaniem, wreszcie wyszarpnął się z uścisku, sięgnął do stołu, złapał nóż i zranił jednego z nich w rękę. Odebrali mu go jednak i powalili go na podłogę z brzękiem przewracanych naczyń. Obuta stopa kopnęła go w głowę. Leżał na ziemi, zdolny myśleć jedynie o tym, że zabiorą go na dół nieprzytomnego i że szczury dobiorą się do niego. Dlatego nie przestawał walczyć, lecz kolejny cios w brzuch odebrał mu oddech. Później nie wiedział już nic.

Wciąż leżał na podłodze. Widział światło, czuł ciepło i wyczuwał dywan pod swymi palcami. Nagle poczuł, jak zimne ostrze przyciska jeden z jego nadgarstków do podłogi. Otworzywszy oczy ujrzał - na drugim końcu lśniącego miecza - Erija, który siedział oparty o poręcz krzesła. - Jesteś bardziej wytrzymały niż ongiś, bękarci bracie - stwierdził Erij. - Kilka lat temu odzyskałbyś rozsądek już przed dwoma dniami. Czy jesteś jej winien tak wiele, że nie chcesz mi nawet powiedzieć, w jakim celu przybyła?

- Powiem ci - odparł. - Choć sam tego nie rozumiem. Twierdzi, że przybyła, aby zniszczyć Ognie Czarnoksięskie. Nie wiem dlaczego. Być może to jakaś sprawa honorowa. Jednakże one przyniosły Andur-Kurshowi tylko szkodę, a więc Morgaine nie jest zagrożeniem dla Morija. |- Nie wiesz więc, jaką korzyść zamierza przez to uzyskać?

- Nie. Mówiła tylko, że - w jakiś sposób - zamierza zabić Thiyego i że to nie... - chciał poruszyć ręką, lecz ostrze miecza przecięło mu skórę, postanowił więc nie próbować. - Erij, ona nie jest twoim wrogiem.

Erij wykrzywił usta w gorzkim uśmiechu.

- Wielu już pragnęło odebrać Thiyemu to, co do niego należy. Żaden z nich nie życzył nam dobrze.

- Ona nie chce tego dla siebie. Pragnie to zniszczyć. Miecz uniósł się w górę. Vanye podźwignął się na kolana. Odczuwał ból w głowie i brzuchu, gdzie go kopnięto. Na cynizm Erija odpowiedział całkowitą szczerością.

- Mój mały bracie - odrzekł Erij. - Sądzę, że naprawdę wierzysz w to, co mówi ta wiedźma. Jeśli tak jest, to znaczy, że masz źle w głowie. Spójrz na mnie. Przyśięgam -! a wiesz, że dotrzymuję słowa - iż jeśli naprawdę wyrzekniesz się służby u niej, nie zażadam od ciebie spłaty tego, co mi należy.

Miecz śmignął w stronę nadgarstka Vanyego, który przerażony cofnął rękę. Jednakże zamiast uderzyć, ostrze stanęło przed jego oczyma, hipnotyzując jak spojrzenie

węża.

- Bękarci bracie - ciągnął Erij. - Dwa lata strawiłem na to, aby nauczyć się porządnie władać lewą ręką. Wszystko to przez jeden nierozsądny, niepotrzebny gest. Mimo wysiłków Romena straciłem palce. Potem poszła ręka. Czy muszę ci powtarzać, co przysiągłem uczynić, jeśli tylko dostanę cię w swe ręce, bękarci bracie? Kandrys, być może, dostał od ciebie to, na co zasłużył, ja jednak próbowałem wtedy tylko osłonić go przed twoim kolejnym ciosem. Nie byłem nawet w zbroi. Twój czyn nie był honorowy, bracie. Ja ci nie wybaczyłem.

- To kłamstwo - odparł Vanye. - Zabiłbyś mnie z równą chęcią, a ja władałem mieczem mniej biegle niż wy.

Erij roześmiał się.

- Oto Vanye, którego znam. Kandrys przekląłby mnie prosto w twarz i skoczyłby mi do gardła, gdybym próbował mu grozić. Ty jednak wiesz, że spełnię swą groźbę i boisz się. Za dużo myślisz, bękarcie Chya. Zawsze miałeś zbyt bujną wyobraźnię. To zrobiło z ciebie tchórza, ponieważ nigdy nie nauczyłeś się wykorzystywać swego bystrego rozumu. Muszę jednak przyznać, że mieliśmy nad tobą przewagę. Lata dodały ci wagi i pół pędzi wzrostu. Nie jestem pewien, czy chciałbym się teraz z tobą zmierzyć, jako leworęczny.

- Erij - Vanye włożył wszystkie siły w próbę przemówienia mu do rozumu. Mówił z głębi serca: - Erij, czy chcesz, aby ten dwór był otoczony podobną sławą jak Leth? Pozwól mi stąd odejść. Jestem wyjęty spod prawa. Przyznaję, że zasłużyłem. Byłem szalony, że przyszedłem tutaj, by prosić ojca o łaskę. Nigdy bym się na to nie odważył, gdybym wiedział, że będę musiał prosić o nią ciebie. To był mój błąd. Przez ciebie jednak Nhi okryją się hańbą. Wiesz, że nie zgodzą się oni brać w tym udziału, w przeciwnym razie nie musiałbyś korzystać ze strażników Myya.

- O co mnie prosisz?

- Abyś traktował mnie jak Nhi. Jak brata.

Erij uśmiechnął się blado i wyciągnął zza pasa krótki, honorowy miecz. Rzucił go z brzękiem na kamienie przy kominku i wyszedł.

Vanye patrzył w ślad za nim. Zadrżał, usłyszawszy odgłos zatraskiwanych drzwi i grzechot ciężkiego zamka. Strach przystąpił do niego jak stary, dobrze znany przyjaciel. Nie spojrzał na miecz ani przez chwilę. Nie o niego prosił, lecz o wolność, była to jednak honorowa, więcej niż honorowa, odpowiedź na wszystko, o co prosił Erija. Wreszcie obrócił się na kolanach i sięgnął po rękojeść miecza. Chwytał ją, lecz nie mógł jej ująć wygodnie. Tym bardziej nie mógł się zdobyć na odwagę, aby uczynić to, czego od niego żądano.

Byłoby to, być może, bezpieczną ucieczką przed Erijem i ta propozycja mogła stanowić ostatni akt jego łaski. Istniały cierpienia większe niż zadane w honorowy sposób za pomocą miecza.

Wymagało to jednak aktu woli i odwagi. Erij wyzwiał go w ten sposób, ponieważ wiedział, dobrze wiedział, że jego brat Chya nie będzie zdolny tego uczynić.

Ponadto Vanye zdawał sobie sprawę, że Erij na jego

miejscu mógłby to zrobić. Podobnie Kandrys czy ojciec. Mieli w sobie nieprzejednaną wściekłość, która kazałaby im tak postąpić choćby tylko po to, aby pozbawić nieprzyjaciela radości zemsty.

Zatknał miecz w podłodze, w zasięgu ramion, zamknał oczy i zamarł bez ruchu. Potrzebny był teraz tylko jeden ruch do przodu. Jego ramiona i całe ciało drżało z napięcia.

Po pewnym czasie przestał się bać. Wiedział już, że tego nie uczyni. Pozwolił, aby miecz upadł na podłogę, podczołgał się do kominka i położył się tam. Wszystkie mięśnie mu drżały. Odczuwał nudności, lecz zacisnął szczęki, by nie okryć się dodatkową hańbą.

Nadchodzący dzień zastał go wyczerpanego, lecz spokojnego, choć nie zaznał prawdziwego snu, poza krótką chwilą w najgłębszych ciemnościach nocy. Usłyszał w korytarzu zbliżające się kroki i poczuł ostatni, przelotny impuls, aby uczynić - z opóźnieniem - to, co powinno się robić z godnością. Nie pomyślał o tym, aby zabić owym mieczem Erija. Byłoby to, po pierwsze, bezużyteczne, gdyż kosztowałoby go życie, a po drugie, czyn ten w najmniejszym stopniu nie przywróciłby mu utraconej czci.

Było ich kilku. Erij odesłał pozostałych, każąc im czekać na zewnątrz, przeszedł po dywanach, podniósł porzucony miecz i schował go do pochwy za pasem.

- Nie liczyłem, że to zrobisz - stwierdził. - Nie możesz się jednak skarżyć, że przeze mnie okryłeś się hańbą. Położył swą jedyną dłoń na ramieniu Vanyego, opadł na kolano, chwycił go za rękę i pomógł mu wstać.

Vanye rozplakał się. Nie chciał tego uczynić, lecz podobnie jak inne bitwy, które toczył z Erijem - ta była z góry przegrana i Vanye o tym wiedział. Wtem, ku swemu dalszemu zawstydzeniu stwierdził, że ramię Erija objęło go, przynosząc mu pocieszenie, i że przyjemnie było po prostu wtulić się w nie i stać się niczym.

Znalazł się w objęciach brata po nieznośnie długim czasie, podczas którego nie widział domu, ani nikogo z kuzynów. On również objął Erija. Po chwili zdał sobie sprawę, że jego brat też płacze. Erij dał mu solidnego kuksańca, aby przywrócić go do równowagi, po czym odepchnął go na odległość ramienia. Na jego twarzy o twardym wyrazie pozostał wilgotny ślad łez.

- Złamię przysięgę - powiedział Erij -; ponieważ przysięgłem cię zabić.

- Chciałbym, żebyś to uczynił - odparł Vanye. Erij ponownie wziął go w twardy uścisk swych ramion, traktując go jak małego braciszka. Zawsze czuł się tak w jego obecności. Zmierzwiał jego włosy, długie jak u chłopca, i ponownie wypuścił go z objęć.

- Nigdy nie zdołałbyś tego uczynić - powiedział. - Zbyt kochasz życie, aby umrzeć. To wielki dar, bracie. To cię czyni groźnym przeciwnikiem.

Jak Morgaine - pomyślał Vanye. Czy przejął to od niej? Nie, gdyż od początku wędrówki miał ze sobą połówki honorowego miecza, który złamał ojciec. Jego słabość nie pochodziła od Morgaine. Po prostu naprawdę nie zasługiwał na szacunek i zostania uyo klanu Nhi. Takie rzeczy miały swoją cenę. Cenę, którą czasem trzeba było zapłacić pod

koniec ich posiadania. Ta cena zawsze przekraczała jego możliwości.

Zrozumiawszy to, ponownie się rozplakał. Erij szturchnął go lekko, sprawiając, że spojrzał na niego.

- Obrabowałeś mnie - powiedział ochryplym głosem - z ojca, matki, brata i kawałka mnie samego. Czy nie jesteś mi winien jakiegoś zadośćuczynienia? Czy nie powinienes mi za to zapłacić?

- Czego żadasz ode mnie?

|- Zrobiliśmy sobie z ciebie wroga. Kandrys cię nienawdził i postanowił się ciebie pozbyć. Dla ojca zawsze stanowiąc zawadę. Co do mnie, miałem wtedy brata, któremu musiałem być wierny. Byłem mu coś winien. Co czujesz w stosunku do mnie? Nienawiść?

- Nie.

- Czy wrócisz do domu? Twoja liyo opuściła cię, z własnej woli. Zostałeś porzucony. Twoja służba dobiegła nie końca, jeśli ci przebaczę, żebyś nie musiał już być ilinem i ruszać w drogę, ryzykując, że znowu ktoś jej zażąda. Mogę to zrobić - przebaczyć ci. Jesteś mi potrzebny, Vanye. Tylko ty pozostałeś z całej rodziny, a ja... mam nawet trudności z ukrojeniem mięsa przy stole. Któregoś dnia będzie mi potrzebny brat z dwiema zdrowymi rękami, brat, któremu będę mógł zaufać, Vanye.

Wypadki potoczyły się dla niego zbyt szybko. Propozycja Erija zaskoczyła go. Był zdumiony i lekko zakłopotany, lecz tam, gdzie powinna być rodzina, zbyt długo już znajdowała się pustka, a mocny uścisk dłoni brata na jego ramieniu oraz obietnica odzyskania domu i czci, których nie posiadał, niemal przyćmiły mu rozsadek.

Niemal.

Potrząsnął głową.

- Dopóki ona żyje - powiedział - a nawet dłużej, pozostanę z nią związany. Dlatego mogła mnie zostawić. Jestem zobowiązany do zabicia Thiyego i zniszczenia Ognia Czarnoksięskich. Tego ode mnie zażądała.

- Uczyniła z tobą coś więcej - stwierdził po chwili jego brat z bardzo zmartwionym wyrazem twarzy. - Niech Niebiosa mają w opiece szaleńca. Czy zdajesz sobie sprawę, czego ona od ciebie żąda? Dziś w nocy nie zdołałaś podnieść ręki przeciwko sobie. Czy sądzisz, że to, co ci nakazała, jest łatwiejsze? Kazała ci się zabić, to wszystko.

- To było uczciwe żądanie -- odparł. - I miała do tego prawo.

- Porzuciła cię.

- Odesłała ją ode mnie. Była ranna i nie miała wyboru.

Erij ścisnął boleśnie jego ramię.

- Chciałem ci dać miejsce przy sobie. Zamiast być wyjęty spod prawa i zginać w tej szalonej wyprawie, zamieszkałbyś w Ra-morij otoczony honorami, drugi po mnie. Vanye, posłuchaj. Popatrz na mnie. To jest ludzkie ciało. Ludzkie. Ona sama jest Ogniem Czarnoksięskim. Ta kobieta to niebezpieczny towarzysz dla każdego zrodzonego z ludzkiej krwi. Ona zabiła dziesięć tysięcy ludzi - wszystkich w imię tego samego kłamstwa. Teraz ty również w nie uwierzyłeś. Nie zgodzę się, żeby człowieka z mojego domu

spotkał taki koniec. Popatrz na mnie. Na mnie. Jak możesz patrzeć jej ze spokojem w oczy?

"Nie wiesz, jak wielkie zło wspomagasz. Ona kłamie. Kłamała już przedtem, ku zgubie Korisu. Przysięga ilina mówi, że masz zdradzić rodzinę i dom, ale nie liyo, czy jednak każe ci ona zdradzić swą rasę? Pójdź ze mną, Chya Vanye".

Słowa Liella.

- Vanye - brat zdjął rękę z jego ramienia. - Odejdź. Każę im zaprowadzić cię do twojej komnaty, twojej właściwej komnaty, w wieży. Wyśpij się. Jutro wieczorem łatwiej będzie przemówić ci do rozsądku. Wtedy porozmawiamy ponownie i zrozumiesz, że mam rację.

Zasnął. Nie sądził, żeby było to możliwe dla kogoś, kogo pozbawiono jednocześnie rozumu i sumienia, lecz ciało miało swoje wymagania i po tym wszystkim po prostu wyłączyło jego zmysły. Spał głęboko, w swym własnym łóżu, które znał od dzieciństwa. Obudził się obolały i posiniaczony na skutek traktowania, jakiego doznał z rąk Myya.

Po przebudzeniu uświadomił sobie z jeszcze bardziej bolesną jasnością, że noc spędzona w lochu i następna w pokoju Erija nie były snem i że rzeczywiście uczynił to wszystko, co sobie przypominał - załamał się i płakał jak dziecko - i że najlepsze, co mógł teraz zrobić, to przybrać dumny wyraz twarzy i spróbować nosić go przy innych. Jednak nawet to wydawało się bezcelowe. Zdawał sobie sprawę, że każdy w twierdzy Ra-Morij zna prawdę, zwłaszcza Erij, a to było najważniejsze. Leżał w łóżu, aż służący nie przynieśli wody do mycia. Tym razem znalazła się też brzytwa do golenia. Skorzystał z niej z wdzięcznością. Zdjął ubranie, w którym spał, i obmył swe drobne rany, zanim założył czysty strój. Pod wpływem nagłego, ponurego nastroju zastanowił się, czy nie uczynić z włosami tego, co zrobił z nimi Nhi-Rijan - obciąć to wszystko, co zdążyło urosnąć przez dwa lata. Szybkim ruchem złapał włosy i spełnił swój zamiar na oczach służących, którzy mimo iż byli wstrząśnięci, nie uczynili nic, aby go powstrzymać. Tak postanowił wojownik i to, czy spodoba się to ich panu, było sprawą pomiędzy wojownikami i uyin. Odciał swe loki czterema cięciami na nierównej wysokości i rzucił brzytwę na stół, aby mogli ją zabrać.

W takim stanie udał się na nocne spotkanie z bratem, który nie docenił jego gorzkiego poczucia humoru.

- Cóż to za bzdura? - warknął Erij. - Vanye, przynosisz hańbę domowi.

- Już raz to zrobiłem -- odparł Vanye spokojnie. Erij spojrział na niego z niezadowoleniem, wolał jednak nie poruszać już tej sprawy.

Vanye zasiadł za stołem i zaczął jeść, nie podnosząc wzroku znad talerza. Nie odzywał się wiele. Erij również jadł, lecz odstawił od siebie na wpół pełny talerz.

- Bracie - powiedział. - Próbujesz mnie zawstydzić.

Vanye odszedł od stołu i stanął przy kominku, w jednym naprawdę ciepłym miejscu w całym pokoju. Po

Erij podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu. Van^B spojrział na niego.

- Czy wolno mi odejść? - zapytał Vanye.

Erij zaklął.

- Nie, nie wolno. Jesteś członkiem rodziny i masz wobec nas zobowiązania.

- Wobec kogo? Ciebie? Po tym wszystkim? - Vany spojrział na niego i stwierdził, że nie potrafi się rozgniewać. Na twarzy Erija widniał wyraz autentycznego cierpienia. Nigdy nie spotkał się u swego brata z długotrwałą skruchą i nie wiedział, co o tym sądzić. Podeszedł z powrotem do stołu i usiadł ciężko na krześle. Erij podążył za nim i siadł obok niego.

- Gdybym dał ci broń i konia - zapytał - co byś uczynił? Podążył za nią?

- Nadal jestem związany przysięgą - odparł.

Po chwili, aby się przekonać, czy zdoła to uzyskać od

Erija, spytał:

- Gdzie ona jest?

- Rozbiła obóz w pobliżu Baien-ei.

- Czy dasz mi broń i konia?

- Nie, nie uczynię tego. Bracie, jesteś Nhi. Wybaczam ci twoje poprzednie winy. Nie mam do ciebie o nic żalu.

- Dziękuję ci za to - odparł cicho Vanye. - Ja również ci wybaczam twoje winy.

Erij przygryzł wargę. Przez chwilę błysnęła w nim dawna złość, lecz zapanował nad sobą. Pochylił głowę.

|- Nie było ich mało - przyznał. - A ta ostatnia jest wśród nich jedną z mniejszych. Przysięgam ci jednak, że będziesz moim bratem, następny po dzieciach w linii sukcesji. Gdybyś odzyskał rozsądek, Morija stałoby się większe niż to, którym rządził nasz ojciec.

Vanye sięgnął po puchar z winem. Coś w tych słowach spowodowało zgrzyt. Ponownie odstawił puchar.

- Czego właściwie chcesz ode mnie?

- Znasz wiedźmę. Znasz ją dobrze. Wiesz, czego pragnie, i założę się, że wiesz, jak można to osiągnąć. Inaczej nie obarczyłaby cię takim zadaniem. Jestem pewien, że widziałeś, jak używa mocy zawartej w swej broni. Przeszliście razem Las Korijski. Podejrzewam nawet, że wiesz, jak się z tą bronią obchodzić. Nie jestem z tych, którzy wierzą w magię, Vanye, i jak sądzę, ty również nie, choć w twoich żyłach płynie krew Chya. Wszystko, co się dzieje, jest skutkiem działania rąk ludzkich, a nie wypowiedanych życzeń czy różdżek magicznych. Czy nie mam racji?

___ Co ma to wspólnego z nami dwoma?

___ Pokaż mi, jak się robi te rzeczy. Jeśli chcesz, dotrzymaj przysięgi i zabij Thiyego, ale uczyni to przy mojej pomocy. Nie zapominaj, że jesteś ludzkiej krwi i że jesteś winien wierność swojej rasie. Posłuchaj mnie! Posłuchaj. Od czasu Irien jedyną potęgą w Andur-Kurshu było Hjemur. To skutek jej poczynań. Jej kłamstw i jej przewód-nictwa. Dziedzina naszego ojca zajmowała ongiś wysoką pozycję wśród Środkowych Królestw. Nie ma już dawnych Wielkich Królów ani władzy, którą kiedyś sprawowali. Wszystko to z jej winy. W zasięgu naszych rąk leży odzyskanie tej władzy - twoich i moich. Spójrz na mnie, bracie! Przysięgam ci, przysięgam, że będziesz drugi po mnie.

- Nadal jestem ilinem - sprzeciwił się. - I nie skuszają mnie twoje obietnice. Moc Morgaine tkwi w rzeczach, które

ma ona ze sobą, i o ile nie jesteś kłamcą, pozostają przy niej. Nie wchodzi jej w drogę, Erij, bo przypłacisz to życiem. Ona jest gotowa zabić, a ja nie chcę być tego świadkiem.

- Posłuchaj mnie. Nie wiem, co zamierza uczynić z Ogniami Czarnoksięskimi i mocą Thiyego, gdy już ją zdobędzie, ale z pewnością nie żywi do nas przyjaźni. Zamienimy jednego Thiyego na następnego. Posiadzie jego moc i przy tym będzie mniej ludzka niż on. Spójrz, czego Thiye dokonał, posługując się tą mocą, a on jest przynajmniej w części człowiekiem. Lecz ona... korzystanie z takich mocy jest dla niej fraszka. To żywioł, w którym się porusza. Ona

149
również czegoś pragnie - zemsty, władzy, nie wiemy czego jeszcze. Czym jesteś dla niej w porównaniu z tym, do czego dąży? Zastanów się nad tym, bracie.

- Powiedziałaś, że rozbiła obóz w pobliżu Baien-ei - odparł Vanye. - Nie odnoszę wrażenia, by kompletnie mnie porzuciła. Czeka. Spodziewa się, że dotrę do niej, jeśli zdołam.

Erij roześmiał się, lecz jego śmiech zamarł powoli pod wpływem chłodnego, zgnębionego spojrzenia Vanyego.

- Jesteś naiwny - powiedział Erij. - Czeka, ale nie na ciebie.

- Na cóż więc?

- Czy pokażesz mi, jak ona używa swej mocy? - zapytał Erij. - Nie proszę cię, żebyś złamał przysięgę. Jeśli ona pragnie śmierci Thiyego i upadku Hjemuru, nie mam nic przeciwko temu, jeśli jednak pragnie władzy dla siebie, czy nie znaczy to, że wykorzystwała cię haniebnie, Vanye? Czy przysięga, którą jej złożyłeś, nakazuje ci, abyś jej pomógł zdobyć władzę nad tym własnym ludem? Jeśli tak, to jest to haniebna przysięga.

- Ona chce zniszczyć moc Thiyego - odparł. - Nic nie mówiła o zdobywaniu jej dla siebie.

- No nie - odrzekł Erij. - Ale gdy już go obali... co wtedy? Wróci do życia w nędzy, wycofa się w zapomnienie? Albo narazi się na to, że padnie ofiarą zemsty jej tak licznych wrogów? Zdobywszy władzę, zatrzyma ją dla siebie. Jesteś dla niej niczym. Zaproponowałem jej, że zwrócę cię w zamian za przysięgę, że wyruszy z powrotem na południe. Odmówiła.

Vanye wstrząsnął ramionami. Wiedział, że nie miał dla niej żadnego znaczenia i że służył tylko jej celom. Nigdy nie zostawiała mu złudzeń w tej sprawie.

- Po prostu porzuciła cię - ciągnął Erij. - Co może uczynić ktoś o takim sercu, gdy zdobędzie władzę w Hjemurze. Stanie się jeszcze bardziej zimna i jeszcze bardziej niebezpieczna. Wolę raczej wroga, który ulega nastrojom i zna prawą nienawiść. Wolę mieć za wroga człowieka.

Thiye jest stary i na wpół szalony. Obchodzą go tylko jego

150
bestie i rozrywki. Trudno go poruszyć. Nigdy nie prowadził z nami wojny, ani on, ani jego przodkowie. Czy jednak możesz sobie wyobrazić, że ktoś taki jak Morgaine zadowolony byłby dłużej tym, co ma?

___ A co ty byś zrobił z tą mocą, Erij? - zapytał ostrym głosem. - Odbicie tego, co widziałem w Ra-morij?

__ Rozejrzyj się po Morija - odparł Erij. - Popatrz na nasz lud. Nie wiecie mu się najgorzej. Czy widziałeś coś, co nie jest w porządku? Coś w grodzie czy w wioskach, co należałoby zmienić? Mamy swoje prawo, błogosławieństwo kościoła, pokój na naszych polach, a nasi wrogowie Chya boją się nas. To moje dzieło. Nie wstydzę się tego, czego tu dokonałem.

- To prawda, że w Morija dzieje się dobrze - przyznał Vanye. -• Ale ty sam nie poradzisz sobie z tym, co należy do Morgaine, a ona nie ustąpi. Zawrzyj z nią sojusz. To najlepsza rzecz, jaką możesz uczynić dla siebie i dla Morija.

- Tak jak dziesięć tysięcy ludzi w Irien, którym pomogła wraz ze swymi sojusznikami.

- Ona ich nie zabiła. To przynajmniej jest kłamstwem.

- Ale był to skutek jej działania. Nie narażę Morija ani Nhi na coś takiego. Ale mam coś... co, mogę uwierzyć, ceni bardzo wysoko.

Wstał podniecony z krzesła i z szafki stojącej obok stołu wyciągnął przedmiot owinięty w materiał. Gdy ujął go w dłoń, zasłona opadła z jego czubka i Vanye, ku swemu przerażeniu, ujrzał smoczą rękojeść "Odmieńca".

- To właśnie zatrzymuje ją w Baien-ei. Pragnie to odzyskać. Założę się, bracie, że wiesz coś na ten temat.

- Wiem, że kazała mi trzymać ręce z dala od tego - odparł Vanye. - Ty też lepiej tak zrób, Erij. Mówi, że jest w tym niebezpieczeństwo, że to przeklęty miecz, i że ja jej Wierzę.

- Wiem, że ceni ten miecz wyżej niż twoje życie - Powiedział Erij - oraz wszystko inne, co posiada. To było oczywiste.

Odrzucił miecz od siebie. Vanye spróbował wyciągnąć rękę w tamtą stronę.

- Nie, bracie. Chcę, żebyś wytłumaczył mi, jaką wartość ma dla niej ta rzecz. I, jeśli jesteś moim bratem, zrobisz to z chęcią.

- Mogę ci szczerze powiedzieć, że nie wiem - odparł. - I, jeśli jesteś mądry, pozwolisz mi zwrócić jej ten miecz, zanim narobi on szkód. Ze wszystkich rzeczy, które są w posiadaniu Morgaine, tej jednej ona sama się boi. Po raz drugi sięgnął ręką po "Odmieńca". Zaczął się obawiać tego, co Erij zamierza z nim uczynić. Ten miecz miał w sobie moc. Wiedział to ze sposobu, w jaki Morgaine go traktowała. Nigdy nie pozwalała, aby znalazł się z dala od niej. Nagle Erij podniósł głos do krzyku. Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Do środka weszło czterech Myya. I wówczas Erij stracił jedną ręką pochwę z miecza i ujął w dłoń nagie ostrze. Przezroczysty jak lód miecz pokrył się migotliwym opalizującym płomieniem. Powietrze zaśpiewało, a na czubku "Odmieńca" pojawiło się straszliwe migotanie. Nagle Vanye zrozumiał.

- Nie! - krzyknął i rzucił się na bok. Powietrze pomknęło z rykiem w ciemność, usiłując wciągnąć ich za sobą. Myya zniknęli wessani w jakąś rozległą przestrzeń, która nagle pojawiła się pomiędzy nimi a drzwiami. Erij odrzucił miecz, który zaczął ślizgać się po podłodze, siejąc wokół zniszczenie. W jednej chwili Vanye chwycił pochwę i podpełznął do porzuconej broni. Gdy ujął ją

w dłoń, przez drzwi wpadli następni ludzie. Pochłonęła ich ta sama usiana gwiazdami ciemność. Ręka Vanyego zeszywniała. Doznał tego samego uczucia, które skłoniło Erija do odrzucenia miecza. Odezwał się w nim głęboko zakorzeniony wstręt do podobnej mocy. Nagle usłyszał głos brata i poczuł jego dłoń usiłującą schwytać go za ramię. Odskoczył do przodu. Zachował na tyle rozsądku, że nie odwrócił się, by go unicestwić... Nie zatrzymywany przez nikogo pobiegł wzdłuż korytarza i po schodach w dół. Ugin schodzili mu z drogi, ujrawszy niesamowite migotanie czarnoksięskiego miecza, który trzymał w dłoni.

152

Znał drogę. Dobiegł do drzwi wyjściowych, otworzył zasuwę i popędził w stronę stajni. Popędzał gorączkowo płaczącego chłopca stajennego, który siodłał dla niego dobrego wierzchowca. Przez cały ten czas w Ra-morij panowała cisza. Uważał na wąskie szczeliny okien, świadomy, że największe niebezpieczeństwo grozi mu od strzała. Rozkazał chłopcu, by pochylił się nisko, skryty w cieniu, i otworzył przed nim bramę.

Następnie wskoczył na konia, trzymając wodze w jednym ręku, a migoczące ostrze w drugim, i odjechał. Wokół niego świstały strzały. Jedna z nich wpadła w mroczną studnię na czubku "Odmieńca" i zniknęła. Inna zadrapała zad konia powodując zachwianie rytmu jego kroku. Udało mu się jednak przedostać. Przerażeni strażnicy otworzyli bramy, gdy zagroził im mieczem. Wreszcie znalazł się za murami i popędził w dół po brukowanej drodze, a później po miękkim gruncie zboczy.

Nikt nie pognał za nim. Wyobraził sobie, jak Erij przeklina swoich ludzi, aby skłonić ich do posłuchu, usiłując znaleźć takich, którzy by się odważyli na pościg - w to, że sam Erij podaży za nim, Vanye nie wątpił. Znał swego brata zbyt dobrze, aby sądzić, że zrezygnuje z tego, co postanowił.

Erij na pewno świetnie wiedział, którą drogę wybierze Vanye. Ten zaś gdyby nie urodził się w Morija, nie miałby żadnych szans, aby umknąć im, jadąc na skróty. Znał pajęczynę nieoznaczonych dróg tego kraju. Jednak równie dobrze znał ją Erij.

Musiał dotrzeć do Baien-ei i Morgaine przed Myya i ich strzałami, jeśli to tylko możliwe.

''
ROZDZIAŁ VIII

Pościg znowu był za nim. Gdy oglądał się za siebie, dostrzegał w świetle gwiazd czarny punkt na tle śniegu na szczycie wzgórza lub na drodze. Jednakże zdyszany gniosz utrzymywał stały dystans pomiędzy nimi. Vanye nie zwlekał. Najbardziej lękał się łuków. Gdy zbliżą się do niego na odległość strzału, nie będzie miał szans. Nie wątpił, że ścigający byli Myya i że gorąco pragnęli go zabić. Był to jedyny sposób na odebranie mu tego, co miał.

Najbardziej niebezpieczne były postoje. Musiał się od czasu do czasu zatrzymać, aby pozwolić koniowi wypocząć. Wybierał takie momenty, gdy nie widział ich za plecami, przypuszczając, iż oni akurat robią to samo. Wiedział, że czekają tylko, aż popełni jakiś błąd lub spóźni się z ucieczką. Cały dzień jechali przez równinę Morija. Na szczytach wzgórz widział blask ognisk. Ostrzegały kraj, że w okolicy znajduje się nieprzyjaciel, przybysz, który jest wrogiem Morija. Był to sygnał do obrony. Wszyscy ludzie przystąpią do patrolowania dróg. Zatrzymają każdego, kto będzie chciał się przedrzeć, a Vanye nie pragnął zabijać, czy raczej unicestwiać w tajemniczy sposób tych, którzy znaleźli się w zasięgu mocy miecza. Ponadto niektórzy z wieśniaków z klanów San i Torin byli niezgorszymi łucznikami i Vanye obawiał się spotkania z nimi.

Na pierwszym postoju postanowił schować straszliwy miecz do pochwy, w obawie przed narażeniem swego ciała na działanie jego ognia, który wywodził się z samych Bram. Położył pochwę na ziemi i wsunął do niej ostrożnie koniuszek miecza. Bał się, że nawet ona nie zdoła go powstrzymać, jednakże światło zgasło w tej samej chwili, gdy czubek znalazł się wewnątrz i można już było podnieść "Odmieńca" i przypiąć jak zwyczajny miecz.

Nie mógł zapomnieć widoku czterech Myya, których w tak straszliwy sposób pochłonęła owa maleńka, lecz zarazem niezmiernie ciemność. Nie byli zdolni zrozumieć dlaczego giną.

Gdyby to było możliwe, z chęcią odrzuciłby "Odmieńca" od siebie, uwolnił się od straszliwego ciężaru i zostawił go dla jakiegoś niefortunnego znalazcy. Powierzono go jednak jemu i musiał go oddać Morgaine, która miała na tyle rozsądku, że nie wyciągała go z pochwy. Myśl o ponownym wyjęciu miecza napełniała go trwogą równie wielką, jak zagrażające mu z tyłu strzały. Tkwiła w nim złowieszcza moc, która napawała go odrazą silniejszą niż inna słabsza - broń Morgaine. Wciąż odczuwał ból w ramieniu, w którym go trzymał.

Przez upływające godziny starał się cały czas utrzymać gniadosza w ruchu. Zatrzymywał się tylko wtedy, gdy musiał. Wiedział, że zwierzę padnie, nim dotrą do Baien-ei i obozu Morgaine. Po drodze mijali wioski. Myya mogli zmieniać wierzchowce i ścigać go aż do śmierci gniadosza. Wnętrznosci, nadwerężone już przedtem, gdy go pobito, bolały go od nieustannych wstrząsów. Poczul w ustach smak krwi. Nie wiedział, czy pochodzi ona z potłuczonej szczęki, czy też gdzieś z wewnątrz.

Gdy się obejrzał, nie było już za nim Myya.

Jedyna nadzieja leżała teraz w opuszczeniu głównej drogi, dla zmylenia pościgu. Liczył na to, że uda mu się przedrzeć przez zasadzkę zastawioną na końcu trasy. Gdy tylko dostrzegł trakt, w który mógłby skręcić - pokryty licznymi śladami nagromadzonymi od chwili, gdy stopniał śnieg - ruszył tamtędy, skłaniając nieszczęsnego konia do utrzymania tempa.

Znał tę drogę. Za drugim zakrętem leżała mała wioska, zwana San-morij. Ten klan posiadał w okolicy dwadzieścia mniejszych osad. Byli prości i skromni, tak jak ziemia, na której mieszkali, łagodni, lecz wobec wrogów nieprzejed-

nani. Stała tam chata, którą dobrze pamiętał. Należała do starego zbrojmistrza z Ra-morij, San Romena. Miał wielki dług wobec tego dawnego nauczyciela, który jako jedyny z ludzi z Ra-morij okazywał nieco sympatii pańskiemu bękartowi i z szorstką czułością opatrywał jego skaleczenia.

Ten dług zasługiwał na lepszą zapłatę niż ta, którą zamierzał mu dać, lecz desperacja zdusiła w nim wszelkie wątpliwości. Wiedział, gdzie znajduje się stajnia - z tyłu domku. Tam, w lepszych czasach zwykli z Erijem poić swe konie. Zostawił gniadosza uwiązanego do gałęzi przy drodze, zawiesił "Odmieńca" na ramieniu, zszedł do rowu biegnącego wzdłuż drogi i podkraść się nim w pobliże stajni. Następnie przebiegł przez podwórze, skrył się w cieniu budynku i otworzył szeroko drzwi. Słyszał, że zwierzęta zerwały się na nogi. Wkrótce ludzie z domu Romena przebudzą się i sięgną po broń, po czym wybiegną na zewnątrz, by sprawdzić, co się dzieje. Wybrał w ciemności najlepiej wyglądającego kuca. Przełożył powróz przez kółko kantaru, jedyną rzecz, która była w zasięgu ręki, otworzył drzwi stajni i wyprowadził zwierzę na zewnątrz.

Usłyszał odgłosy stóp ludzi nadbiegających do wrót. Przypuszczał, że zaraz je otworzą, wskoczył więc nanieosiodłany grzbiet konika, używając kantaru w charakterze wodzy i, gdy drzwi się otwarły, wbił pięty w jego boki. Przerażone zwierzę wyskoczyło na podwórze - to był porządny koń, nie przyzwyczajony do podobnego traktowania - i wybiegło na drogę. Vanye ścisnął nogami jego tłuste boki. Trzymał się mocno i pewnie. Zwrócił głowę wierzchowca w stronę, w którą pragnął jechać. Gdy dotarł do skrzyżowania dróg w pobliżu San-hei, skręcił, kierując się w stronę Baien-ei, na nieco dłuższą, ale za to mniej zatłoczoną drogę.

Nagle ujrzał przed sobą jeźdźca. Sai-uyo - pomyślał - uyo z pomniejszego klanu, zawsze jednak uyo, i to w zbroi. Siedział na koniu jak wojownik. Nie mógł się łudzić, że kuc, na którym jechał, zdoła prześcignąć normalnego konia. Nie sposób było uniknąć spotkania. Vanye jechał spokojnie przed siebie. Nogi zwisały mu z końskiego grzbietu jak pastuchowi wracającemu wieczorem do domu. Jednakże na wzgórzach wciąż płonęły ostrzegawcze ognie, drogi były obserwowane, a on ze swej strony nie wyglądał na pastucha, gdyż buty i spodnie miał z wygładzonej wiatrem skóry, jak uyo, nie jak wieśniak, u pasa zwisał mu wielki miecz, a jego koszula z białego płótna wskazywała, że był człowiekiem z wielkiego klanu, zmuszonym do pospiesznej ucieczki z dworu -- dai-uyo z Nhi.

Tego człowieka, pomyślał ze smutkiem, być może będzie musiał zabić. Sięgnął do pasa, odpiął pochwę "Odmieńca" i ujął ją w jedną dłoń, a rękojeść w drugą. Sai-uyo na swym pięknym jabłkowitym rumaku podjechał bliżej. Prawdopodobnie poznał już, z kim ma do czynienia, gdyż poruszył nogą, uniósł miecz przytroczony do siodła i ruszył naprzód trzymając broń schowaną w pochwie, podobnie jak Vanye.

Był to jeden z synów Torin Athana. Vanye nie znał go, lecz wygląd synów Athana był tak charakterystyczny, jak gdyby tworzyli oni oddzielny klan - byli to ponuro wy-

glądający mężczyźni o długich twarzach; temperament odróżniał ich od pełnych życia członków klanu Torin. Rodzina Athana była liczna. Miał on dwudziestkę synów, z których niemal wszyscy byli prawowici.

- Uyo - pozdrowił go Vanye. - Nie chcę wyciągać broni przeciwko tobie. Jestem Nhi Vanye, wyjęty spod prawa, ale nie pragnę z tobą zwady.

Mężczyzna - z pewnością jeden z potomków Athana - uspokoił się nieco. Pozwolił Vanyemu podjechać bliżej, choć sam się zatrzymał. Spojrzał na niego z ciekawością, zastanawiając się niewątpliwie, cóż to za szalenięc rusza w drogę w takim stroju i na tak poślednim wierzchowcu. Nawet ścigany mógłby z pewnością znaleźć coś lepszego.

- Nhi Vanye -! przemówił. - Sądziliśmy, że jesteś w Erd.

- Kieruję się teraz do Baien. Pożyczyłem tego konia dziś w nocy. Jest już wyczerpany.

- Jeśli zamierzasz pożyczyć następnego, uyo, zważaj na swoją głowę. Nie masz zbroi, a ja nie chciałbym popełnić morderstwa. Jesteś synem Rijana i mimo że jesteś spod prawa, zabicie ciebie nie przyniosłoby szczęścia sai-uyo, takiemu jak ja.

Vanye skłonił się lekko, uznając słuszność tego rozumowania, po czym uniósł w górę miecz, który trzymał w ręku.

- To, uyo, jest miecz, którego nie chcę wyciągać. Ma on swe imię i jest przeklęty. Niosę go dla kogoś, u kogo jestem ilinem, przez co inne prawa mnie nie dotyczą. Zapytaj o niego w Ra-morij. Tam ci powiedzą, przed jakim losem uciekłeś.

Vanye wyciągnął z pochwy fragment "Odmieńca" w ten sposób, że ostrze pozostało przezroczyste, nie licząc widocznych na nim liter. Mężczyzna wybałuszył oczy, twarz mu zbladła, a jego dłonie znieruchomiały na rękojeści miecza.

- Czyim ilinem jesteś - zapytał - że nosisz coś takiego? To jest dzieło aujalin.

- Zapytaj w Ra-morij - powtórzył Vanye. - W myśl kodeksu ilina mam prawo tu przebywać, ponieważ moja liyo znajduje się w Morija i nie możesz, zgodnie z prawem, wykonać na mnie dekretu Rijana. Błagam cię, zsiądź z konia i zdejmij z niego uprząż. Zamienię się z tobą. Jestem w rozpaczliwym położeniu, ale nie jestem złodziejem. Jeśli tylko zdołam, nie zajeżdżę twojego konia na śmierć. Ten kuc należy do San. Jeśli twój koń zna drogę do domu, uwolnię go, gdy tylko będę mógł.

Mężczyzna zastanowił się nad perspektywą walki i kierując się rozsądkiem, postanowił się poddać. Zsiadł z konia i zdjął z niego siodło i ekwipunek.

- Ten koń jest własnością Torin - powiedział. - Jeśli wypuścisz go na terenie tego dystryktu, znajdzie drogę. Błagam cię. Jestem do niego przywiązany.

Vanye ukłonił się, chwycił w dłonie grzywę rumaka, wskoczył na jego grzbiet i ruszył z miejsca galopem, gdyż wśród ekwipunku sai-uyo znajdował się łuk, który, jak sądził, zostanie wkrótce naciągnięty. Nie miał ochoty, żeby w plecach utkwiała mu strzała Torin z czerwonym pierzyskiem. Ci, którzy go ścigali, mogli na całym obszarze Morija znaleźć wierzchowce na zmianę, znakomite konie,

z siodłami i całym wyposażeniem.

Ponownie zapadała noc. Nadchodziła szybko, a ogniska sygnałowe płonęły coraz jaśniej na szczytach wzgórz, po jednym na każdym z większych wzniesień, od jednej do drugiej granicy Morija.

Gdy spotkany uyo zdoła dotrzeć do San-morij na swym niepozornym wierzchowcu - Vanye wyobraził sobie żywo jego upokorzenie: ta jego wspaniała uprząż na małym kudłatym kucu - wtedy na wzgórzu przy San-morij zapłoną dwa ogniska, podobnie jak w San-hei. Nie będzie też wątpliwości, którą z dróg próbuje dotrzeć do celu. Wszyscy San, a teraz również Torin, wyruszą za nim, a Nhi i Myya pojedą drugim traktem, by spotkać się z nim w Baien-ei.

Aby pozbawić tamtego wojownika zbroi i broni, których tak rozpaczliwie potrzebował, musiałby go zapewne zabić, jednakże "Odmieniec" nie był bronią, która pozostawiała zwłoki gotowe do obrabowania. Mógł go uśmiercić, lecz nic uczynił tego, nie chciał tego uczynić. Zabijanie nie leżało w jego naturze, chyba że nie miał wyjścia. To tylko zostało mu z jego honoru. Wiedział, że istnieją moralne granice tego, co jest gotów uczynić, i nie zamierzał ich przekraczać.

Gdyby Torin go schwytali, nie mógł spodziewać się od nich za to wdzięczności, a cóż dopiero, jeśli oddadzą go w ręce Nhi i Myya.

Teraz więc całe Ra-morij - a jeśli posłańcy zdołali wyprzedzić ścigających, wszystkie wioski w środkowym Morija - wiedziały, dokąd zmierza. Pod Baien-ei znajdowała się mała przełęcz, a obok niej ruiny fortu, do którego zapewne każdy chłopak w Morija dotarł przynajmniej raz podczas swych wędrówek po kraju. Na okolicznych wzgórzach leżały najlepsze pastwiska w Morija. Pasły się na nich najlepsze konie i chłopcy dogładający trzód swoich ojców często zapuszczali się pomiędzy ruiny. Czasem też służyły one jako miejsce schadzek dla zbiegłych kochanków.

159

Z tym stosom kamieni wiązały się liczne tragedie zarówno wojenne, jak i miłosne.

Zaś przewodnikiem Morgaine jest harfiarz Nhi o wyobraźni niedorostka udającego się na schadzkę, który z pewnością bez zastanowienia zaprowadzi ją w to miejsce, z którego niestety było tylko jedno wyjście.

Na wzgórzach kryli się ludzie. Wiedział to, zanim jeszcze skierował się w tamtą stronę. Jeźdźcy pragnący wydostać się z Baien-ei musieliby podążyć przez ten wąski parów i jeśli umieszczono by tam łuczników, ich podróż byłaby krótka.

Zostawił konia uwiązanego na wypadek, gdyby był zmuszony do powrotu. Gałąź, której do tego użył, nie była mocna. Jeśli by spotkał go zły los lub też odnalazłby to, czego szukał, zniecierpliwione zwierzę powinno się po jakimś czasie zerwać i skierować ku swemu odległemu domowi. Ujął w rękę skryty w pochwie miecz i podążył pomiędzy wzgórza na piechotę.

Nie sposób było obsadzić wszystkich szlaków biegnących pomiędzy wzgórzami Baien-ei. Zbyt wiele było ścieżek wydeptanych przez kozy, zbyt wiele wzgórz, zbyt wiele

strumieni i wypiętrzeń skalnych. Dlatego też Baien-ei nie zapewniało skutecznej obrony. Wobec zmasowanego ataku było wystarczająco mocne, lecz gdy pojawili się jein -- chłopscy łucznicy -| i wojny przestały być starciami pomiędzy dai-uyin, którzy woleli otwarte przestrzenie i nawet bili się w sposób zgodny z tradycją, stało się niemożliwe do utrzymania. Stanowiło teraz raczej pułapkę dla swych obrońców niż schronienie.

Posuwał się naprzód w ciszy, z wielką cierpliwością. Mógł już teraz dostrzec wieżę oraz zburzony mur, który pamiętał sprzed lat. Trochę biegnąc, trochę czołgając się na brzuchu, przystając co chwila, aby nasłuchiwać, upodobnił się, w miarę jak zbliżał się do celu, do otaczających go cieni. Posiadał tę umiejętność podczas dwóch lat ukrywania się przed Myya, gdy musiał kraść żywność lub polować, by nie zginąć z głodu wśród pokrytych śniegiem szczytów Alis Kaje, nie mniej ostrożny niż wilki, lecz bardziej samotny.

Podszedł pod mur. Jego palce szukały szczeliny w kamieniach, po których mógł się wspiać na starą fortyfikację w jej najniższym punkcie. Prześliznął się nad murem, zeskoczył w dół, wylądował w wilgotnej trawie i zsunął na dno niewielkiego zagłębienia na wewnętrznym stoku. Podniósł się powoli, doszczętnie wyczerpany. W każdej kości czuł ból wywołany długą jazdą. Był też osłabiony na skutek głodu. Bał się, bał od początku, że była to tylko pułapka zastawiona na niego przez Erija. Podstępny jak Myya, mógł nie powiedzieć prawdy. Myśl, że jego brat mógł popełnić błąd, mówiąc prawdę i ufając mu, była przygnębiająca. Erij rzadko się mylił. Poczul świad pomiędzy barkami. Miał wrażenie, że ukryty gdzieś łucznik celuje właśnie w to miejsce.

Poddał się strachowi, który uznał za uzasadniony, i pognął w stronę cienia. Okrążył róg budynku w miejscu, w którym opierał się on o wzgórze w najbardziej bezpieczny sposób. Była tam szczelina w murze, którą dobrze pamiętał, szeroka jak drzwi, lecz dobrze osłonięta, dzięki czemu nie powinno mu tam grozić niebezpieczeństwo.

Podczołgał się wzdłuż ściany do tego miejsca. Poczul zapach koni. W środku poruszały się ich wielkie ciała. - Liyo! - wysyczał w ciemności. Nikt nie odpowiedział. Przecisnął się do środka. Po lewej stronie dostrzegął błady poblask Siptaha, a po prawej czerń.

- Nie ruszaj się - dobiegł go szept Morgaine. - Vanye, wiesz, że nie żartuję.

Zamarł, całkowicie bez ruchu. Jej głos dobiegał z przodu. Ktoś -| jak sądził, Ryn - poruszył się za nim, położył mu ręce na talii i przeszukał go pobieżnie w poszukiwaniu ukrytej broni, zanim sięgnął po pas z mieczem. Vanye pochylił głowę tak, żeby łatwiej było przełożyć ramię. Odczuł olbrzymią ulgę, gdy zdjęto z niego ten ciężar, tak jakby znajdował się w uścisku czegoś odrażającego i został od tego delikatnie uwolniony.

Ryn zaniósł miecz do niej. Vanye ujrzał cień przemierzający się w bladym świetle gwiazd. Kolana zaczęły mu drżeć.

- Pozwól mi usiąść - poprosił ją. - Jestem kompletnie wyczerpany, liyo. Spędziłem całą noc i dzień w siodle, by

tu dotrzeć.

-! Usiądź - odparła. Upadł z wdzięcznością na kolana. Najchętniej padłby na twarz i zasnął, lecz czas ani miejsce nie były do tego odpowiednie.

- Ryn - powiedziała Morgaine. - Miej oko na to, czy ktoś się nie zbliża. Muszę go o coś zapytać.

----Nie ufaj mu - ostrzegł Ryn, co rozwścieczyło Vanyego. - Nhi nie podarowaliby mu miecza i nie wypuścili go z miłości do ciebie, pani.

Wzbierała w nim wściekłość, nienawiść do tego młodzieńca, tak gładkiego, nie naznaczonego bliznami i pewnego siebie. Słowa uwięzły mu w gardle. Potrząsnął jedynie głową. Ryn odszedł. Usłyszał szelest płaszcza Morgaine, która uklękła w niewielkiej odległości od niego.

- Szczęście, żeś się odezwał - powiedziała cicho. - Może z tuzin ludzi próbowało tędy przejść w ciągu ostatnich dwóch dni.

- Pani - pokłonił się, przyciskając na chwilę czoło do ziemi, po czym z wysiłkiem wyprostował się ponownie. - Wielu zbrojnych albo jest w drodze, albo już tu dotarło. Erij pożąda mocy Thiyego. Sądzi, że może ją zdobyć dla ciebie.

- Krzyknałeś do mnie, abym mu nie ufała - odparła. - I uwierzyłam ci. Jak jednak mogę zaufać tobie? Czy otrzymałeś ten miecz w darze, czy też go ukradłeś?

To, co powiedziała, przestraszyło go. Wiedział, jak mało litości żywi Morgaine dla tych, którym nie ufa, a nie miał żadnego dowodu na to, że mówi prawdę.

- Ten miecz to wszystko, co mogę ci pokazać, żebyś mi uwierzyła - odparł. - Erij go wyciągnął. Zginęli ludzie. Bał się go dalej trzymać w ręku. Rzucił nim o ziemię, wtedy podniosłem go i uciekłem. To jest potężny klucz do wszelkich drzwi i bram, pani.

Milczała przez chwilę. Usłyszała szept wyciąganego częściowo miecza i cichy trzask, gdy powrócił on na miejsce

- Czyś trzymał nagi miecz w dłoni?

Zabrzmiało to tak, jakby pragnęła, by było inaczej.

- Tak - odparł słabym głosem. - Nie pożądam go, liyo. Nie pragnę go nosić, nawet gdybym miał zupełnie chodzić bez broni.

Chciał jej opowiedzieć o tym, co się stało z Myya, lecz nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Przypomniał sobie ich przerażone twarze. W głębi duszy nie pragnął się dowiedzieć, jaki był ich los.

- On czerpie moc z samych Bram - powiedziała Morgaine. Poruszyła się w ciemności. - Ryn, widzisz coś?

- Nic, pani.

Ponownie usiadła, tym razem w miejscu oświetlonym słabym światłem gwiazd, padającym przez szczelinę, dzięki czemu widział teraz jej twarz, na wpół skrytą w cieniu, gdyż światło padało na nią z boku.

- Musimy stąd uciekać. Dzisiaj. Czy sądzisz inaczej, Vanye?

- Wśród wzgórz są łucznicy. Uczynię jednak, co każesz.

- Nie ufaj mu - z góry ponownie zasyczał głos Ryna. - Nhi Erij zbyt go nienawidził, aby pozwolić sobie na nieostrożność z nim i z tym mieczem.

- Co powiesz na to, Vanye? - spytała Morgaine.

- Nic nie powiem - odparł. Nagle ogarnęło go znużenie. Spierać się z tym chłopcem to było już za wiele. Wbił wzrok w Morgaine w oczekiwaniu na jej decyzję.

- Nhi oddali mi wszystko prócz "Odmieńca" - stwierdziła. - Podejrzewam, że nie wiedzieli, iż niektóre z przedmiotów, które mi zwrócili, to broń. Rozpoznali miecz, ale nie resztę. Oddali mi również twoje rzeczy, zbroję, konia, miecz i siodło. Idź i przygotuj się do drogi. Cały twój ekwipunek leży tam w rogu. Nie wątpię, że masz rację co do łuczników, musimy jednak opuścić to miejsce. Twoje przybycie nie mogło pozostać niezauważone.

Pomacał rękami w ciemności i odnalazł miejsce, gdzie leżały jego rzeczy. Poczul znajomy szorstki dotyk zbroi, która przez całe lata była jego drugą skórą. Gdy ją zakładał, wydała mu się cięższa niż sobie przypominał. Ręce mu drżały, gdy zaciągał rzemienie.

Zastanowił się nad perspektywą jazdy poprzez wawóz i pomyślał z rosnącym strachem, że zabraknie mu na to sił. Odbył bardzo długą drogę i pozostało mu już ich niewiele. Wątpliwe, pomyślał, żeby udało im się stąd uciec bez szkody. Świst strzał Myya wywoływał w nim dreszcze strachu. Zbyt wiele razy musiał się przed nimi kryć w Erd i Morija. A w tym starciu większą szansę miały strzały. Morgaine podeszła do niego, odszukała jego dłoń i ujęła ją w swą rękę, odwracając nadgarstkiem do góry. Coś uderzyło w nią niespodziewanie, jak broń. Wzdrygnął się.

- Nie pochwalasz tego - stwierdziła. - Ale to rozkaz. Nie mam tego zbyt wiele, gdyż w przeciwieństwie do innych moich rzeczy, słońce tego nie odnawia. Nie chcę jednak cię utracić, ilinie.

Potarł obolałe miejsce, spodziewając się odszukać tam ranę. Niczego jednak nie znalazł, poczuł za to, że dzieje się z nim coś dziwnego. Zmęczenie ustąpiło. Krew zaczęła krążyć żywiej. To było aujalin, czy z jakiegokolwiek innej rasy pochodziła Morgaine. Niegdyś to, co uczyniła, przeraziłoby go. Obiecała mu kiedyś, że nie będzie z nim czynić podobnych rzeczy.

"Nie chcę cię utracić, ilinie".

Czekała na niego w tej morijskiej pułapce ze względu na "Odmieńca". Był w głębi serca tego pewien i nie winił jej za to. Jednakże w jej słowach zabrzmiał cień troski o ilina, który jej służył, a to, w przypadku Morgaine, było wiele.

Zaczął się przygotowywać do drogi z mocnym przekonaniem, iż Morgaine go nie zgubi, i że, jeśli tylko będzie miał pod sobą konia, zdoła się przedostać przez wawóz. Mieli trzy konie - Siptaha, niewdzięcznego karego ogiera, który usiłował gryźć i zaprzestał tego z niechęcią dopiero po ciosie pejczem w szczęki oraz bułanego wierzchowca należącego do Ryna. Nie był pełnej krwi, lecz miał długie nogi i potężną klatkę piersiową. Vanye ocenił, że będzie on zdolny znieść drogę, którą planowali odbyć, zaś Ryn umiał jeździć - był Morijem i Nhi.

- Zostaw harfę - sprzeciwił się Vanye, gdy ujrzał ją zawieszoną na plecach młodzieńca, podczas gdy wyprowadzali konie na zewnątrz w świetle gwiazd. - Jej grzechot może zgubić nas wszystkich.

- Nie - odparł stanowczo młodzieniec. Tego się można

było spodziewać po Nhi Rynie, synu Parena. Zamiast jednak zerwać mu ją z pleców i zatrzymać się celem dalszego sporu, Vanye rzucił surowe spojrzenie na Morgaine. Wiedział, że chłopiec usłucha jej rozkazu.

Ona jednak nie wypowiedziała się na ten temat, więc Vanyemu nie pozostawało nic, jak poprowadzić karego ogiera w ślad za Siptahem ku wyjściu.

Trzeba było jeszcze otworzyć bramę. Vanye zsiadł z wierzchowca i odsunął zardzewiałą zasuwę, po czym otworzył wrota na oścież. Morgaine i Ryn popędzili na zewnątrz. Vanye wskoczył na konia, uderzył go piętami i pognął tuż za nimi. Siptah śmignął ogonem z radosną zuchwałością, przeskakując nad murem przyporowym.

W ten sposób ostrzegł Vanyego, że jest tu przeszkoda, o czym ten przez lata zdażył zapomnieć. Ryn pokonał ją, podobnie jak jego własny wierzchowiec, który opadając na ziemię pośliznął się na mokrej trawie i zjechał w dół zbocza zadem naprzód.

Posypały się strzały. Vanye zwiesił się z drugiego boku swojego rumaka, by stać się tak niewidocznym, jak to tylko możliwe. Miał nadzieję, że pozostali wpadną na ten sam pomysł, lecz poprzez rozwianą grzywę rumaka dojrzał smugę czerwonego ognia z ręcznej broni Morgaine. W miejscu, z którego strzelano, zapanowała cisza. Strzały przestały lecieć. Nie wiedział, czy trafiła w cokolwiek strzelając na oślep, lecz napastnicy byli Morijami i w głębi serca miał nadzieję, że po prostu stracili odwagę i uciekli.

Coś uderzyło go boleśnie w bok. Stracił oddech i o mało nie spadł z siodła pod wpływem bólu. Wiedział, że go trafili, lecz z tej odległości żadna strzała nie mogła przebić zbroi. Najbardziej obawiał się o nie osłoniętego niczym konia. Zabić wierzchowca pod jeźdźcem kłóciło się z morijskim honorem, tu jednak nie było miejsca na przestrzeganie zasad. Jeśli ci ludzie pozwolą im uciec, będą mieli do czynienia z Erijem, a to nie była dla nich przyjemna perspektywa.

Dotarli już niemal do końca wąwozu. Ponownie ścisnął nogami boki rumaka, aby zmusić go do zwiększenia prędkości. Przerażone zwierzę zebrało resztę sił. Ślina opryskała nogę Vanyego, gdy koń podjął narzucone mu tempo. Wyprzedził nawet Siptaha i, gdy Vanye szarpnął nim z całej siły, kierując na północ, skoczył naprzód pod wpływem brutalnego uścisku jego pięt w stronę rozpadliny prowadzącej przez wzgórze do Baien. W tej chwili Vanye był niemal gotów pokochać tę podłą bestię. Miała w sobie serce.

Morgaine, pochylona w siodle, znalazła się przy nim. Siptah rozwarł szeroko chrapy. Gwiazdy lśniły w jego białej grzywie. Morgaine roześmiała się bez powodu i spróbowała sięgnąć ręką w jego stronę, nie dotykając go, po czym wróciła na siodło.

Przedostali się. Byli już poza zasięgiem łuczników, bezpieczni na równinach Baien. Przedostali się. Vanye popuścił wodze parskającemu wierzchowcowi i kazał mu się zatrzymać. Wtedy dopiero przypomniał sobie o młodzieńcu jadącym ich śladem. Nadjeżdżał, w odległości dobrego strzału z łuku za nimi. Oboje czekali na niego w milczeniu. Obawiali się, że chłopiec mógł zostać trafiony, gdyż siedział

nisko w siodle.

Wszystko było jednak w porządku. Gdy zbliżył się do nich, miał bladą twarz w słabym świetle gwiazd, nie raniono go jednak. Jego bułany koń był doszczętnie wyczerpany. Utykał na jedną z tylnych nóg, jak gdyby ją oszczędzał. Vanye zsiadł z konia, aby się temu przyjrzeć. Strzała przebiła skórę i, być może, utrzymywała się przez jakiś czas w ranie. Obmacał palcami skaleczenie i stwierdził, że nie jest ono niebezpiecznie głębokie.

- Wytrzyma to - oznajmił. - Później będzie czas się tym zająć.

- Ruszajmy więc - powiedziała Morgaine, stając w strzemionach, aby spojrzeć do tyłu, podczas gdy Vanye wdrapywał się z powrotem na siodło.

- Zaskoczenie nie potrwa długo. Nie widzieli dotąd, jak strzelam, teraz to ujrzeli. Przyzwyczajają się do tej myśli i wkrótce odzyskają odwagę.

- Dokąd pragniesz jechać? - zapytał Vanye.

- Na Ivrel.

- Pani, gród Baien leży niemal na naszej drodze. Miałaś tam kiedyś prawo azylu. Być może moglibyśmy schronić się u nich przez pewien czas, jeśli dotrzemy tam przed Erijem.

- Nie ufam żadnemu grodowi czy dworowi leżącemu tak blisko Ivrel - odparła. - Nie.

Ruszyli naprzód wolnym krokiem, gdyż konie były zmęczone, a wkrótce mogły zostać zmuszone do dalszego biegu. Vanye poczuł, że ogień tego, co dostało się do jego żył, uległ wyczerpaniu. Powoli zaczął tracić przytomność. Bok bolał go dotkliwie. Pomacał to miejsce i stwierdził, że ogniwa kolczugi popękały, ale pod spodem nie ma poważniejszej rany. Upewniwszy się, że nie wykrwawi się na śmierć, zaczepił jedną z nóg o wysoki łęk siodła, oplótł się ciasno ramionami, aby utrzymać równowagę i pogrążył we śnie.

Obudził go dźwięk dzwonów.

Spojrzał przed siebie, rozluźniając napięte mięśnie, w których łąpały go skurcze, i ujrział, ku swemu wstydowi, że Ryn prowadzi jego konia, i że już dawno minął świt. Jechali spokojnym, skrytym w cieniu sosen szlakiem przebiegającym pod skalną ścianą.

Pochylił się w siodle i ujął w ręce wodze. Zaczął rozpoznawać, gdzie się znajdują, gdyż był tu w młodości. To był klasztor Baien-an, największy w całym Andur-Kurshu, jeden z tych, które wciąż były bezpieczne i zamieszkiwane przez Szarych Ojców. Ruszył naprzód, by dogonić Morgaine. Zastanawiał się, czy ona wie, dokąd się udają, czy też skierowała się tu za radą Ryna. Był tu nadmiar świadków, którzy zauważą jej przejście, a tutejsi mieszkańcy nie będą do niej przyjaźnie nastawieni.

Bracia naprawiający mur przerwali pracę w zdumieniu.

Kilku z nich wybiegło naprzód, jak gdyby chcieli przywitac wędrowców, lecz potem zawahali się i najwyraźniej porzucili całkowicie ten pomysł. Na ich obliczach malowało się zmieszanie. To byli łagodni ludzie i Vanye nie obawiał się ich.

Na twarzy Morgaine odbijało się straszliwe zmęczenie i ból, jak gdyby dokuczała jej rana. Ujrawszy to, przygryzł

wargę w zamyśleniu.

- Pragniesz tu zostać? -! zapytał.

- Nie sędzę, żeby opat się na to zgodził - odparła.

- Ja zaś nie sędzę, żebyś była zdolna do dalszej jazdy.

Spojrzał też na młodego Ryna - wyczerpanego i z podkrażonymi oczyma - i doszedł do wniosku, że ścigający nie będą ich szukać w tym miejscu.

Zatrzymał swego wierzchowca przed bramą. Pamiętał, że przy opactwie znajduje się gospoda, zapewne zimą mało używana. Zbudowano ją z myślą o takich osobach, których nie można wpuścić pomiędzy święte mury.

Zaprowadził ich tam, nie pytając o pozwolenie, ani nie zważając na zaciekawione spojrzenia braci znajdujących się na podwórzu. Skryli się wewnątrz domu, za jego wiecz- nie zielonym żywopłotem. Tam zsiadł z konia i wyciągnął ręce do Morgaine, aby jej pomóc tak, jak zwykle postępo- wano z damą. Przyzwyczajona do tego, że zsiadała sama, spróbowała niezręcznie przyjąć jego pomoc, lecz gdy stanęła na ziemi, nogi załamały się pod nią. Wsparła się na jego ramieniu i podziękowała mu zmęczonym skinieniem głowy oraz spojrzeniem swych szarych oczu.

- To jest azyl - powiedział. - Tak mówi prawo. Nikt nas tu nie tknie, a jeżeli klasztor zostanie otoczony... no cóż, wtedy zastanowimy się, co zrobić.

Ponownie skinęła głową. Najwyraźniej jej siły były na wyczerpaniu. Wszyscy troje przedstawiali żalosny widok - kobieta, młodzieniec i wojownik tak zeszywniały od sinia- ków i ran, że ledwie zdołał wdrapać się na schody.

Nic było żadnych innych gości, co go ucieszyło. Zapro- wadził Morgaine do najbliższego z kilku łózek, po czym wyszedł na zewnątrz, aby zająć się końmi i przynieść do środka jej rzeczy. Wiedział, że to było dla niej najważniej- sze. Spojrzała na niego z wdzięcznością, zanim objęła ra- mionami straszliwy miecz i padła na nagi materac.

Ryn pomógł mu przy koniach i zaniósł do środka wszyst- kie ich rzeczy wraz z siodłami. Potem udał się za nim do stajni i przyglądał zatroskanymi oczyma, jak Vanye smar- wał olejem jadalnym ranę na zadzie jego wierzchowca.

- Nie okuleje - stwierdził Vanye. - Strzała nie lecia- ła szybko, a to nie pora na plagi, które mogłyby zakazić ranę. Olej złagodzi ból, ale blizna chyba zostanie.

Ryn wrócił wraz z nim do gospody, skrytej wśród wy- sokich sosen. Dzwony umilkły. Bracia pogrążyli się w swych modlitwach.

W Rynie zaszła zmiana. Vanye nie potrafił zrazu ustalić, na czym polegała, lecz wkrótce doszedł do przekonania, że to chłopiec zarzucił sobie w Ra-morij harfę na plecy i podążył za Morgaine, zaś teraz, w świetle dnia, obserwu- jąc wszystko w milczeniu, podążał za nim dojrzały, zmę- czony młodzieniec. Inaczej się zachowywał. Podobnie jak Vayne kroczył naprzód w sposób całkowicie nie pasujący do tych obsadzonych sosnami alejek. Gdy uciekali z Baien- -ei, on jechał jako ostatni. W jego spojrzeniu pojawił się nowy wyraz twardości, jakby rozsadek zaczął zdobywać przewagę nad entuzjazmem.

Vanye zastanowił się nad tym nowym milczeniem, oce- nił je i gdy weszli do środka, klepnął Ryna w ramię swą obolałą dłonią. Wydawało mu się, że Morgaine śpi, więc

rzekł ściszym głosem:

- Teraz ja będę czuwał. Nie wytrzymam długo. Później twoja kolej, a na końcu jej.

Młody Ryn mógłby się sprzeciwić z jakiegoś głupiego powodu. Gdy pierwszy raz wjechali na teren Morija, był rozdrażniony rozkazami swojego ojca. Teraz skinał głową, uznając to za sprawiedliwe, i położył się na nagim łożu, podczas gdy Vanye ujął miecz w dłoń i usiadł na schodach przy wejściu, z jego czubkiem wbitym pomiędzy stopami, dłońmi zaciśniętymi na jelcu, a głową wspartą o rękojęść. W tej pozycji mógł długo opierać się senności. Podczas wędrówki spędził wiele nocy, czuwając w ten sposób. Zastanowiwszy się nad tym, zdał sobie z niesmakiem sprawę, że widywał podobne sytuacje w podrzędnych gospodach w Morija, gdy jakiś, zaledwie uważany za honorowy, klan z gór prosił o gościnę, udając się na poszukiwania nowych pastwisk. Herszt bandy spał w gospodzie, jego ludzie siedzieli wokół stołu, żłopiać tanie wino i niszczyć sprzęty swymi stopami, podczas gdy - W charakterze zamka u drzwi - jakiś mężczyzna, o wyglądzie bardziej łajdackim od pozostałych, stał na schodach na straży z mieczem w rękach i skwaszoną miną, płosząc chłopców, którzy podkradali się, pragnąc zobaczyć gości.

W takiej pozycji znaleźli go bracia.

Rozbudził się całkowicie, gdy tylko usłyszał kroki na brukowanym chodniku i usiadł z mieczem pomiędzy kolanami. Bracia ubrani w szare habity podeszli ostrożnie ku schodom z glinianymi dzbanami pełnymi jadła.

Uklonili się, z rękami skrytymi wśród szat. Vanye rozpoznał w tym geście niewinną uprzejmość i skłonił się w odpowiedzi tak głęboko, jak było to możliwe w pozycji siedzącej.

- Czy wolno nam zapytać?

Było to tradycyjne pytanie. Miał prawo odmówić. Uklonił się po raz drugi, okazując pełną uprzejmość zacnym braciom.

- Jesteśmy wyjęci spod prawa - powiedział. - Popełniłem kradzież. Zabiliśmy też niemało ludzi po drodze, lecz nikogo w Baien. Nie tkniemy waszych owiec i bydła, ani waszych pól, nie poczynimy też gwałtu przeciw nikomu z mieszkańców. Prosimy o azyl.

- Czy... - w głosie pytającego zabrzmiało wahanie, choć przed udzieleniem azylu zawsze o to pytano. - Czy wszyscy z was są prawdziwej, ludzkiej krwi?

Morgaine nie miała na sobie kaptura, gdy wjeżdżała na teren klasztoru. W swym białym futrze i z białymi włosami wyglądała dokładnie jak bohaterka z legendy. Jedyne człowiek, który ocalał pod Irien, schronił się właśnie w Baien-an, aby umrzeć tu jako święty.

- Jedna z nas może nie być - przyznał. - Ale wyznaje, że przynajmniej nie jest aujalem.

W ich łagodnych oczach widoczne było zakłopotanie wywołane tą odpowiedzią. Być może dzięki legendzie wiedzieli, kim i czym była, o ile mogli w to uwierzyć, nie tracąc zdrowych zmysłów.

- Udzielamy schronienia - powiedzieli - wszystkim.

którzy przychodzą tu w pokoju, nawet tym o skażonej krwi i tym, którzy podróżują w ich towarzystwie, jeżeli tego po-

trzebują. Dziękujemy, że nam to powiedziałaś. Oczyszczymy budynek, gdy odejdziecie. To była uprzejmość z twojej strony. Nie będziemy się wtrącać w wasze sprawy. Czy ty jesteś prawdziwym człowiekiem?

- Jestem ludzkiej krwi |- odparł. Odwzajemnił ich pożegnalne ukłony. - Bracia - dodał, gdy zaczęli się odwracać. Zwrócili głowy jednocześnie - opalone twarze, łagodne spojrzenie, cierpliwe zachowanie - jak gdyby ożywiało ich jedno serce. - Módlcie się za mnie - poprosił i ponieważ zwykle wręczano za to jakiś datek, dodał: - Nie mam ani dukata.

Ukłonili się równocześnie.

- To nieważne. Będziemy się za ciebie modlić -- obiecał jeden z nich. Bracia odeszli.

Gdy to uczynili, promienie słońca wydały mu się chłodne. Nie mógł spać i pełnił straż jeszcze długo po tym, jak powinien obudzić Ryna, aby ten zajął jego miejsce. Wreszcie, gdy poczuł się już bardzo zmęczony, zszedł po schodach, zabierając ze sobą gliniane dzbany, aby wstawić je do środka i pozwolił, aby Ryn zastąpił go na schodach. Morgaine obudziła się. Mieli czarny chleb, miód, solone masło oraz garnek z rosółem i drugi z gotowaną fasolą. Obie potrawy wystygły, lecz smakowały Morgaine, która, jak podejrzewał, jadła w ostatnich dniach gorzej. Wyniósł Rynowi jego porcję na schody. Młodzieniec pochłonał ją, jakby umierał z głodu.

1 71

Bracia przynieśli też wielkie naręczka siana oraz kubły z owsem dla koni. Vanye zajął się nimi, chowając owies do juk na zapas.

Cichym wieczorem, gdy słońce skłaniało się już ku zachodnim góróm, Ryn zasiadł ze swą harfą w wąskich drzwiach i zaczął grać spokojne pieśni. Nastroił instrument swymi wrażliwymi palcami w ten sposób, że nawet wydawało się to przyjemne. Niektórzy z braci zeszli ze wzgórza i stanęli przy bramie, by posłuchać harfiarza. Ryn uśmiechnął się do nich z roztargnionym wyrazem twarzy. Gdy jednak Morgaine pojawiła się w drzwiach, ich spojrzenia spoważniały. Niektórzy przeżegnali się z lęku przed nią. Wydawało się, że bardzo ją to zasmuciło. Mimo to ukłoniła się im uprzejmie. Większość z nich odwzajemniła ten gest, po czym Morgaine wróciła do wnętrza, by ogrzać się przy kominku.

- Musimy dziś w nocy stąd odjechać - powiedziała, gdy Vanye uklęknął przy niej. Był zaskoczony.

- Liyo, nigdzie nie znajdziemy bezpieczniejszego azylu.

- Nie szukam schronienia. Moim celem jest Ivrel. To jest rozkaz, Vanye.

- Tak jest - odparł i ukłonił się. Gdy ponownie się wyprostował, spojrzała na niego marszcząc brwi. - Co to takiego? - spytała wskazując na tył jego szyi.

Vanye uniósł rękę i natrafił na postrzępione końce swych włosów. Twarz mu płonęła.

- Nie pytaj mnie - powiedział.

- Jesteś ilinem - odparła, ganiąc go. Po chwili dodała: - Czy uczyniono ci to, czy ty sam...

- Zrobiłem to z własnej woli.

- Co zaszło w Ra-morij pomiędzy tobą a twym bratem?

- Czy rozkazujesz mi, abym ci powiedział?

Zacisnęła wargi. Przeszyło go spojrzenie jej szarych oczu. Być może wyczytała w ten sposób jego cierpienie.

- Nie - odparła.

To nie było do niej podobne - wyrzec się wiedzy na jakiś temat, gdy jej brak mógł zagrozić bezpieczeństwu. Był wdzięczny za podobne zaufanie. Usiadł na ciepłych karniach w pobliżu ognia, słuchając dźwięku harfy i obserwując w gasnącym świetle wieczoru pogrążoną w uniesieniu twarz Ryna na tle porośniętego sosnami wzgórza. To było piękne - ziemskie i nieziemskie - chłopiec z harfą Pieśń ucichła na chwilę, gdy kosmyk włosów opadł Rynowi na twarz. Chłopiec odgarnął go i zatknął za uchem. Nie był jeszcze wojownikiem, lecz mógł nim zostać, gdy tylko dokona wyboru. Jego honor oraz duma były nienaruszone.

Ręce wznowiły wędrówkę po strunach. Ryn śpiewał ciche, spokojne pieśni w hołdzie temu miejscu oraz braciom, którzy go słuchali. Nagle zabrzmiał dzwon wzywający na nieszpory i szare habity mnichów skryły się z powrotem w świętym miejscu na wzgórzu.

Zmierzch zapadał coraz szybciej.

Spożyli resztę otrzymanego od braci jada i położyli się spać, pozostawiając jedną osobę na warcie.

W pewnej chwili Morgaine, która akurat pełniła straż, obudziła ich i kazała przygotować się do drogi.

Na horyzoncie lśnił czerwony odbłask jutrzeńki.

Szybko przytroczyli broń i osiodłali konie. Morgaine ogrzała się po raz ostatni przy ogniu, po czym rozejrzała się po izbie. Wyglądała na strapioną.

- Nie sądzę, żeby pragnęli otrzymać ode mnie jakiś dar na pożegnanie - powiedziała. - A zresztą nie mam nic, co mogłabym im dać.

- Zostawili nam w tej sprawie wolną rękę - zapewnił ją Vanye. Był pewien, że także wśród jego ekwipunku nie znajdowało się nic, co mogłoby przedstawiać dla braci jakąś wartość.

Ryn przeszukał swoje rzeczy, wyjął kilka drobnych monet i zostawił je na łóżku. Parę miedziaków, to wszystko. Dopiero gdy znaleźli się na drodze, a barwy przedmiotów w porannym świetle były jeszcze blade, Vanye przypomniał sobie o harfie, której Ryn nie miał ze sobą.

Z jego pleców zwiślał jedynie łuk. Vanye poczuł z tego powodu dziwny żal. Po chwili dostrzegł, że Morgaine również to zauważyła i rozchyliła wargi, by coś powiedzieć, lecz zmieniła zdanie. To była sprawa Ryna.

Ludzie z Baien powiadali, iż Baien-an było skrawkiem Niebios pozostawionym po akcie stworzenia. Tak czy inaczej kraina ta doprawdy była piękniejsza nawet od Morija. Mimo że była zima, złociste trawy i zielone cedry dodawały jej uroku. Potężne, pokryte śniegiem łańcuchy Kath Vrej i Kath Svejur okalały dolinę z obu stron. Prowadziła przez nią prosta droga, ogrodzona z obu stron żywopłotem. Nigdzie poza Baien nie widziało się żywopłotów tak pięknie utrzymanych. Dwukrotnie mijali stojące przy trakcie wioski o chatach krytych złotymi strzechami, wyglądające sennie w zimowym świetle. W pobliżu, jak zablakane obłoki, pasły się stada białych owiec.

Pewnego razu musieli przejechać przez środek wioski, gdzie dzieci o wytrzeszczonych oczach kulili się u spódnic swych matek, a mężczyźni przerywali pracę, jakby wahali się, czy popędzić po broń, czy też powiedzieć im "dzień dobry". Morgaine założyła kaptur, jednak i tak wyglądała niezwykle - siedziała w siodle po męsku, a u jej kolana zwisał miecz. Poza tym był jeszcze Siptah, który urodził się w tej okolicy, zanim cała wielka stadnina króla Tiffwy'ego została zagarnięta przez bandytów z Hjemuru. Konie spotkał zły los i od tego czasu więcej ich nie widziano. Baienowie powiadali, że stało się tak dlatego, iż były to królewskie konie i nie chciały nosić pod sobą takich, jak ich hjemurscy panowie.

Być może jednak wieśniacy zamrugali tylko oczyma w świetle słońca i powiedzieli sobie, że nic ich nie obchodzi wędrowcy zmierzający na wschód. To wtedy, gdy jeźdźcy przybywali z tamtego kierunku - z Hjemuru - trzeba było zadawać sobie trud, by sięgnąć po broń, a poza tym rodziły się niekiedy siwe konie, które nie były starej krwi. Siptah stał się teraz chudszy, nogi i brzuch miał zabłocone, a ponadto nie marnował sił na płochliwość charakterystyczną dla koni pełnej krwi, choć jego uszy drgały na każde przypadkowe poruszenie, a chrapy wchłaniały w siebie każdą woń.

- Liyo - powiedział Vanye, gdy minęli osadę - usłyszą o nas w Ra-baien już wieczorem.

,- Wieczorem - odparła - z pewnością skryjemy się wśród tych wzgórz.

- Gdybyśmy skręcili i poprosili o gościnę w Ra-baien, mogliby ci jej udzielić - nalegał.

- Tak jak w Ra-morij? - odparła. - Nie. Poza tym nie zgadzam się na dalszą zwłokę.

- Do czego się spieszyć? - sprzeciwił się. - Pani, wszyscy jesteśmy zmęczeni, ty nie mniej od nas. Po stu latach zwłoki, cóż oznacza dzień odpoczynku. Powinniśmy byli zostać w klasztorze.

- Czy możesz jechać?

- Mogę - przyznał, choć właściwie było to kłamstwo.

Kości miał obolałe. Wiedział jednak, że ona czuje się nie lepiej i wstyd powstrzymał go przed narzekaniem. Ponownie zapłonęła w niej gorączka, która pchała ją nieustannie w stronę Ivrel. Vanye wiedział już, czym grozi sprzeciw. Jeśli nie zdoła przekonać jej, że potrzebny jest odpoczynek, było pewne, że niewiele będzie rzeczy zdolnych ją powstrzymać. Nagle, gdy słońce świeciło za ich plecami, odbijając się czerwonym blaskiem na śniegach Kath Svejur przed nimi, Vanye obejrzał się za siebie wzdłuż drogi, którą przybyli, tak jak to robił od czasu do czasu.

Tym razem dostrzegł tam to, czego cały czas się obawiał. Ścigano ich.

- Liyo - odezwał się cicho. Zarówno ona, jak i Ryn spojrzeli za siebie. Twarz chłopca pobladła.

- Z pewnością zmienili konie w Ra-baien - stwierdził Ryn.

-! Tego się właśnie obawiałam - dodała Morgaine -! że między Morija a Baien nie ma wojny, ani żadnego sporu. Zmusiła Siptaha, aby nieznacznie przyspieszył kroku, nie podrywając go do biegu. Vanye obejrzał się ponownie.

Jeźdźcy zbliżali się powoli. Oni również nie zajeżdżali swych koni, jechali jednak szybciej niż ścigani.

- Gdy dotrzemy do wzgórz, wybierzemy miejsce, w którym pozwolimy im nas dogonić, tak blisko granicy, jak to tylko możliwe - oznajmiła Morgainc. - Nie pragnę tej walki, ale możemy zostać do niej zmuszeni.

Vanye obejrzał się jeszcze raz, by utwierdzić się w tym, kto ich ścigał. Żołądek ciążył mu jak ołów. Już raz popełnił bratobójstwo. Obowiązkiem ilina było walczyć i zabijać na rozkaz liyo nawet członków własnej rodziny. Było to okrutne prawo, ale prawo.

- To z pewnością Nhi - powiedział Rynowi. - Nie wolno ci z nimi walczyć. Nie jesteś ilinem, a dopóki nie podniosłeś ręki przeciwko Erijowi i swym kuzynom, nie jesteś też wyjęty spod prawa. Zostaw nas tu i wracaj do domu.

Na twarzy Ryna malowała się niepewność. Była to jednak twarz mężczyzny, a nie niegrzecznego chłopca, któremu nie sposób przemówić do rozsądku.

- Zrób tak, jak on mówi - dodała Morgaine.

- Składam przysięgę - odparł - że tego nie uczynię.

To zamykało sprawę. Ryn był wolnym człowiekiem i trzymał, z kim chciał, w tym przypadku z nimi. Vanye poczuł żal, że młodzieniec ma u swego boku jedynie honorowy miecz, lecz chłopcy nie powinni próbować w walce długiego miecza. Najbezpieczniej będzie, gdy pozostanie przy łuku.

- Czy znasz tę drogę - spytała Morgaine.

- Tak - odparł. - Oni też. Jedź za mną.

Pojechał jako pierwszy. Przypomniał sobie o pewnym miejscu, położonym wśród wzgórz, za wejściem do Korisu, gdzie Erij mógł nie mieć ochoty się zapuszczać ze względu na bliskość Irien. Konie powinny tam dotrzeć, choć na pewnym odcinku droga prowadziła pod górę. Ponownie rzucił spojrzenie do tyłu, aby sprawdzić, co ze ścigającymi. Morije z pewnością mieli świeże wierzchowce. W przeciwnym razie nie mogliby tak bardzo się zbliżyć. Był to dar od pana Ra-baien, nie było jednak pewne, jak wiele wiedział on o nich i co na ich temat sądził.

Nie mogli zapominać o baińskim posterunku w Kath Svejur, obsadzonym przez dwudziestkę łuczników i duży oddział jezdnych. Musieli jakoś obok niego przemknąć.

17fi

Cały czas utrzymywał tempo, jakie ustalił na początku.

Nie zjechał z traktu, mimo że Morgaine nie ukrywała, iż woli otwarty teren.

Jeżeli doszło już do porozumienia pomiędzy Erijem a panem Baien co do odcięcia im drogi - jakiś kurier wysłany nocą na złamanie karku - ich szybkość pozwoli im się przedostać. Miał nadzieję, że tak się nie stało, i że przełęcz nie będzie zamknięta. W przeciwnym razie oprócz jeźdźców za sobą spotkają jeszcze grad strzał z przodu. Było już jasne, że ścigający są gotowi zajeździć swe konie na śmierć. Przełęcz znajdowała się tuż przed nimi. Wysoko, na poszarpanych skałach, wznosił się mały kamienny fort Irn-Svejur.

- Nie zdołamy się tędy przedrzeć - zaprotestował Ryn, myśląc z pewnością o strzałach. Jednakże Vanye popędził

swego konia biczem, pochylając się nisko w siodle. Morgaine postąpiła podobnie.

Znajdowali się w zasięgu strzał - zarówno z góry jak i z tyłu. Z pewnością strażnicy w twierdzy dostrzegli szaleńczy pościg na drodze pod nimi i zadali sobie pytanie, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem. Jednakże zarówno w Morija, jak i w Baien obowiązywała prosta instrukcja, mówiąca, że przyjacielem jest ten, kto jedzie na wschód; zaś wrogiem ten, kto na zachód, a tu widzieli dwie grupy pędzące szaleńczo w kierunku wschodnim.

Gdy minęli już przełęcz, Vanye obejrzał się za siebie. Jeden z jeźdźców odłączył się od grupy ścigających i skręcił w górę, na ścieżkę prowadzącą do twierdzy. Vanye zaklął. Wkrótce także ludzie z Irn-Svejur wyruszą w pościg za nimi, a bułany wierzchowiec Ryna zaczął już się potykać.

Tutaj, na otwartej drodze, nie było gdzie się skryć i przeklęty koń wyznaczał kres ich ucieczki. Vanye zaczął ściągać wodze w miejscu, w którym można było się schronić za skałami tuż przed granicą zarośli. Tam zeskokczył z konia z mieczem i łukiem w rękę i puścił karego ogiera luzem, by uciekał, gdzie chce. Morgaine schroniła się obok niego. W rękę trzymała "Odmieńca", a za pasem, Vanye w to nie wątpił, swą czarną broń. Na koniec dołączył do nich zdyszany Ryn, który pozostał z tyłu, aby skłonić swego wierzchowca do ucieczki. Jednakże strzała ugodziła biedne zwierzę, które stanęło dęba i runęło na ziemię, wierzgając kopytami.

- Ryn! - wrzasnął Vanye ochryplym głosem. Chłopak podbiegł do nich, potknął się i padł na ziemię. Całe ramię miał zakrwawione. Z ciała sterczał mu czarny kikut strzały. Nie był zdolny naciągnąć ciężkiemu swego łuku, który stał się bezużyteczny. Jeźdźcy zbliżali się - Nhi i Myya, wśród nich Erij.

Vanye wyszarpnął swój miecz z pochwy. Za późno było myśleć o innych środkach obrony. Ujrzał, że Morgaine uczyniła to samo. Wiedząc, co wyciągnęła, nie próbował osłaniać jej boków. Opalizujące ostrze ożyło. Wciągnęło lecące strzały, zakrzywiło ich lot i wysłało je gdzie indziej. Jeden z mężczyzn podążył z krzykiem za nimi.

Wiatr zawył wewnątrz powstałego wiru. Miecz poruszał się pewnie, gdyż na jego rękojeści spoczywała dłoń, która go dobrze знаła. Nic ich nie tknęło. Nic nie przedostało się przez migotliwą pajęczynę utkaną przez "Odmieńca". Jak przez falującą wodę Vanye dostrzegł czarną postać rozwścieczonego Erija. Jego brat podniósł się z ziemi, lecz niektórzy z pozostałych nie zdołali tego uczynić i popędzili w nicość.

Jednym z nich był Nhi Paren, drugim Nhi Eln. Tuż za nimi jechał Nhi Bren.

- Nie! - krzyknął Vanye, próbując powstrzymać Ryna, który z takim samym okrzykiem wybiegł zza skał i rzucił się pomiędzy miecz i jeźdźców.

I przestał istnieć.

W jednej chwili Morgaine odchyliła miecz w bok, O mgnienie oka za późno. Na jej twarzy malowało się przeżalenie. Jeden z jeźdźców ruszył za nią i zadał jej cios, który odrzucił ją na bok.

Vanye ciął mieczem jego konia - niehonorowy i rozpaczliwy atak - powalił wierzchowca, powalił jeźdźca i zabił Nhi Brona, który nigdy nie uczynił mu nic złego.

178

Okręcił się wkoło i ujrzał, jak czerwona wiązka powala ludzi na równi ze zwierzętami. Na ziemi leżeli zabici, umierający i wijący się z bólu ranni. Reszta ścigających zatrzymała swe konie w poszukiwaniu schronienia. Wciąż pędziły za nimi wiązki ognia, pod wpływem których zarośla i trawy zaczęły płonąć. Cała dwudziestka koni i ludzi leżała na drodze - w sposób widzialny zabitych. Języki ognia podsypane przez wiatr sięgnęły wyschniętych drzew. Morgaine nadal trzymała w prawym ręku obnażonego "Odmieńca".

Ci, którzy pozostali przy życiu, uciekli. Vanye ujrzał z ulgą, że Erij był wśród nich. Wiedział, że jego brat nigdy przed niczym nie ucieka. Teraz jednak to uczynił.

Vanye padł na kolana, wsparł się o rękojeść miecza i spojrzał na to, co uczynili. Morgaine również stała nieruchomo. "Odmieniec" przygasł teraz w jej dłoni, lecz nie opuszczał go opalizujący poblask. Sięgnęła po jego pochwę i gdy wśliznął się do swego właściwego schronienia, ponownie stał się przezroczysty jak szkło.

Znieruchomiała, z jedną ręką opartą o skałę, aż wreszcie niepewnie, jakby nagle się postarzała, odwróciła się w stronę Vanyego.

- Musimy odszukać konie, zanim tamci zdobędą się na odwagę i zaatakują ponownie - powiedziała. - Chodź, Vanye.

Nie płakała. Podniósł się i podtrzymał ją w obawie, że upadnie. Przez chwilę myślał, że jednak znajdzie łyżę, lecz oparła się tylko o niego z drżeniem.

- Liyo - błagał ją. - Oni nic wróca. Zostań tutaj. Ja odzyskam konie.

- Nie - uwolniła się z jego uścisku, ponownie zatknęła czarną broń za pas i spróbowała założyć rzemień "Odmieńca" na ramię, lecz ręce drżały jej zbyt mocno. Pomógł jej w tym. Morgaine ułożyła sobie ciężar wygodnie na ramieniu i rzuciła jedno spojrzenie do tyłu, zanim zaczęli szukać koni.

! Nagle zarośla zaszeleściły i wokół nich zaroiło się od ludzi ubranych w brązowe, szare, zielone i pokryte cętkami stroje. To byli Chya. Zagrodzili im drogę. Był z nimi Taomen i inni, których widzieli uprzednio. To byli Chya z Ra-koris. Prowadził ich Roh, który pojawił się jako ostatni. Wzrok pana Chya omiótł drogę za nimi. W jego oczach malowało się przerażenie tym, co się stało.

Nagle, spokojnym gestem, wezwał Taomena i wydał mu rozkazy. Taomen odprowadził pozostałych ludzi z powrotem do lasu.

- Chodźcie - powiedział Roh. - Jeden z moich ludzi zatrzymał wasze konie na drodze, spory kawałek stąd. Poznaliśmy je. Przybiegliśmy wam na pomoc, gdy ujrzeliśmy, że nadbiegły z tej strony.

Morgaine spojrzała na niego, jak gdyby nie była pewna, czy może temu człowiekowi zaufać, choć niedawno spała w jego dworze. Po chwili skinęła głową i ruszyła w drogę. Nie musiała już wspierać się na ramionach Vanyego, który

zatrzymał się, aby wytrzeć miecz o trawę, zanim ją dopędził. Jej broń nie wymagała podobnych zabiegów. W istocie był to spory kawałek drogi. Przez cały czas towarzyszyli im jednak jacyś ludzie. Las wokół nich pełen był szelestów i trzasków. Dostrzegali cienie, których natury nie potrafili określić w zapadającym zmierzchu, było jednak pewne, iż są to Chya. W przeciwnym razie Roh czułby się zaniepokojony.

Wreszcie ujrzeni konie, które oporzadzono i wytarto suchą trawą. Chya nie byli klanem jeźdźców, ale dbali o zwierzęta. Gdy odzyskali już swoje wierzchowce, Vanye podziękował im w swoim imieniu. Morgaine uczyniła to samo, choć Vanye myślał, iż jest w takim nastroju, że tego nie uczyni.

- Czy możemy rozbić obóz obok was? - zapytał Roha, gdyż noc zapadała szybko, a był tak zmęczony, iż czuł się, jakby miał umrzeć.

- Nie - przerwała mu Morgaine zdecydowanym tonem. Zdjęła z ramienia rzemień "Odmieńca" i zawiesiła go u siodła, po czym chwyciła w dłonie wodze ponad szyja Siptaha.

- Liyo - Vanye rzadko jej dotykał, lecz teraz złapał ją za ramię. Jednakże chłód jej spojrzenia zamroził mu słowa w gardle.

|- Pójdę z tobą - powiedział cicho.

- Vanye.

- Liyo?

- Dlaczego Ryn postanowił umrzeć? Wargi Vanyego zadrżały.

- Chyba nie wiedział, że zginie. Sądził, iż zdoła cię powstrzymać. Nie był ilinem i kodeks ilina go nie obowiązywał. Jednym z napastników był jego pan - mój brat. Drugim Paren, jego własny ojciec. Ryn nie był ilinem. Powinien był nas opuścić.

Pomyślał wtedy, że Morgaine okaże jakiś ślad żalu czy wyrzutów sumienia. Nie uczyniła tego. Jej twarz nie zmieniła wyrazu. Odwrócił się od niej, aby nie okryć się wstydem - okazując w równym stopniu gniew, co i żal. Na wół oślepiiony odszukał wodze swego wierzchowca i wskoczył na siodło. Morgaine również dosiadła Siptaha i popędziła go piętami. Roh złapał konia Vanyego za wodze i spojrzał na niego.

- Chya Vanye, dokąd ona zmierza?

- To jej sprawa, Chya Roh.

- My, Chya, mamy w Morija zarówno oczy, jak i uszy w dobrych miejscach. Wiedzieliśmy, którą drogą będziecie musieli przejść z Kurshu do Anduru. Czekaliśmy tu na was. Spodziewaliśmy się walki, nie... czegoś takiego.

- Zostanę z tyłu, Roh. Puść wodze.

- Przysięga ilina znaczy więcej niż krew - powiedział Roh. - Lecz, Chya Vanye, to byli twoi kuzyni.

- Powtarzam, puść mnie.

Roh zamyślił się głęboko, z napiętą twarzą. Nagle schwytał wodze jeszcze mocniej i ujął uzdę w dłoń.

- Weź mnie na siodło - poprosił. - Odprowadzę was do granicy moich ziem. Wiem, że nie zechcecie czekać na pieszego. Nie chcę już narażać się na nic ze strony Morgaine. Podrażniliście Leth. Nadal się nie uspokoili. Sprowadziliście na nas Nhi, Myya i Hjemurów jednocześnie. Teraz Baieno-

wie również są na nogach. Ta kobieta sprowadza wojny jak zima burze. Przeprowadzę was bezpiecznie. Sama moja obecność wystarczy dla wszystkich ludzi z Chya, których napotkacie. Nie pozwolę, żeby odebrano im życie tak, jak tym Nhi.

- Wsiadaj więc - odparł Vanye, wyjmując stopę ze strzemięcia. Roh był szczupłym mężczyzną, lecz obaj stanowili okrutne obciążenie dla wyczerpanego konia. Nie można jednak było uczynić nic więcej. Obawiał się, że zgubi Morgaine, jeśli będzie dłużej zwlekał.

Roh opadł na siodło za nim i chwycił się mocno. Vanye popędził konia, który z początku ruszył szybkim krokiem, lecz zwolnił natychmiast, gdy jeździec zlitował się i poluzował wodze.

Morgaine nie zajeździłaby Siptaha. Vanye wiedział, że zwolni, gdy ochłonie z gniewu. Po chwili ujrzał ją. Droga stała się wąską ścieżką prowadzącą wśród drzew. Biały zad Siptaha oraz jej futro majaczyły przed nim w ciemności. Popędził swego wierzchowca. Gdy Morgaine usłyszała, że się zbliża, zatrzymała się, aby na niego poczekać. Kiedy nadjechali, miała w ręku czarną broń, potem jednak zatknęła ją za pas.

- Roh - powiedziała.

Na jej policzkach widniała wilgoć. Vanye dostrzegł to i ucieszył się. Ukłonił się jej uprzejmie. Odwzajemniła ten gest, po czym przygryzła wargę i oparła się obiema rękami o łęk siodła.

- Rozbijemy obóz - powiedziała spokojnym i rozsądnym tonem, który Vanye już znał - w takim miejscu, jakie uznasz za bezpieczne.

ROZDZIAŁ IX

Ivrel wypełniała teraz cały horyzont. Jej doskonały stożek o szczycie pokrytym śniegiem wznosił się wśród poszarpanego rumowiska skalnego Kath Vrej, stanowiąc anomalię pośród reszty gór. Niebo było błękitne, na wschodzie zabarwione lekko przez jutrzenkę - przynajmniej ten jego fragment, który był widoczny. Samotna gwiazda wciąż świeciła wysoko po lewej stronie stożka Ivrel.

Okolice, położona na północnej krawędzi Irien, była tak piękna, że łatwo było zapomnieć o tym, że panuje tu zło.

- Jeszcze jeden dzień, może jeszcze jeden obóz, i do-
trzymamy na miejsce - powiedziała Morgaine. Vanye spojrział na nią i nie ujrzał w jej oczach tęsknoty, której się spodziewał, jedynie zmęczenie i ból.

- A więc zmierzasz na Ivrel? - zapytał Roh.

- Tak - odparła. - Tak, jak zawsze - spojrzała na niego. - Chya Roh, dotarliśmy już do granic Korisu. Tu się z tobą pożegnamy. Nie ma potrzeby, byś odprowadzał nas dalej.

Roh zmarszczył brwi i spojrział na nią.

- Co pragniesz zyskać na Ivrel? Czego tam szukasz?

- Nie sędzę, żeby to powinno cię obchodzić, Roh. Do widzenia.

- Nie - odparł ostrym głosem, a gdy chciała popędzić Siptaha i wyminąć go, powiedział: - Pytam cię, Morgaine krwi Chya, w imię schronienia, którego ci udzieliliśmy. Pytam cię. Jeżeli mnie wyminiesz, podążę za tobą, zanim się

nie dowiem, w jakiej sprawie dopomogłem, dobrej czy złej.
- Nie mogę ci nic powiedzieć - odparła - oprócz tego, że nie uczynię żadnej szkody Korisowi. Zamknę Bramę i już więcej mnie nie ujrzycie. Powiedziałam ci wszystko, ale ty nadal nie rozumiesz. Gdybym chciała przekazać wam sposób na stworzenie następnego Thiyego, musiałabym się zatrzymać, żeby to wyjaśnić, lecz zajęłoby to zbyt dużo czasu, a poza tym nie chcę pozostawić za sobą tej wiedzy.
Roh wbił w nią wzrok, niezadowolony z odpowiedzi, po czym zwrócił się ku Vanyemu:

- Kuzynie - powiedział. - Czy weźmiesz mnie ze sobą na siodło?

- Nie - sprzeciwiła się Morgaine.

- Nie mam jej pozwolenia - powiedział Vanye.

- Spowolniłbyś naszą jazdę, Roh - dodała Morgaine. - Stałbyś się utrudnieniem.

Roh zatknął sobie ręce za pas i spojrzał na nią z groźną miną.

- W takim razie podążę za wami pieszo - oznajmił.

Morgaine zawróciła Siptaha na północny wschód. Vanye z ciężkim sercem popędził piętami własnego konia. Roh pomaszerował za nimi. Choć będą wędrowali powoli, by oszczędzać konie, Roh i tak pozostanie w tyle, a ta okolica nie jest bezpieczna dla kogoś, kto porusza się na piechotę. Minęli już granice Korisu i Chya. Roh będzie podążał za nimi, dopóki nie zaatakują go bestie lub ludzie z Hjemuru. Morgaine raczej pozwoli mu zginać, niż opóźni ich wędrówkę.

On musiał postąpić tak samo. Nie mógł pozwolić, by jego koń miał w walce skrępowane ruchy, zaś w ucieczce musiał, zgodnie z przysięgą, dotrzymać kroku Morgaine, czego nie zdołałby uczynić z drugim jeźdźcem na grzbiecie wierzchowca. Nie mógł też zmęczyć nadmiernie swego konia, zanim nadejdzie godzina, na którą czekała Morgaine.

- Roh - błagał swego kuzyna. - Czeka cię zguba.

Tamten nie odpowiedział mu. Ułożył tylko swój ekwipunek wygodniej na plecach i ruszył w drogę. Roh był Chya, potrafił więc wędrować na piechotę przez długi czas ze znaczną prędkością. Musiał jednak wiedzieć, że niemal na pewno będzie go to kosztować życie.

Gdyby zależało to od niego, pomyślał Vanye, odjechałby pełnym galopem, tak że Roh zdałby sobie sprawę, iż nie zdoła dotrzymać im kroku i porzuciłby to szaleństwo. Nie on jednak podejmował decyzje. Morgaine poprowadziła swego konia stępem i podczas popołudniowego odpoczynku Roh ich dopędził. Podzielili się z nim jadłem - tej łaski mu nie poskąpiła - lecz gdy wyruszyli w drogę, ponownie zostawili go z tyłu.

Gdyby nie to, że wiedzieli, gdzie są, przez pewien czas okolica mogłaby im się wydać bezpieczna. Gdy jednak sosny zastąpiły drzewa rosnące na nizinach i wjechali na teren pokryty śniegiem, Vanye zaczął się martwić o Roha. Oglądał się często za siebie, by się upewnić, jak mu się wiedzie.

- Liyo - powiedział. - Pozwól, żebym zsiadł na chwilę i poszedł na piechotę, a on niech pojedzie. W ten sposób koń nie zmęczy się bardziej.

- To jego sprawa, że zdecydował się pójść za nami - odparła. - Jeśli nieoczekiwanie natrafimy na kłopoty, chcę

mieć u swego boku ciebie, nie jego. Nie pozwalałam ci.

- Czy mu nie ufasz, liyo? Spaliśmy w Ra-koris pod jego opieką. Miał pod dostatkiem okazji, aby zrobić nam krzywdę.

- To prawda - odparła. - Spośród ludzi z Andur-

-Kurshu nikomu, poza tobą, nie ufam bardziej niż Rohowi. Wiesz jednak, jak mało zaufania mam do ludzi, a litości jeszcze mniej.

Zamyślił się nad najbliższą nocą i dniem, które musiał odsłużyć, i nad tym, że powiedziała, iż czeka ją śmierć. Zasmuciło go to tak, że przez chwilę nie myślał o Rohu, lecz zadumał się nad przyczyną jej czarnych myśli.

Późnym popołudniem, gdy konie wjechały na łatwiejszy odcinek drogi prowadzący po grani, sama poruszyła tę sprawę. Skorupa śniegu trzaskała pod kopytami wierzchowców. Mimo że świeciło słońce, para bijąca im z pysków zamarzała na powietrzu. Łatwiej jednak było im jechać tędy niż przez pokryty skałami i lodem obszar, który przebyli uprzednio.

- Vanye - powiedziała. - Trudno ci będzie opuścić Hjemur, gdy mnie zabraknie. Byłoby najlepiej, gdybyś miał się dokąd udać. Cóż poczniesz? Nhi Erij nie wybaczy ci tego, co uczyniłam.

- Nie wiem, co mam zrobić - odparł zmartwionym głosem. - Zostaje jeszcze Chya, jedynie Chya, pod warunkiem że obaj, Roh i ja, wyjdziemy z tego żywi.

- Życzę ci szczęścia - powiedziała cicho.

- Czy musisz zginać? - zapytał.

Jej szare oczy przybrały dziwnie łagodny wyraz.

- Jeśli zdołam - odparła - nie zginę. Jeśli jednak tak się stanie, nie zwróci ci to wolności. Wiesz, co masz uczynić: zabić Thiyego. Być może Roh mógłby ci w tym pomóc. Dlatego pozwoliłam mu podążyć za nami. Jeśli jednak ocaleję, przejdę przez Bramę Ivrel i w ten sposób ją zamknę. To będzie oznaczało koniec Thiyego. Gdy Ivrel się zamknie, wszystkie Bramy na tym świecie ulegną zagładzie. Zaś bez Bram Thiye nie zdoła podtrzymać swego nienaturalnego życia. Będzie żył, dopóki jego ciało nie umrze, lecz nie będzie zdolny przenieść się do następnego. Tak samo stanie się z Liellem i innymi złymi stworzeniami, które utrzymują się przy życiu dzięki Bramom.

- A co będzie z tobą?

Uniosła barki w górę, po czym pozwoliła im opaść.

- Nie wiem, gdzie się znajdę. W innym miejscu. Albo też rozpląnę się jak tamci ludzie w Kath Svejur. Zanim nie przejdę przez Bramę, nie dowiem się, dokąd mogę rozkazać się zabrać. Na tym polega moje zadanie - zamykam Bramy. Będę to czynić tak długo, aż ich zabraknie. Obawiam się jednak, że gdy przejdę przez ostatnią z nich, zastanę po drugiej stronie nicłość.

Usiłował objaść rozumem to, co mu powiedziała. Zadrżał. Nie wiedział, co ma jej powiedzieć, ponieważ nie rozumiał, co to wszystko oznacza.

- Vanye - odezwała się Morgaine. - Wyciągnąłeś

"Odmieńca" z pochwy. Odczuwasz przed nim silny strach.

- To prawda - zgodził się. W jego głosie brzmiała odraza. Jej szare oczy przyjrzały mu się uważnie, po czym rzuciła szybkie spojrzenie za siebie, na odległą postać Roha.

- Powiem ci to - oznajmiła cichym głosem. - Gdyby coś mi się przydarzyło, może się okazać, że ta wiedza będzie ci potrzebna. Nieważne, że nie umiesz przeczytać tego, co jest napisane na klindze. To jest klucz. Chan zapisał to 186

w obawie, że wszyscy zginiemy albo że zadanie przejdzie na następne pokolenie. Miał nadzieję, że za pomocą tego będzie można zamknąć Ivrel. Jeśli będziesz do tego zmuszony, użyj go w Ra-hjemur. Jego pole skierowane przeciwko źródłu swej mocy spowoduje zagładę wszystkich Brani na tym świecie. Albo wrzuć go w samą Bramę __tę właściwą - skutek będzie ten sam. Wyciągnij go z pochwy i ciśnij do środka. Obydwa sposoby powinny być wystarczające.

- Co oznaczają te napisy?

-- Każdy, kto potrafi je odczytać, zdobędzie więcej wiedzy na temat Bramy, niż bym sobie tego życzyła. Dlatego stale noszę go tak blisko przy sobie. Nie można go zniszczyć, chyba że za pomocą Bram. Nie odważę się go zostawić i nie odważę się go zniszczyć. Chan musiał być szalony, żeby zrobić taką rzecz. To zbyt wielkie ryzyko. Wszyscy ostrzegaliśmy go, że nie powinien używać wiedzy qujalin. Jednak miecz został zrobiony i nie sposób go zniszczyć.

- Chyba że w samych Ogniach Czarnoksiężskich.

- Chyba że tam.

Gdy przejechali już pewien odcinek drogi, powiedziała:

-- Vanye, jesteś odważnym człowiekiem. Muszę ci to powiedzieć jasno: jeśli użyjesz "Odmieńca" w taki sposób, jak ci kazałam, zginiesz. - Przeszył go chłód. Znał siebie dobrze.

- Nie jestem odważny, liyo.

- Ja sądzę inaczej. Czy zdołasz dotrzymać przysięgi?

Zebrał myśli rozproszone i splątane przez chwilę pod wpływem usłyszanej wiadomości. Poczłł niezwykle spokój. Wszystko, czego dowiadywał się od początku, trafiło na właściwe miejsce.

- Dotrzymam jej - zapewnił.

- Zbliża się - oznajmił Vanye z ulgą. Usłyszeli chrzęst śniegu pod stopami niedaleko miejsca, w którym zatrzymali się na postój, pomiędzy drzewami a wzgórzem. Było ciemno. Pokryty śniegiem grunt wokół nich lśnił w świetle gwiazd, z wyjątkiem miejsc, na które padały cienie sosen. Przez chwilę stracili Roha z oczu.

- Pozwól mi do niego podjechać.

- Zostań na miejscu - odparła. - Jeśli to Roh, przyjdzie do nas sam.

Wreszcie, na zboczku pod nimi, jak cień pośród sosen, pojawił się Roh, potykający się ze zmęczenia.

- Zjedź w dół po niego - powiedziała Morgaine. Była to jedyna łaska, jakiej udzieliła łucznikowi w zamian za jego wysiłki.

Vanye uczynił to z chęcią. Spotkał Roha w połowie drogi ze wzgórza i zatrzymał konia oferując mu dłoń i strzemień.

Twarz tamtego była wychudzona. Zmarznięte powietrze buchało mu pomiędzy rozchylonych warg. Przez chwilę

Vanye sądził, że Roh nie przyjmie od niego pomocy. Na jego twarzy malował się gniew. Zsunął się z konia i pomógł wsiąść swojemu kuzynowi, po czym sam wskoczył na siodło.

Roh dyszał ciężko. Vanye popędził wierzchowca pod górę stępa, gdyż powietrze było tu tak rzadkie, że raniło płuca.

- To odpowiednie miejsce na obóz - oznajmiła Morgaine, gdy do niej dołączyli. - Nadaje się do obrony. Wskazała na obszar wśród skał pokryty zaroślami. Tak było istotnie. Morgaine miała talent do takich rzeczy - Z pewnością będzie lepiej, jeśli nie rozpalimy dziś ogniska - stwierdził Vanye.

- Myślę, że to mądre - zgodziła się. Ześliznęła się z siodła, zawiesiła sobie "Odmieńca" na ramieniu i zaczęła ściągać siodło z Siptaha, który, rozdrażniony, bił kopytem w zamarznąłą ziemię. Zostało im jeszcze trochę owsa z zapasów, które otrzymali od braci. Mieli też co jeść. Nie będzie to najgorszy postój w porównaniu z tymi, które spędzili w Aenor-Pywn.

Vanye pozwolił Rohowi zsunąć się na ziemię, po czym sam uczynił to samo. Łucznik upadł, lecz natychmiast zaczął się podnosić. Vanye uklęknął przy nim, by zaoferować mu wodę, która nie zamarzała, gdyż ciepło końskiego ciała rozgrzewało manierkę. Następnie zaczął rozcierać mu skórę, aby go rozgrzać. Istniało niebezpieczeństwo, że Roh odmrozi

188
sobie kończyny, zwłaszcza stopy. "Nic był odpowiednio ubrany na taką drogę.

Morgaine pochyliła się w milczeniu i zamieniła z Rohem na płaszcz. Łucznik skinął głową na znak wdzięczności, która była w jego spojrzeniu tak pomieszana z gniewem, że trudno było powiedzieć, które z tych uczuć miało przewagę. Nakarmili konie i sami się najedli. Rozgrzało ich to, lecz nie odzywali się wiele. Być może byłoby inaczej, gdyby nie obecność Roha, lecz przy nim Morgaine nie miała ochoty na rozmowy.

.- Dlaczego? - zapytał Roh. Jego głos był niewyraźny z zimna. - Dlaczego upierasz się, aby tam iść?

- To samo pytanie zadałeś już przedtem - odparła.

- Nie usłyszałem jeszcze odpowiedzi.

- A więc nie potrafię ci udzielić takiej, która by cię zadowoliła.

Podala Rohowi jego płaszcz i zabrała z powrotem swe futro, po czym skryła się przed wiatrem za skałą i tam zasnęła, trzymając, jak zawsze, w rękach "Odmieńca".

- Spij - powiedział Vanye Rohowi.

- Jest mi za zimno - odparł tamten. Vanye poczuł ukłucie winy i spojrzął na niego w poszukiwaniu wybaczenia. Roh milczał przez chwilę. Na jego twarzy malował się wyraz bólu i zmęczenia. Okrył się swym cienkim płaszczem.

- Myślę - odezwał się chrapliwym, ledwie słyszalnym głosem. - Myślę, że umrę na tej drodze.

- Jeszcze tylko dzień - Vanye próbował dodać mu odwagi. - Tylko jeden dzień, Roh. Możesz to wytrzymać.

- Być może - Roh pozwolił rękom opaść na kolana i oparł na nich głowę. Po chwili podniósł ją i wbił wzrok w ciemność. - Kuzynie Vanye, w imię naszego pokrewieństwa, odpowiedz mi. Co ona pragnie uczynić? Cóż tak straszliwego, że nie może mi o tym powiedzieć?

- Nie ma w tym żadnego zagrożenia dla Chya lub Korisu.

- Czy jesteś na tyle tego pewien, aby przysiąc, że tak jest?

- Roh - błagał go Vanye. - Nie naciskaj na mnie. Nie mogę ci odpowiadać na wciąż nowe pytania. Wiem, czego pragniesz. Chcesz, żebym się bronił przed tobą, krok za krokiem, aż udzielię ci takich odpowiedzi, jakich sobie życzysz. Nie zrobię tego, Roh. Dość tego. Zostawmy tę sprawę.

- Myślę, że sam tego nie wiesz - odparł Roh.

- Dosyć. Roh, jeśli w Ivrel coś pójdzie źle, powiem ci wszystko, co wiem. Do tego czasu jednak jestem zobowiązany do zachowania milczenia. Idź spać, Roh. Idź spać. Roh siedział przez chwilę z ramionami splecionymi wokół ciała i kolanami podniesionymi w górę. Pograżył się w myślach. Po chwili potrząsnął głową.

- Nie mogę spać. Kości przemarzły mi na wskroś. Poczuję przez krótką chwilę. Ty się połóż. Przysięgam, że dopilnuję, aby nic się wam nie stało.

- Ja też złożyłem przysięgę - odparł Vanye, choć był straszliwie zmęczony, a powieki mu opadały. - Nie udzieliła mi pozwolenia, abym się zamienił z tobą na wartę.

- Czy musisz mieć na wszystko jej pozwolenie, kuzynie? - wyraz oczu Roha i brzmienie jego głosu były łagodne, jakby był jego bratem. Przypominało to Vanyemu noc w Ra-koris, gdy siedzieli razem przy kominku i Roh oznajmił mu, że pewnego dnia może powrócić do Chya.

-- Na tym polega przysięga, którą jej złożyłem.

Gdy jednak minęła godzina, lub więcej, a w lesie panował spokój, Vanye zaczął odczuwać ciężar długiej jazdy oraz wielu dni wędrówki i bezsenności. Stracił na chwilę świadomość. Zerwał się. Ujrzał przy sobie cień i poczuł na ramieniu rękę Roha. Omal nie wrzasnął, zdusił jednak okrzyk, gdy zdał sobie sprawę, że to tylko jego kuzyn.

- Kuzynie, jesteś zmęczony. Powiadam ci, że obejmę wartę za ciebie. - Brzmiało to rozsądnie i przekonująco. Wyobraził sobie jednak, co Morgaine powiedziałyby na taką propozycję.

- Nie - odparł zmęczonym głosem. -, Teraz jej kolej.

Spij. Ja pochodzę przez chwilę. Jeśli mnie to nie rozbudzi, obudzę ją, aby objęła wartę. Nie wolno mi postąpić inaczej. Spróbował wstać, lecz potknął się, gdyż nogi zdrętwiały mu ze zmęczenia i chłodu. Sądził, że Roh pragnie mu pomóc. Nagle ból przeszył mu czaszkę. Wyciągnął ręce, aby uchronić się przed upadkiem, lecz runął na ziemię, tracąc niemal przytomność. Następnie ciężar uderzył go w głowę po raz drugi i trzeci i Vanye zapadł się w ciemność. Krępowwały go sznury. W całym ciele odczuwał chłód i odrętwienie. Jedyne co mógł, to podnieść się na kolana. Uczynił to na oślep, w obawie, że za chwilę nastąpi kolejny atak. Odwrócił się na jednym kolanie i ujrzał biały kształt. Była to Morgaine. Roh stał nad nią, trzymając w ręku skrytego w pochwie "Odmieńca".

- Roh! - głośny okrzyk Vanyego zmaćcił ciszę. Morgaine nie poruszyła się pod wpływem jego głosu. Przeszył go dreszcz strachu. Podniósł się chwiejnie na nogi. Roh chwycił miecz tak, jakby groził, że go wyciągnie.

- Roh! - zawołał Vanye ochrypłym głosem. - Roh, coś ty uczynił?

- Ona? - Roh spojrział w dół na leżącą na ziemi postać

Morgaine.

- Nic jej nie jest, tak samo jak tobie. Głowa trochę ją poboli, gdy się obudzi. Nie pozwolę się więcej tak traktować, Chya Vanye - tak jak ona to robiła. Mam prawo wiedzieć, czemu udzieliłem wam schronienia we własnym dworze. Tym razem otrzymam od ciebie odpowiedź. Jeśli będę z niej zadowolony, pozwolę wam obojgu odejść i zdam się na waszą łaskę, ale jeśli nie, to przysięgam, kuzynie, że wezmę te przeklęte przedmioty, wyrzucę je tam, gdzie nie będzie można ich znaleźć i zostawię was dla ludzi z Hjemuru i wilków.

- Roh, jesteś próżny i szalony. Musisz też być pozbawiony czci, żeby uczynić taką rzecz.

- Jeśli jesteś prawy - odparł Roh - i ona również, wówczas możecie odczuwać gniew. Muszę to przyznać. Nie kieruje mną jednak pycha. Thiye jest wystarczająco zły. Nie chcę drugiego Irien. Nie chcę więcej wojen aujalów, ani drugiego Hjemuru. Myślę też, że jesteśmy bezpieczniejsi z samym Thiyem niż z Thiyem i drugim nieprzyjacielem na północy. To my giniemy w ich wojnach. Udzieliłem jej pomocy. Obroniłbym ją w Kath Svejur, gdyby tego potrzebowała. Pomógłbym jej, kuzynie, ale potraktowała mnie jak wroga. Jak sługę, którego można porzucić. Sądzę, że to wszystko, czym my, mieszkańcy Korisu, kiedykolwiek dla niej będziemy. Traktuje wolnych ludzi tak samo jak ciebie, który musisz się z tym godzić. Może tobie odpowiada pozycja, jaką przy niej zajmujesz. Mnie nie.

- Jesteś szalony - powiedział Vanye, zbliżając się do Roha o krok bliżej, niż tamten sobie życzył. Jego ręce zaczęły wyciągać z pochwy "Odmieńca".

- Odłóż to - syknął Vanye gwałtownie. - Nie, nie wyciągaj tego.

Roh poczuł naturę broni, którą trzymał w ręku. Sprawiał wrażenie, jakby chciał ją natychmiast rzucić na ziemię, schował ją jednak bezpiecznie do pochwy i cisnął z obrzydzeniem na śnieg.

- Broń i wojny aujalin - oznajmił ze wstrętem. - Koris dość ich już wycierpiał, kuzynie.

Morgaine zaczynała odzyskiwać świadomość. Usiadła nagle ze związanymi rękoma, zachwiała się i omal nie upadła. Roh podtrzymał ją. Gdyby obszedł się z nią brutalnie, Vanye rzuciłby się na niego tak jak stał. Roh jednak poprawił jej futro i pomógł jej usiąść, choć nie sprawiał wrażenia, że cieszy się z tego, iż musi jej dotknąć. Morgaine ze swej strony wyglądała na oszołomioną.

Posłała Vanyemu spojrzenie, w którym nie było nawet wyrzutu. Wyglądała na zdumioną i przestraszoną. Zabolało go serce na myśl, że nie potrafił służyć jej lepiej.

- Liyo - powiedział. - Ten oto mój kuzyn powalił mnie od tyłu. Nie jest chyba złym człowiekiem, ale wielki z niego idiota.

- Zabieraj się - usłyszał od Roha. - Usłyszałem już od ciebie wszystko. Teraz porozmawiam z nią.

- Wypuść mnie - odparła Morgaine. - A daruję ci to. Przerwał im jednak jakiś dźwięk, z początku cichy, poniżej granicy słyszalności, później narastający ze wszystkich stron - chrzęst śniegu pod stopami. Nadchodził ze wzrastającą częstotliwością.

- Roh! - krzyknął przerażony Vanye. Rzucił się na śnieg w stronę miejsca, gdzie leżał "Odmieniec". Nagle runęły na nich ciemne ciała ludzi warczących jak zwierzęta. Roh padł na ziemię zalany czarnym ludzkim potopem. Następna fala zakryła Vanyego, którego ręce związane były przy nogach. Przekręcił się na plecy i kopnął jednego z napastników, aż ten zaczął wić się z bólu. Po chwili jednak unieruchomiono go, trzymając go za kolana. Sznur wpił mu się w kostki, niweczając wszelką nadzieję na opór. Pozostawili go wtedy w spokoju, by patrzeć, jak usiłuje się podnieść na kolana. Śmiali się, gdy dwukrotnie zachwiał się i upadł. Za trzecią próbą udało mu się. Zaczepnął powietrza i spojrzął spode łba w ich zarośnięte twarze.

To nie byli Hjemurowie ani Chya.

Ludzie z Leth, bandyci z tylnej części sali. Rozpoznał najgroźniejszych z nich.

Przez chwilę panowała cisza. Vanye stracił dech niemal zupełnie. Pochylił się lekko, aby zaczerpnąć powietrza, po czym ponownie podniósł głowę, aby przyjrzeć się z uwagą swoim strażnikom.

Poszturchiwali Roha, usiłując przywrócić mu przytomność. Morgaine zostawili w spokoju. Nogi miała związane w kostkach, tak samo jak on. Leżała oparta plecami o skałę, spoglądając na nich oczami wilczycy.

Jeden z bandytów trzymał w ręku "Odmieńca". Wyciągnął go częściowo z pochwy. Morgaine przyglądała mu się z zainteresowaniem, jak gdyby w głębi serca pragnęła, aby posunął się dalej w swej ignorancji.

Jednakże z góry zbliżali się jeźdźcy. Ręce napastnika schowały z trzaskiem miecz do pochwy. Bandyci oczekiwali stojąc, aż mężczyźni na koniach wjadą na polankę. Para bijąca z końskich pysków lśniła w świetle gwiazd.

- Dobra robota - powiedział Chya Liell.

Zsiadł z konia i rozejrzał się wokół. Jeden z bandytów pokazał mu zdobyte rzeczy - cały ekwipunek Morgaino oraz "Odmieńca", którego Liell ujął w ręce z szacunkiem i pożądaniem.

- Dzieło Chana - powiedział. Ukłonił się ironicznie Morgaine. Przyjrzał się na wpół przytomnemu Rohowi i roześmiał się z radością, gdyż on i młody pan Chya od dawna byli wrogami.

Na koniec podszedł do Vanyego i, gdy tamten zatrząsał się ze wstrętu, uklęknął przy nim i uśmiechnął się z wyższością, po przyjacielsku, kładąc rękę na ramieniu z aż nazbyt wielką zachłannością.

- Ilin Nhi Vanye i Chya - powiedział cicho. - Dobrze się czujesz, Nhi Vanye?

Vanye pragnął splunąć na niego. Było to wszystko, co mu pozostało. Jednak zaschło mu w ustach. Ręka jednego z ludzi Leth trzymała go z tyłu za kołnierz tak, że omal się nie udusił. Nie mógł się nawet wzdrygnąć, gdy czułe palce Liella zaczęły masować obolałe miejsce na jego skroni.

- Bądźcie z nim ostrożni! - rozkazał Liell. - Wszelkie szkody lub niewygody, jakie ucierpi, przejdą wkrótce na mnie, a ja wam za nie odpłacę.

Następnie zwracając się do wszystkich zebranych, dodał:

- Posadźcie ich na konie. Czeka nas przejażdżka.

Dzień ponownie chylił się ku wieczorowi. Nieskalane śniegi rozciągające się przed nimi lśniły czerwono. Posuwali się powoli ze względu na tych, którzy wędrowali na piechotę, jak również na rozrzedzone powietrze. Liell jechał na przedzie. Odzyskał swego karego wierzchowca i ekwipunek. "Odmieniec" zwiślał u jego siodła, pod kolanem. Kilku letheńskich jeźdźców oddzielało go od Morgaine. Dwóch ludzi prowadziło Siptaha, dwóch innych konia pożyczonego Rohowi, który nie miał siły iść pieszo. Czarna klacz, na której jechał Vanye, stanowiła dar od Liella, oferowany z cyniczną uprzejmością w zamian za tę, którą mu zabrał.

194

Vanye ręce miał związane na plecach, a stopy przytrzymane bezpiecznie do boków klaczy za pomocą powrozów, nie mógł więc nawet rozprostować nóg umęczonych długą jazdą, a tym bardziej pomóc Morgaine. Zarówno ona, jak i Roh, znajdowali się w nie lepszym położeniu. Roh przez większość czasu zwiślał bezwładnie z siodła. Sprawiał wrażenie, że spadnie na ziemię, jeżeli pękna podtrzymujące go sznury. Morgaine przynajmniej nie wyglądała na ranną, choć Vanye mógł sobie wyobrazić, jakie męczarnie przeżywała.

Liell był aujalem i starożytna wiedza nie była mu obca. Być może nawet potrafił przeczytać runy na "Odmieńcu", a wtedy Thiye, nazywany przez Morgaine ignorantem wścibiającym nos w sprawy, których nie rozumie, napotka rywała, któremu nie zdoła się przeciwstawić.

Ponownie wjechali pomiędzy drzewa. Wokół widać było sosny i gęste zarośla. Gdzieś tam nad powierzchnię wystawały czarne skały. Drzewa stawały się coraz bardziej wykrzywione i karłowate, dalekie od kształtu charakterystycznego dla ich gatunku. Z nagich konarów zwiślały pęki schorzałych igieł. Nagie pnie zastygły w przerażających skrętach. Nagle w śniegu ujrzeli martwego smoka.

Tak to przynajmniej wyglądało - powykęcane ciało pokryte łuską. Konie spłoszyły się na jego widok. Stworzenie było straszliwe, a po zamrożeniu w śmiertelnych drgawkach wyglądało jeszcze okropniej. Jedno z błoniastych skrzydeł na wpół rozwinięte, zeszywniało już całkowicie. Po drugiej jego stronie pozostały tylko nagie kości ogryzione przez inne zwierzęta.

Letheni ominęli truchło szerokim łukiem. Vanye spojrział na nie, gdy je mijali i poczuł w gardle smak żółci. Widzieli również inne martwe stwory. Większość z nich była niewielkich rozmiarów. Jeden przypominał człowieka, lecz wilki zdażyły już dobrać się do niego.

Zaczęła zapadać ciemność. Posuwali się uważnie naprzód, w półmroku, wśród zniekształconych sosen. Ludzie trzymali łuki w pogotowiu, nieustannie obserwując gęstwinę. Wtem, dość nagle, las stał się rzadszy. Na grzbiecie góry wznosił się mniejszy pagórek, zaś na jego szczycie potrzaskane jasne kolumny pokryte runami, nie pasujące do czarnych skał stożka Ivrel.

I Brama.

Była olbrzymia, niepodobna do Bramy w Aenor-Pywn, czy w Leth nad jeziorem Domen. Metal nie uległ korozji przez lata. Jej migotliwa pajęczyna miała w sobie głębię. Wewnątrz czarnego łuku błyszcząły gwiazdy widoczne na

białym tle skrytej w półmroku Ivrel. Powietrze w tym miejscu działało na nerwy. Konie płoszyły się. Ludzie zsiędlili z siodeł i przygotowali się na oczekiwanie.

Najpierw pomogli zsiąść Morgaine. Rozwiązali jej kostki i przywiązali do jednej z nielicznych powykręcanych sosen, rosnących tak blisko Bramy. Następnie w ten sam sposób potraktowano Roha, choć ten próbował stawiać im opór.

Na koniec zszadzano z siodła Vanyego, który sądził, że postąpią z nim tak samo, jak z tamtymi. Liell jednak rozkazał, aby przyprowadzono go do niego.

Vanye kopnął jednego z trzymających go mężczyzn, który padł na ziemię wijąc się z bólu. Drugi uderzył go, powalił na ziemię kopniakiem i zaczął okładać pejczem.

Vanye skulił się, by osłonić się przed ciosami. Ponieważ chroniła go zbroja, nie czuł bólu, z wyjątkiem chwil, gdy uderzenia pejcza padały na głowę lub ręce.

Nagle Liell znalazł się tuż przy nim, przeklinając następnika. Ktoś pomógł mu wstać. Ten, który go bił, wycofał się pokornie.

- Nie dotykać go! - zawołał Liell. - Nie zróbcie mu żadnej szkody! Zabiję każdego, który zostawi na nim ślad. Zdjął ostrożnie płaszcz z Vanyego i podał go jednemu ze swych ludzi, po czym obszedł jeńca wkoło i zaczął go dotykać. Vanye wzdrygnął się, musiał jednak znosić cierpliwie delikatne obmacywanie. Najwyraźniej Liell chciał sprawdzić, czy kości są całe.

Vanye napawał się z gorzką satysfakcją bólem głowy i jeszcze większym bólem w nogach i stawach, gdzie więzy poraniły mu skórę. Tylko w ten sposób mógł zemścić się na Liellu. Bardzo szkoda, pomyślał nagle, że wzięli go tak ła-

two. Myśl, że Roh drogo zapłaci za swoją głupotę, nie była pocieszeniem. W tym czasie nic już nie zostanie z Nhi Vanyego, choć jego ciało będzie nadal żyło i poruszało się jako schronienie dla Liella-Zri, który zemści się wtedy i na Rohu, i na Morgaine.

Ta wizja nawiedziła go, gdy Liell zaczął wspinać się w górę, a jego ludzie poprowadzili go w ślad za nim po długim, nagim stoku. Odebrało mu to resztki odwagi. Upadłby, gdyby ludzie po obu stronach nie powstrzymywali go. Potknął się na jednym z luźno leżących kamieni. Liell kroczył pewnie przy nim po tym nie porośniętym obszarze, gdzie powietrze raniło płuca jak lodowate ostrze. Nad nimi była już tylko Brama i gwiazdy w jej wnętrzu oraz wiatr, który popychał ich delikatnie wprost ku tej otchłani. W miarę jak się zbliżali, stawała się coraz większa, aż wreszcie przesłoniła całe niebo. Prowadzący go Letheni zawahali się i Vanye pomyślał przez chwilę pełną szaleńczej nadziei, że stracą odwagę i wypuszczą go. Jednakże przekleństwa i groźby Liella sprawiły, że pociągnęli go dalej w górę, aż wreszcie stanęli, uginając się pod wpływem potężnego wiatru, na płaskim kawałku skały w pobliżu Bramy. Tam Liell rozkazał im rozwiązać mu ręce i trzymać go mocno.

-• Nie wejdę do uszkodzonego schronienia - oświadczył.

Rozwiązali go, lecz nadal wykręcali mu na plecach odrętwiałe ramiona i bezsilne nadgarstki z tak okrutną siłą,

że nie był zdolny się wyrwać. Spojrzał oszołomiony w wielką otchłań.

Mimo że stał bez ruchu, zachwiał się i stracił równowagę.

- Jak to się robi? - zapytał Liella. Nie pragnął tego wiedzieć, lecz odwaga zawsze zawodziła go w obliczu nieznanego. Obawiał się, że jeśli się nie dowie, okryje się w ostatniej chwili hańbą - będzie krzyczał. Znał rzeczy należące do Morgaine i wiedział, że rządzą nimi jakieś prawa. Chciał wierzyć, że nawet w tym przypadku jest tak samo.

- To bardziej nieprzyjemne dla mnie niż dla ciebie - odparł Liell. - Muszę zniszczyć twoje obecne ciało tak, by umarło, zaś ty - przez chwilę wyda ci się tylko, że spadasz. Nigdy nie osiągniesz dna. Nie bój się. Nie będziesz cierpiał.

Liell wiedział o jego strachu i drwił z niego w ten sposób. Vanye zacisnął wargi i pochylił głowę. Nie odpowiedział ani słowem.

- Ci twoi towarzysze - ciągnął Liell. - Czy żywisz do nich sympatię?

- Tak - odparł.

Liell rozciągnął wargi w wąskim uśmiešku, lecz w jego oczach nie było wesołości.

- Jeśli chodzi o Chya Roha, to jest to stara sprawa osobista, którą załatwię z radością. To, co pozostawisz mi w spadku, całkowicie wystarczy, żeby po załatwieniu się z panem Chya zażądać tego, czym włada, ze względu na wasze pokrewieństwo. Podobnie Moriya. Nigdy nie doceniałeś swojego dziedzictwa tak, jak ja. Nie obawiaj się zbytnio o Morgaine. Bez swojej broni jest nieszkodliwa, a posiada wiedzę, która mnie bardzo interesuje. Swym młodym ciałem zainteresuje mnie ona też w inny sposób. Elis mnie nudzi.

Vanye usiłował splunąć, lecz Liell w ogóle się tym nie przejął. Ponownie zaczęli wspinać się w górę. Vanye szarpnął się, lecz brutalnie wykręcono mu ręce. Zaprzestał oporu i zatopił się w tym, co majaczyło przed nimi.

Całe pole widzenia pokrywała ciemność, gwiazdy liczniejsze od tych, które świeciły na niebie. Obłoki za obłokami gwiazd. Nieruchome powietrze paraliżowało. Wydawało się, iż za chwilę wessie ich w migotliwą pustkę. Choć wspinali się w górę, mieli wrażenie, że zapuszczają się w dół, do czeluści, w którą można opadać bez końca i że w niemożliwy sposób pochylają się nad nią. Góra, na którą się wspinali, wydawała się pozbawiona właściwej styczności z ziemią. Wiatr zawodził wkoło nich, głośny i złowieszczy, brzęczał przepojony mocą, przyćmiewał zmysły.

Liell podszedł do Bramy i dotknął jej łuku. Jego palce poruszyły się i natychmiast wewnątrz Bramy zapanowała ciemność. Wiatr ucichł. Buczenie przybrało inny, wyższy ton. Opalizujące światło - takie samo jak blask "Odmieńca" - zaiskrzyło wewnątrz łuku i eksplodowało w ich stronę.

Prowadzący go ludzie zachwiali się na nogach. Vanye odwrócił się i rzucił w dół stoku. Pośliznął się i stoczył w dół. Zatrzymał się w nieco bardziej płaskim miejscu i ponownie dźwignął na nogi oszołomiony i oślepiiony. Sły-

szał głosy krzyczące w zapadającej ciemności zarówno z przodu jak i z tyłu.

Uciekać! - to była jedyna myśl, która w tej chwili kołatała mu się w głowie. Jedynie z trudem przebiła się przez nią inna: Morgaine.

Nie mógł jej pomóc. Tuzin ludzi dosięgnie go, zanim zdąży ją uwolnić.

"Odmieniec".

Pobiegł przed siebie. Ślizgał się co chwila. Pomimo że chroniła go zbroja, zostawił na piargach skórę dłoni, gdyż dwukrotnie skaleczył się o odłamki. Ścigający usiłowali dotrzeć na dół przed nim. Zaczepnął powietrza. Skręcił w lewo, przez co oddalił się od Morgaine i Roha. Po drodze rozgonił konie. I nagle ujrzał przed sobą znajomego, karego ogiera. Rzucił się na siodło, lecz spłoszył tym wierzchowca. Złapał jednak za siodło, wdrapał się na nie, usadowił mocno i chwycił za wodze. Zwierzę znało go, ruszyło więc naprzód z kopyta.

Jeźdźcy galopowali już w pogoni za nim. Słyszał za sobą tumult i krzyki, choć nie wypuszczono jeszcze strzał. Nie próbował nawet kierować się w stronę wzgórza. Nie chciał narażać się na tę straszliwą wspinaczkę i wiszący tam w powietrzu ciężar, gdy ścigający go prześladowcy i wystraszony koń dodatkowo utrudniali sprawę. Skierował się z powrotem w stronę, z której nadjechali.

Jeśli dostęp do Bramy był dla niego zamknięty, pozostawało jeszcze Ra-hjemur, gdzie rządził Thiye. Poczł wieszającego pod kolanem "Odmienca". Jego niespokojne palce dotknęły znajomej smoczjej rękocyści. Z tym mieczem, karminionym mocą Bramy, w rękę, mógł się przebić aż do samego serca mocy Thiyeego i unicestwić jej źródło, czymkolwiek ono było, zniszczyć Bramę i - jak wiedział - również samego siebie i Morgaine.

Oraz Liella.

Świat nie widział jeszcze tego, co Liell mógłby dokonać, dodawszy moc Morgaine do swojej własnej. W porównaniu z tym złem Thiye był niczym.

Poganiał konia okładając go bez litości. Pędził przez pokryte śniegiem zbocza i ścieżki wciąż w dół, robiąc wszystko, co mógł, aby oddalić się od Ivrel.

Nawet Liell musiał się go teraz strzec. Reszta uzbrojenia Morgaine była niczym w porównaniu z mocą opalizującego miecza, który wysłał napastników, przerzucał ich w inne miejsce, wypijał ich życie i ciskał w nicość. Z bronią o takiej mocy w rękach byłoby szaleństwem zajeździć konia będącego jego największą szansą na dotarcie do Hjemuru.

Gdy zjechał z najbardziej stromego odcinka drogi, odzyskał rozsądek, zwolnił wreszcie kroku i pozwolił koniowi odetchnąć.

Szlak prowadził wzdłuż niżej położonego stoku, po czym skręcał do Ra-hjemur. To musiała być właściwa droga, gdyż w Hjemurze nie było żadnej innej.

Nie zwalniał tempa. Letheni mogli nie mieć ochoty go ścigać, lecz Liell z pewnością zmusi ich do tego. Choć Morgaine sama przyznawała, że jest bojaźliwa, skłonna raczej poświęcać życie innych niż swoje własne, była jednak gotowa podejmować straszliwe ryzyko, gdy okazywało się to

konieczne. Liell z pewnością nie będzie inny. Gdy ostrożność zawiedzie, pójdzie na całość, nie cofając się przed niczym. Gdy dowie się wreszcie, że stawką są same Bramy, z pewnością wyruszy w pościg. Jedyna nadzieja leżała w tym, że musiał on dopiero zrozumieć, czym był "Odmieniec" oraz fakt, że morijski ilin mógł wiedzieć, co należy z nim uczynić.

Nagle runął na niego jakiś cień. Koń spłoszył się z przenikliwym rżeniem. Vanye otrzymał cios w bark i przeleciał ponad końskim zadem głową w dół. Spadł na śnieg i twar-
dy lód.

Poruszył kończynami. Kości miał całe, choć potłuczone. Spróbował odzyskać panowanie nad swoimi poobijanymi członkami i wstać, lecz na jego szyi poniżej brody wsparł się czubek miecza i zmusił go do odchylenia głowy w lodowaty śnieg. Jakaś postać pochyliła się nad nim. Raka oparta na kolanie była zbyt krótka.

- Bracie - szepnął do niego Erij.

ROZDZIAŁ X

- Erij - Vanye po raz drugi spróbował się podnieść. Tamten cofnął się nagłym ruchem i pozwolił mu na to. Następnie zatknął sobie honorowy miecz z powrotem za pas i skierował się w górą drogi, gdzie tuż obok wierzchowca Vanyego stał jego koń. Vanye wygramolił się z rowu utykając. Starał się dogonić brata, by mu przeszkodzić, lecz na próżno. Ku swemu przerażeniu ujrzał, że Erij dostrzegł już, co kary koń ma u siodła.

Na twarzy Erija pojawił się triumfalny uśmiech, gdy wziął w rękę schowany w pochwie miecz. Czekał na Vanyego z "Odmieńcem" opartym o zagięcie ręki i dłonią na jego rękojęści.

Ujrawszy to Vanye zatrzymał się. Wszystkie członki mu drżały. Spróbował zaczerpnąć tchu i zebrać myśli, aby przemówić jakoś Erijowi do rozsądku. •

- Pewien qujał z Leth... - zaczął ledwie słyszalnym głosem. - Erij, Erij, Letheni ścigają mnie, a z nimi sam diabeł. Obaj jesteśmy w niebezpieczeństwie. Oddalmy się stąd. Pójdę z tobą. Nie będę próbował uciekać. Przysięgam, Erij.

Erij zamyślił się. Jego ciemne oczy lśniły w ciemności. Nagle podjął decyzję. Skinął głową, zawiesił sobie "Odmieńca" za pasem - jako jednoręki nosił go u biodra, nie z tyłu - i wskoczył na siodło. Vanye wciągnął swe obolałe ciało na koński grzbiet dopiero za drugą próbą, po czym przynaglił swego wierzchowca do galopu w ślad za rumakiem Erija.

Zjechali z drogi w boczną ścieżkę, a następnie zagłębili się w las, choć za każdym zakrętem wyglądał on bardziej złowieszczo. Konie posuwały się teraz naprzód bardzo ostrożnie, kierując swe kroki w dół po kamienistym grun-

cie. Leżały tu jeszcze płaty śniegu, na których mogli zostać ślady, lecz las i zarośla były tak gęste, że pościg nie był łatwy dla grupy ludzi, zaś ślady niezbyt wyraźne. Vanye nie czuł się jednak w tym miejscu bezpiecznie. Drażył go niepokój, jak zawsze, gdy Erij zastawiał na niego zasadzkę. Zupełnie, pomyślał, jak w tamtym śnie w Aenor-Pywn. Czuł, że jechał już przez tę okolicę w jakimś koszarze, w którym spotkała go śmierć. Drzewa i krzewy rysowały się przed jego oczyma. Czepiał się ich widoku tak mocno, jak palce ostatniego uchwytu nad przepaścią. To już koniec - pomyślał - musiałem być szalony, żeby pójść tak za nim. Siły jednak zupełnie go opuściły, zaś Erij miał "Odmieńca", z którym wiązały się jego obowiązki ilina. Nagle, na polanie wśród drzew, Erij zatrzymał konia i rozkazał Vanyemu zsiąść z siodła.

Ogarnęło go przerażenie. O mało nie popędził konia do ucieczki. Zeskoczył jednak z siodła i złapał równowagę, uważając na obolałe kolana. Gdy Erij rozkazał mu wyjść na środek polany, ruszył niepewnie przed siebie.

- Gdzie ona? - zapytał go brat. Zsiadł z konia i odpiął "Odmieńca". Vanye zrozumiał wówczas, że Erij zamierza go zabić, gdy tylko usłyszy odpowiedź. "Odmieniec" zaczął nieubłaganie wysuwać się z pochwy. Erij znał już naturę tego miecza i był zdolny go użyć.

Vanye rzucił się na swego brata, złapał go wpół i powalił na ziemię. "Odmieniec", nadal skryty w pochwie, upadł wraz z nimi. Łokieć Erija walnął go w twarz i oślepiony Vanye znalazł się nagle pod spodem. Przegrywał tę walkę, tak jak każdą, którą toczył ze swymi braćmi. Nic nie widział, nie mógł oddychać, przez chwilę nic nie czuł. Ostatnim wysiłkiem podźwignął się. Szukał punktu zaczepienia. Nagle jego ręce zaczęły walić głową Erija w pokryty śniegiem grunt raz za razem, aż członki przeciwnika osłabły i Erij zaprzestał walki. Dźwignął się na nogi i odszukał "Odmieńca". Umysł zaczął mu się rozjaśniać. Podszedł do konia z mieczem w ręku. Szukał na oślep wodzy. Koń się spłoszył. Erij rzucił się na Vanyego z tyłu i zadał mu cios w plecy. Vanye padł na ziemię oszołomiony, niemal pod końskie kopyta. "Odmieniec" wypadł mu z odrętwiałych palców. Nie mógł go dosięgnąć. Gdy spróbował to zrobić, Erij kopnął go w bark. Zaczął się podnosić, lecz zachwiał się na nogach i nadział na pięść brata. Padł z powrotem na śnieg. Erij runął na niego i przycisnął kolanem do ziemi. Jego kikut był wystarczająco silny, aby odtrącić na bok rękę Vanyego. Erij wyszarpnął zza pasa honorowy miecz i wsunął go pomiędzy rzemienie jego zbroi, przecinając je jak przegniłe sznurki.

- Jedna trzecia Nhi zginęła w Irn-Svejur - wydyszał Erij ochryplym głosem. - Przez ciebie... i przez nią. Gdzie ona jest?

Vanye przełknął ślinę, czując nacisk miecza. Nie zdołał mu odpowiedzieć. Usiłował instynktownie zaczerpnąć oddechu. Zamarł bez ruchu, gdy poczuł wilgoć płynącą mu po szyi. Ostry ból promieniował od czubka miecza.

- Odpowiadaj - syknął Erij.

- Leth - poruszył ramieniem, które wydało mu się tak ciężkie, jak całe jego ciało. Znieruchomiał. - Qujal... ludzie z Leth schwytali ją, aby wyciągnąć z niej wszystko,

co wie. Erij... Erij, nie zabijaj mnie. Połączą jej wiedzę, swoją własną oraz Thiyego i skierują przeciwko nam. Nacisk ustał, lecz miecz nadal siniał nad nim. Nikła nadzieja na to, że przyciągnie uwagę Erija, sprawiła, że Vanye oblał się potem. Kolano Erija utrudniało mu oddychanie. Czuł, że ponownie traci przytomność. Był oszołomiony i odrętwiały.

- A ty, bękarcie? - zapytał Erij. - Co porabiasz sam na swobodzie?

- Hjemur... źródło. To może ich powstrzymać. Mam zabić Thiyego... zdobyć Ra-hjemur. Erij, puść mnie.

- Bękarcie, ścigałem cię od Irn-Svejur. Pozostali wystraszyli się Hjemurów oraz broni Morgaine, przysięgłem im jednak, że udam się tam, gdzie będzie trzeba, aby przynieść twoją głowę. Przyprowadziłem cię żywego i zdrowego, ale wiem, że z jedną ręką nie zdołam tego dokonać. Za Nhi i za Myya, za San i za Torin. Uczynię to zwłaszcza ze względu na zabitych Nhi. Potem zobaczę, jaki użytek zdołam zrobić z tego, co mi dałeś. Tak długo, jak długo mam ten miecz, nie muszę się obawiać żadnych wrogów. Jeśli on miał zaprowadzić cię bezpiecznie do Ra-hjemur, może uczynić to samo dla mnie.

- Pójdźmy więc tam razem.

- Dałem ci już szansę na podzielenie się władzą, bękarcie. Nie było to kłamstwo, ty jednak kochałeś wiedzmę bardziej niż Morija. Byłeś nawet gotowy zabijać dla niej Nhi.

- Erij, tyle przynajmniej wiesz, że nie złamię przysięgi. Pomóż mi dotrzeć do Ra-hjemur. Teraz. Zanim zdobędzie je nasz nieprzyjaciel. Pozwól mi się zemścić na Thiyem - za Morgaine. Na aujalu też, jeśli zdołam. Mówię rozsądnie, Erij. Posłuchaj mnie. W Ra-hjemur z pewnością mają broń i jeśli wpadnie ona w ręce naszego wroga, nawet "Odmieniec" może nie wystarczyć, aby zdobyć cytadelę. Uczyn to. Pójdź ze mną. To właśnie jej przysięgłem - skończyć z Thiyem. Potem będziemy mogli załatwić sprawy pomiędzy nami i nie będę się na nic skarżył.

Skryte w cieniu oczy Erija przyjrzały mu się uważnie.

- Zostałeś ilinem wyrokiem naszego ojca, za Kandrysa. Jeżeli cię wysłucham, zostaniesz z tego oczyszczony. Musisz jednak jeszcze zadowolić mnie. Przypuśćmy, że skazałbym cię na następny rok służby.

- Myślę, że to zbyt mało, żeby cię zadowolić.

- Przysięgnij - powiedział Erij. - Tak samo, jak przysięgałeś jej, że zostaniesz przy mnie, bym mógł zażądać twojej służby, bez żadnych podstępów, ani pomocy od niej, gdyby w jakiś sposób ocalała. Nie będzie to rok, za który mi podziękujesz, bękarcie Chya, i nie powstrzyma mnie to przed tym, aby później oddać cię kuzynom Parena i Brena. Jeśli jednak jesteś gotów zapłacić tę cenę, powstrzymam się przed poderżnięciem ci gardła tu i teraz. Udam się nawet z tobą do Ra-hjemur. Czy zgadzasz się na to, bękarcie? Zapłacisz tę cenę?

- Tak - odparł Vanye bez wahania. Mimo to czubek miecza Erija nadal spoczywał mu pod brodą.

- Idę o zakład - ciągnął Erij - że umiesz posługiwać się tym mieczem i że znasz wiedzmę lepiej niż ktokolwiek spośród żywych. Jeśli zdobycie Hjemuru uwolni cię od

niej - jeśli to była usługa, której od ciebie zażądała, a nie po prostu rok służby - zgódźmy się, bracie, że gdy Hjemur upadnie, będzie należało do mnie i - od tej chwili - ty również. Nie powiesz też o tej przysiędze ani jej, ani Thiye-
rau, ani nikomu.

Vanye dostrzegł pułapkę, którą Erij zastawił na Morgaine. Sam podstępny, podejrzewał zdradę u wszystkich. Podziwiał jego chytryść. Erij był Myya do szpiku kości. Przewidział wszystkie możliwości poza jedną - że żaden z nich nie przeżyje zdobycia Hjemuru. Nie podobała mu się ta przysięga. Była zbyt szczelna.

- Zgadzam się - powiedział.

- Przysięgnij na duszę, że mnie nie zdradzisz |- dodał Erij. - I oddasz mi Hjemur, Thiye, wiedzmę i samego
aujala.

- Tych, którzy przeżyją - zgodził się Vanye.

- I że nie opuścisz mnie, ani nie podniesiesz przeciw
mnie ręki, zanim to się nie stanie. "

- Zgadzam się.

- Podaj rękę. /

To nie było właściwe. Zgodnie z kodeksem ilina nie powinien składać drugiej przysięgi. Każda sprzeczność pomiędzy nimi obciąży jego duszę. Jednakże Erij nie ustępował i Vanye podał mu dłoń. Zacisnął zęby, gdy tamten ciał przez nią mieczem. Erij dotknął rany ustami. Vanye uczynił to samo. Wypluł krew na śnieg. Nie było to żądanie, gdyż nie uczyniono znaku, była to jednak przysięga i to wiążąca. Gdy Erij uwolnił go i pozwolił mu wstać, Vanye uklęknął, zaciskając w dłoni śnieg, który łagodził ból, podobnie jak uczynił to ongiś w jaskini w Aenor-Pywn. Drżał cały. Był tak nieszczęśliwy, że omal nie utracił zmysłów. Liyo, której służył, mogła, zgodnie z prawem, przekląć jego duszę i skazać ją na wieczne zatracenie. Przyznał swemu bratu to samo prawo. Przypuszczał, że może liczyć na zmiłowanie ze strony Morgaine, ale nigdy Erija. Znał swoją liyo i wiedział, że choć pod innymi względami bywała okrutna, nie przeklnie go. Ta wiedza czyniła go przewrotnie pewnym tego, której przysięgi dotrzyma. Przez co zabije swojego brata, tak jak zrobił to z jedną trzecią Nhi.

Uczynił to dla swojej liyo. W jej służbie. Przysięga ilina zmusiła go do zabójstwa kuzynów. Wydawało mu się wtedy, że nie zdoła już popełnić gorszego czynu.

Teraz miał złamać przysięgę i zabić własnego brata, przemilczając najważniejszy fakt.

"Muszą ci to powiedzieć jasno: jeśli użyjesz "Odmieńca" w taki sposób, jak ci kazałam, zginiesz".

"Odmieniec" niszczył wszystko, bez wyboru.

- Wstawaj na nogi - rozkazał Erij. Przytroczył sobie

"Odmieńca" do siodła. Swój własny miecz przeniósł na prawą stronę, gdzie nie mógł go dosięgnąć. Następnie chwycił wodze, wdrapał się na siodło i zaczął na Vanyego. Ten podniósł się i odszukał wzrokiem karego ogiera, który stał ze zwisającymi luźno wodzami w pewnej odległości, po drugiej stronie polany. Włożył stopę w strzemień i wspiał się na siodło. Poczuł szarpnięcie w przemęczonych mięśniach.

- Ty jesteś przewodnikiem - powiedział Erij. - Prowadź. Nie zapomnij o przysiędze.

Cofnął się tam, skąd przybyli, a potem skierował na północ. Miał zamiar wrócić na drogę w innym miejscu niż to, w którym ją opuścili. Gdy ujrzeli ją wśród drzew, stwierdził z ulgą, że jak na razie na śniegu nie było żadnych śladów.

Gdy tylko wyjechali na otwartą przestrzeń, coś zatrzępotało wśród drzew zaniepokojone ich przejściem - nagły odgłos skrzydeł w ciemności. Erij spojrzął w tamtą stronę z nienawiścią widoczną na twarzy - pogarda człowieka prawej krwi dla stworów zamieszkujących ten las.

Vanye przestał już obawiać się tych rzeczy. Narzucił ostre tempo, wiedząc, że zostawiają wyraźny ślad dla Liella i jego ludzi. Nie można jednak było nic na to poradzić.

Istniała tylko jedna droga prowadząca wprost do serca Hjemuru i na niej właśnie się znajdowali. Kary ogier był wyczerpany. Nie sposób było prowadzić go dalej w tym tempie, gdyż miał za sobą ciężką drogę do Ivrel. Wreszcie Vanye ściągnął wodze i obejrzał się za siebie. Trzeba było zastanowić się nad postojem. To nie było odpowiednie miejsce. Z jednej strony mieli las, z drugiej wysokie skały.

- Ruszajmy - powiedział Erij.

- Nie chcę zajeździć konia - sprzeciwił się Vanye, nie zatrzymał się jednak.

Nagle Erij popędził swego wierzchowca, a rumak Vanyego posłusznie dotrzymał mu kroku. Vanye opanował gniew. Miał nadzieję, że koń wytrwa do bram Ra-hjemur.

Na śniegu, w miejscu, gdzie droga, której się tu nie spodziewali, przecinała tę, po której jechali, natrafili na ślady.

Prowadziły ze strony Ivrel. Piesi - konie - ślady drobnych stóp mieszkańców z północy - Hjemurów - pomieszane z dużymi śladami Andurinów. A także krew na śniegu i porzucone ciała leżące przy drodze. Vanye zeskoczył z konia, nie zważając na to, że Erij mu tego zabronił. Przebiegł szybko od ciała do ciała, odwracając je tak, aby ujrzeć twarze. Dwaj byli Lethenami, a pozostali trzej małymi ciemnoskórymi ludźmi z Hjemuru. Jeden miał jasne włosy, jak qujal. Zalała go fala ulgi.

Erij syknął, aby zwrócić jego uwagę. Nagle usłyszał jakieś poruszenie - odgłos śniegu chrzęszczącego pod stopami i stuk spadających kamieni. Otrząsnął się ze swych myśli i spojrzął w górę. Ujrzał ciemną postać skuloną nad występem skalnym zwisającym nad drogą. Podbiegł do konia i wskoczył na niego. Zaskoczony zwierzę zerwało się do biegu. Złapał niezgrabnie za wodze i pochylił się lekko w siodle, tak samo, jak jego brat.

- Erij - wydyszał, gdy mógł już to zrobić. - Hjemurowie nadeszli od tyłu, lecz nie zdołali powstrzymać Chya Liella i Lethenów. Oni są na drodze, przed nami. Zwolnij, zwolnij, albo wjedziemy prosto na nich.

- Wtedy - odparł Erij - pozbędziemy się jednego z nieprzyjaciół.

Podobnie jak Morgaine i Roha, o ile jeszcze żyli. Erij, który dzierżył miecz w ręku, zabiłby ich oboje z równą chęcią, jak Chya Liella i Lethenów. Spór Nhi z Chya był zadawniony i pochłonał już wiele ofiar, zaś z Morgaine świeży jak Irn-Svejur i nadal bolesny.

- Daj mi miecz - poprosił go wtedy Vanye. Nie miał nawet sztyletu. - Jeśli nie jej, to przynajmniej jakaś broń.

- Nie za moimi plecami - odparł Erij. Była to obelga dla ich przysięgi. Miał jednak do tego prawo i przysięga nie przestawała przez to obowiązywać.

Vanye zacisnął zęby w gniewie. Dotrzymywał kroku Erijowi, choć sądził, że musi on być szalony, jeśli popędza konie tak bezlitośnie i jedzie, nie zachowując ostrożności, w ślad za kompanią, w której była Morgaine, po gorzkiej lekcji, jaką otrzymał w Irn-Svejur. Miał teraz nowy powód, aby żałować swej przysięgi. Erij zgubi ich obu i odda "Odmieńca" nieprzyjacielowi. Był niemal równie wielkim idiotą, jak Chya Roh, i był przy tym jeszcze bardziej szalony.

Droga wiła się nieustannie. Nie widzieli nic za zakrętami, gdyż z prawej strony zasłaniał im widok las porastający skaliste wzgórza, a z lewej drzewa rosnące niemal na samej drodze.

Wreszcie, co było nieuniknione, nadziali się na tył kolumny Liella. Tamci, ostrzeżeni hałasem, odwrócili się, aby powstrzymać ich za pomocą zapory z włóczni, wyglądającej w ciemności jak nastroszony cień.

Erij wyszarpnął z pochwy "Odmieńca" i bez wahania pozwolił jej opaść na ziemię. Popędził opierającego się konia wprost na włócznię. Ostrze załśniło opalizującym blaskiem i u jego końca pojawiła się niezwykła, usiana gwiazdami ciemność. Lethenów, którzy jej dotknęli, prędko pochłonęła nicość. Inni uciekli na boki, lecz wkrótce przystąpili do ataku z nowym zapalem. Zostało ich jednak niewielu, bardzo niewielu. Zamiast nich na drogę zaczęły gęsto opadać ciemne, odziane w futra postacie. Byli to Hjemurowie, wydający z siebie mroźące krew w żyłach wrzaski. Kiedy po raz ostatni spojrzął na wyprzedzającą ich kolumnę, dostrzegł błysk bieli. Wśród koni znajdował się Siptah. Letheński jeździec rzucił się do ucieczki, porzucając swych pieszych. Być może wiedzieli, co mają za plecami.

Pomiędzy nimi roiło się od ciemnych ciał. Vanye spał swego chwiejącego się na nogach konia, lecz w tym momencie złapano go i wraz z koniem przewrócono na ziemię. Jakaś włócznia ugodziła go boleśnie w żebra. Nie miał bronii, złapał więc za drzewce i spróbował wyrwać je z rąk nastpnika. Nagle Vanyego oplotły ramiona, które natychmiast wyciągnęły go z siodła. Błysnął miecz, jednakże ostrze odbiło się od zbroi, nieoczekiwanie dla niedoszęłego zabójcy. Inni również cięli mieczami, z podobnym skutkiem. Był boleśnie potłuczony. Tracił oddech. Nakryły go liczne ciała. Zaczął zapadać się w ciemność. I nagle stał się wolny. Spróbował dźwignąć się na nogi, lecz - nadal oszołomiony - legł na splamionym krwią śniegu. W uszach brzmiały mu krzyki, potem cisza i głuche zawrozczenie wiatru, które również raptownie ucichło. Usłyszawszy odgłos kroków na śniegu, dźwignął się na jedno kolano i spojrzął błędnym wzrokiem na Erija, który schował już miecz do pochwy. Nie było widać ciał, ani żadnych Hjemurów, jedynie ich dwóch oraz konie stojące bok przy boku.

Obejrzał się szybko, aby spojrzeć w stronę, w którą odjechali jeźdźcy. Tam również nikogo nie było.

- Jeźdźcy? - zapytał Vanye. - Zabici, czy uciekli?

- Uciekli - odparł Erij. - Gdybyś nie upadł... to z pewnością skutek krwi Chya w tobie. Wstawaj.

Vanye wstał. Nieoczekiwanie Erij wyciągnął rękę, by mu w tym pomóc. Gdy przyjrzał się bliżej swemu bratu, poczuł zdziwienie. Na jego twarzy widniał ten sam mroczny wyraz, który poznał w Ra-morij - gniew połączony z czymś innym, równie gwałtownym - lecz uścisk podtrzymującej go dłoni był pewny i delikatny.

- Dlaczego na mnie czekałeś? - drażnił go Vanye, który zaczął poważnie podejrzewać, że Erij żywi jednak do niego jakieś braterskie uczucia. - Czy aż tak bardzo pragniesz zemsty?

Wargi Erija zdrząły z gniewu.

- Możesz być bękartem, ale nie zostawię nawet śmieci Nhi na pastwę Hjemurów. Wsiadaj na konia.

Erij był człowiekiem pełnym sprzeczności. Pchnął go i uderzył jednocześnie. Nie był to kuksaniec, lecz mocny cios, po którym, nadal oszołomiony, Vanye opadł na jedno kolano. Podniósł się i podążył za bratem. Zatrzymał się, gdy długi miecz należący do tamtego padł na śnieg pomiędzy nimi- Podniósł go bez wahania.

I oto Erij stał już przy swym wierzchowcu i spoglądał na Vanyego ze strachem i nienawiścią bijącą z oczu.

Gdyby nie znał swego brata, pomyślałby, że jest on równie szalony jak sam Kasedre. Nagle jednak rozpoznał to uczucie, które znał od dawna. Erij bał się go. To Vanye go okaleczył. Pozbawił go zręczności. Erij bał się. Zapewne w nocy budziły go sny podobne do tych, które dręczyły Vanyego. Sny o Rijanie, Kandrysie i poranku w zbrojowni.

"Ojciec kochał doskonałość - powiedział mu kiedyś Erij. - Brzydził się myślą, że pozostawi Nhi kalece".

"Mnie również nigdy nie wybaczył. Tego, że to ja, z dwóch synów z prawego łóża, pozostałem przy życiu.

I tego, że nie byłem już całkowicie doskonały".

Erij zdobył się jednak w końcu na tyle rozsądku, by dać mu broń, mimo że wszystkie instynkty ostrzegały go przed tym. Jednoręki mężczyzna sam przeciwko Hjemurrom. Być może mniej bał się śmierci niż tego, że mógłby okazać się słaby.

Vanye pokłonił się niezgrabnie swemu bratu.

- Najpewniej zginiemy - powiedział. Pewność tego leżała mu w sercu ciężarem winy. - Erij, pożycz mi lepiej "Odmieńca". Przysięgam ci, że uczynię to sam. Zrobię wszystko, czego może dokonać człowiek za pomocą tej broni. Oddam ci Ra-hjemur, jeśli będę żył, a jeśli zginę, będzie to znaczyło, że i tak było to niemożliwe. Erij, mówię poważnie. Jestem ci to winny.

Erij roześmiał się krótko i niepewnie. Schował za siebie pozbawioną dłoni rękę.

- Nie chcę od ciebie wdzięczności, bękarci bracie. Prawda jest taka, że zgubiłem pochwę od miecza i wróciłem po nią.

- Wróciłeś w samą porę - upierał się Vanye. - Erij, nie lekceważ tego. Wiem, co uczyniłeś, i powtarzam ci, że ja zrobiłbym to samo.

...

- Jesteś znanym zdrajcą i nie zamierzam ci ufać, zwłaszcza jeśli sprawa dotyczy jej. Chcesz opóźnić nasz marsz. Mam tego dość. Wsiadaj.

Nie mógł wytrzymać tempa, jakie narzucił Erij. O mało

nie spadł z siodła, gdy zjeżdżali w dół po śliskim stoku. Trzymał się ze wszystkich sił, lecz wypuścił z ręki wodze. W rezultacie koń sam zatrzymał się na dole. Był dobrze wytrenowany. Jego boki poruszały się ciężko między kolanami Vanyego, który pochylił się powoli w siodle i przetarł oczy. Nie próbował nawet sięgnąć po wypuszczone z ręki wodze. Erij podjechał do niego i uderzył jego wierzchołka, który ruszył naprzód. Vanye trzymał się mocno, lecz koń stanął ponownie. Zlekceważył wówczas Erija, zsunął się resztką sił na ziemię, i ruszył dalej na piechotę. Prowadził znużone zwierzę w zakątek, gdzie kawałek płaskiej skały obiecywał miejsce na odpoczynek. Posuwał się naprzód jak pijany. Był tak obolały, że gdy tam dotarł, raczej runął na ziemię niż usiadł. Położył się na boku, podkulił kończyny, by ochronić się przed chłodem i po prostu zignorował wysiłki Erija, który próbował go podnieść. Pragnął tylko, by dano mu tyle czasu, by ból opuścił jego wnętrzności.

Erij szarpnął go mocno i Vanye zrozumiał w końcu, że próbuje on oprzeć jego głowę na kikutach swej ręki. Ujął w dłoń manierkę z winem i pociągnął z niej łyk.

- Przemarzałeś - usłyszał odległy głos Erija. - Usiądź, proszę.

Zrozumiał wtedy, że brat usiłuje go owinąć swoim płaszczem. Przytulił się do niego i ogrzał o jego ciało tak, że zaczął w końcu drżeć, a w przemęczonych mięśniach pod wpływem zimna złapał go skurcz.

- Wypij - powtórzył Erij. Vanye usłuchał go, po czym zasnął na chwilę.

Przynajmniej pragnął, aby to było na chwilę. Chciał jedynie przymknąć oczy, lecz gdy je otworzył, ogrzewały go promienie słońca. Erij siedział obok z "Odmieńcem" zatkniętym pod pachą, tak jak zwykła to czynić Morgaine. Jego brat nie spał. Już przy pierwszym poruszeniu Vanyego zerwał się z błyskiem nieufności w oczach.

- Mamy jadło - powiedział po chwili. - Wsiadaj na konia. Zjemy w siodle. Zmarnotrawiliśmy już dosyć czasu. Nie sprzeciwiał się temu rozkazowi. Zwlókł się i zrobił to, co kazał mu Erij. Gdy wyjechali z osłony, którą dawało im wzgórze, na chłodny wiatr, Vanye z radością przyjął mały łyk wina, którym podzielił się z nim Erij, marny, kruszący się chleb oraz ostry ser. Posiłek przywrócił mu siły. Spojrzał na brata w świetle dnia i dostrzegł męczyzną wychudzonego, nieogolonego, z podkrążonymi oczyma i zapadniętymi policzkami. Jednakże jadąc w rozsądnym tempie mieli, jak sądził, większe szansę dotarcia do Ra-hjemur, niż wydawało mu się poprzedniej nocy.

- Z pewnością nie jadą dużo szybciej od nas - oznajmił. - Są przed nami, ale... siły ich i ich koni również mają granice.

- Możliwe, że ich doścignemy - odparł Erij. - Jest to przynajmniej możliwe.

Gdy wygasło w nim szaleństwo z poprzedniej nocy, Erij sprawiał wrażenie rozsądnego i zdrowego na umyśle. Przez chwilę wydawało się nawet, że w jego głosie brzmia przeprosiny. Vanye natychmiast spróbował to wykorzystać.

- Jestem silniejszy - powiedział. - Mógłbym pojechać sam. Posłuchaj mnie. Uczyniłeś coś w rodzaju żądania.

Gdy tylko przysięga, którą złożyłem jej, wygaśnie, zacznę służyć twoim interesom i utrzymam Ra-hjemur dla ciebie.

- Zaś wiedźma, rzecz jasna, pozwoli ci na to.

- Ona nie pragnie Ra-hjemur dla siebie. Chce tylko załatwić się z Thiyem i wyruszyć w dalszą drogę, by już tu nie wrócić. Ona ci nie zagraża, Eriju, absolutnie. Błagam cię, szczerze błagam, nie próbuj jej zabić.

- Musisz, oczywiście, o to prosić, jako jej ilin. Szanuję to. Wiedząc o tym, muszę udać się do Ra-hjemur z tobą i nade wszystko nie dopuszczę, żeby ten miecz dostał się w twoje wierne dłonie, bękarci bracie. Już raz mnie przekonalesz, bym ci uwierzył i kosztowało mnie to drogo - mój 912

honor i życie moich ludzi. Nie licz, że popełnię drugi raz ten sam błąd.

A więc, pomyślał Vanye, będzie musiał odebrać Erijowi miecz przemocą, za pomocą kradzieży lub też w jakiś sposób oszukać go, by sam uczynił, co konieczne. Oznaczało to złamanie przysięgi i morderstwo jednocześnie.

Odkąd usłyszał od Morgaine, co trzeba uczynić, zaczął podejrzewać, jaki rodzaj śmierci go oczekiwał, jeśli usłucha jej rozkazu.

"Jego pole skierowane przeciwko źródłu swej mocy spowoduje zagładę wszystkich Bram - powiedziała. - Albo wrzucić go w samą Bramę - tę właściwą - skutek będzie ten sam. Wyciągnij go z pochwy i ciśnij do środka. Obydwa sposoby powinny być wystarczające".

"Odmieniec" karmił się Ogniami Czarnoksiężskimi z Ivrel. Czarna pustka znajdująca się za Bramą była tym samym, co maleńka otchłań, która migotała u jego końca. Mogła ona porwać ludzi w całości i wessać ich z wyciem wichru w inne nieba, gdzie nie mogli żyć, podobnie jak smok, który zginął w śniegu... inne nieba, gdzie nigdy nie nadchodził dzień.

"Odmieniec" wycelowany w Bramę, byłaby to jednak pustka przeciw drugiej, jeden wiatr wciągający drugi. Rozzerwałoby to samą substancję Bram, wciągając wszystko wokół do środka.

Być może nawet całe Ra-hjemur wraz ze wszystkim, co się w nim znajdowało. Moc, która w Irien porwała dziesięć tysięcy ludzi na skrzydłach wiatru i nie pozostawiła po nich ani śladu, nie mogła być tak delikatna i zabrać tylko jednego człowieka, jeśli zostanie rozwarta na oścież, by zniszczyć samą siebie. Pomyślał z drżeniem o znikających twarzach tych, których pochłonęło pole. Musieli być przeżeni i zdumieni, jak ludzie świeżo przybyli do piekła. To właśnie ich czeka. Taki będzie koniec ocalałych synów Nhi Rijana, ich nienawiści i wzajemnej walki. Odwrócił twarz od Erija, zanim wiatr nie osuszył łez. Pogodził się ostatecznie z tym, iż musi uczynić to, czego żądała od niego przysięga.

Przed nimi rozciągała się największa dolina na północy, w której leżał gród Hjemura. Porastała ją trawa, a ze wszystkich stron otaczały pokryte śniegiem szczyty. Wydawała się piękna dla oka, z wyjątkiem jednego miejsca — nagiego i pozbawionego życia. Było ono widoczne nawet z tej odległości.

- To - powiedział Vanye, wskazując palcem na szpetną okolicę, z myślą o spustoszeniu, jakie czyniły wokół siebie

Bramy - z pewnością jest Ra-hjemur.

Gdy wytężył wzrok, dostrzegł daleko, jak za mgłą, coś w rodzaju pagórka, którym istotnie mógł być Ra-hjemur. Nie zdołali jednak doścignąć Liella. Przed nimi rozciągała się droga, na której nic się nie poruszało. Wydawało się, że są tu zupełnie sami.

- Tu jest zbyt pięknie - stwierdził Erij - i teren jest zbyt otwarty. Na tej drodze, za dnia, czułbym się jak nagi.

- A więc nocą?

- To się wydaje rozsądne.

- Mogę ci udzielić lepszej rady - odparł Vanye, do końca nieustępliwy. - Pozwól, żebym ja to zrobił.

Erij spojrział na niego, jakby pragnął odgadnąć jego myśli. Na jego twarzy rysował się wyraz takiego lęku, iż wnętrzości Vanyego przeszył strach przed tym, że brat domyślił się prawdy. Spodziewał się niemal ostrych słów czy gniewnych podejrzeń.

- Cóż to? - zapytał Erij niezwykle poważnym tonem. - Czego się spodziewasz tam w dole? Czy cię przed czymś ostrzegała?

- Bracie - odparł Vanye. - Oboje macie moją przysięgę. Jeśli moja właściwa liyo żyje i jest z nimi... mam jeden obowiązek wobec Morgaine, a inny wobec ciebie. Któreś z was stanie się przyczyną mojej śmierci. Byłoby mi łatwiej myśleć jedno, gdybyście nie znajdowali się w tym samym miejscu, gotowi rzucić się sobie do gardła.

- Mogę zgodzić się na to - odparł Erij - że jeśli nie będzie to konieczne, nie zabiję jej. Nigdy nie zabiłem kobiety i nie podoba mi się ta myśl.

- Dziękuję ci - odparł Vanye z powagą, po czym, pomyślawszy o Liellu, dodał: - Erij, jeśli będzie ci grozić niewola, wybierz śmierć. Te opowieści o długim życiu Thiye są prawdą. Jeśli cię schwytają, twoje ciało będzie nadal rządzić w Ra-hjemur albo w Morija, ale dusza w nim będzie należała do kogoś innego.

Erij zaklął cicho.

- To prawda?

- Dzięki mnie będziesz miał sojusznika w Morgaine, jeśli ona żyje. Pomóż mi ją uwolnić, a nasze szansę na ocalenie wzrosną tysiąckrotnie.

Erij spojrział tylko na niego z twardym wyrazem oczu.

- Wiem niemal równie mało, co ty - zapewnił go Vanye. - Nie znam nawet połowy rzeczy, które się tam kryją.

Sądzę jednak, że ona je zna. Stanie po naszej stronie, w swym własnym interesie. To pewne, że nikt inny nam nie pomoże. Jeśli zamierzasz zacząć sprawę od zabicia lub unieszkodliwienia jedyne go możliwego sojusznika... Cóż, możesz równie dobrze związać mi ręce i nogi, zanim wyruszymy, ponieważ jeszcze przez pewien czas będę należał do niej... Ja - to ręce, zaś jej wiedza stanowi mózg. Postąpilibyś mądrze, gdybyś skorzystał z tego i z tego.

Erij nie udzielił mu odpowiedzi, wydawało się jednak, że zastanawia się poważnie nad jego słowami. Wjechali razem między drzewa, skąd nie było już widać doliny.

- Odpocznijemy tu przez chwilę - oznajmił Erij. |-

A nocą wyruszymy w dalszą drogę. Czy Thiye spróbuje przeszkodzić Liellowi?

- Nie wiem - odparł Vanye. - Mam wrażenie, iż

Morgaine sądzi, że Thiye był niegdyś panem, a Liell jego sługą. Tak przynajmniej było w Irien. Później doszło między nimi do sporu. Jeśli jednak Liell przywiedzie ze sobą Morgaine, może ona stać się kluczem, który otworzy przed nim drzwi Thiye'go. Potem zaś, jeśli ąjale mają takie same ambicje jak ludzie, może dojść do zdrady i będziemy mieli do czynienia albo z Thiyem, albo z Liellem, zależnie od tego, czyje będzie na wierzchu. Przypuszczam, że Liell czekał bardzo długo na jakiś klucz, który otworzy przed nim drzwi do Ra-hjemur. To jednak tylko moje przypuszczenia. Morgaine nic nie mówiła o tym, co sądzi na temat ich planów.

Erij wciąż siedział na koniu, słuchając. Vanye dodał:

- Nie jestem pewien, czy Thiye jest ąjalem, czy też po prostu zwykłym człowiekiem, który wziął sobie ąjale za służbę i ma teraz otrzymać nagrodę za wtrącanie się w nie swoje sprawy. Tak właśnie mówiła o nim Morgaine. Poza tym Ognie Czarnoksiężskie wywierają szkodliwy wpływ na wszystko, co żyje. Jeśli wieści, jakie słyszałem, są prawdziwe, Thiye z jakiegoś powodu dopuścił do tego, żeby jego ciało się zestarzało. Tak więc Thiye może nie być ąjalem. Wbrew temu, co sądzisz, wiem, że Morgaine nim nie jest, lecz Liell jest. To już wszystko, Erij. Moja przysięga dotyczy Thiye'go, ja jednak odnoszę ją przede wszystkim do Liella i jeśli jesteś rozsądny, pozwolisz mi na to.

- Chcesz oswobodzić wiedźmę i tyle.

- Tak. Jednakże przy okazji zabiję Liella, który zagraża nam obu. Proszę cię o pomoc w tej sprawie, Erij. Chcę, żebyś zrozumiał, że mam do załatwienia w Ra-hjemur inne sprawy, poza Thiyem, i że uwolnienie Morgaine nie będzie oznaczało, iż cię zdradziłem.

Erij zsunał się z siodła. Vanye nie uczynił tego, więc brat spojrział na niego w górę i powiedział:

-| Jedna rzecz w tym wszystkim jest jasna. Masz strzec mojego życia i pomóc zdobyć Ra-hjemur. To cała sprawa.

- Masz moją przysięgę - odparł Vanye ze smutkiem w sercu. - Wiem, że to cała sprawa.

Noc była bezksiężycowa, a niebo pokryte chmurami ułatwiało im zadanie.

Ra-hjemur wznosiło się na niskim, nagim wzgórzu.

Z pewnością była to cytadela ąjalów, gdyż stanowiła po prostu olbrzymi sześcian bez ozdób, wież, murów obronnych czy jakichkolwiek innych zabezpieczeń widocznych dla oka. Kamienista ścieżka prowadziła prosto do jego bramy. Nie rosła na niej trawa, podobnie zresztą jak na całym wzgórzu.

Przykucnęli na chwilę u podnóża wzniesienia, gdzie zostawili konie: obserwowali okolicę. Nigdzie nie było widać śladu życia. Erij spojrział na niego, jakby chciał go spytać o zdanie.

- Tym mieczem można wyłamać drzwi - powiedział

Vanye. - Strzeż się jednak pułapek, bracie, i nie zapomnij, że ja jestem za tobą. Nie chciałbym zginąć przez przypadek tak, jak Ryn.

Erij skinął głową na znak, że rozumie, po czym ruszył naprzód, przeskakując pomiędzy cieniami. Vanye podążył szybko za nim. Nie wyszli na drogę prowadzącą bezpośrednio ku bramie, lecz skradali się ku niej w cieniu murawy.

Jej metalowe kolumny były pokryte runami, jednakże sama brama była z drewna i żelaza, jak wrota wielu zwyczajnych fortec. Gdy Erij wyciągnął "Odmieńca" i dotknął jego czarnym spojeniem drzwi, powietrze wypełniło się jękiem metalu. Odrzwia wypadły z framugi, wraz z kolumnami. Pozbawione oparcia kamienie runęły na ziemię. W powietrzu unosił się dławiący pył. Gdy opadł, ujrzeli kupę gruzu blokującą częściowo wejście.

Erij popatrzył przez moment na zniszczenie, jakie wywołał, po czym przelazł po gruzie do dudniącego echem wnętrza, skąd bił jasny blask nie pochodzący od płomieni. Vanye pospieszył za nim, spocony ze strachu. Złapał po drodze spory kamień i gdy Erij zaczął oglądać się w jego stronę, walnął nim w jego chronioną hełmem głowę. Za słabo. Erij upadł, lecz zachował przytomność. Zaczął się podnosić z mieczem w rękę. Vanye dostrzegł niebezpieczeństwo. Uskoczył, by uniknąć migotliwego blasku i kopnął Erija w rękę tak, że tamten krzyknął z bólu. Miecz upadł na ziemię.

Vanye podniósł go i spojrzał na leżącego brata, który wykrzywił twarz z wściekłości i strachu. Przeklął Vanyego powoli i z namysłem tak, że krew zamarła mu w żyłach. Vanye zabrał pochwę. Erij nie stawiał oporu. Pod wpływem współczucia rzucił mu jego własny miecz.

Świsnęły strzały.

Usłyszał ich odgłos, zanim jeszcze odwrócił się i ujrzał, że nadlatują od strony schodów. "Odmieniec" w jego czujnej dłoni skierował je z łatwością w inne miejsce tak, że im obu nic się nie stało. Vanye znał właściwości miecza. Widział, jak Morgaine nim władała. W przeciwieństwie do brata umiał się nim posługiwać.

Erij łatwo mógłby zostać ugodzony strzałą.

Być może zrozumiał ten fakt, albo przynajmniej to, że dalsze utarczki mogłyby przynieść im zgubę. Podniósł swój miecz z mściwym błyskiem w oczach i podążył za Vanyem. Łatwo było zabić człowieka od tyłu, nawet jeśli chroniła go zbroja, lecz Erijowi potrzeba było więcej rąk niż jedna. W przeciwnym razie mógł utracić wszystko.

Vanye szybko zapomniał o zagrożeniu ze strony brata.

Obcość tej budowli oszołomiła go. Omal nie stracił tchu na widok olbrzymiej sali oraz niezliczonych drzwi i schodów. Morgaine wysłała go tu nie wyposażony w niezbędną wiedzę. Nie pozostało mu nic innego, jak sprawdzać po kolei każdą salę, każdą możliwą kryjówkę, aż znajdzie to, czego szuka, lub jego wrogowie znajdą drogę do niego. Chyba że... Gdy trzymał "Odmieńca" wprost przed sobą, błyszczał on jasno, lecz gdy go wzniósł, przez smoczą rękę przebiegła seria impulsów, jak gdyby broń odżyła. Vanye wspiał się ostrożnie po schodach na wyższe piętro. Erij podążył za nim.

Znaleźli tam salę bardzo podobną do poprzedniej, z tym że na jej końcu widać było drzwi wykonane z błyszczącego metalu, przypominającego bardzo kolumny Ognia Czarnoksięskich. Z "Odmieńca" popłynął dźwięk - przeszywające aż do szpiku kości brzęczenie, pod wpływem którego zaczęły boleć go palce. W miarę jak zbliżał się ku drzwiom, stawało się coraz głośniejsze. Pobiegnął ku nim w przekonaniu, że szybkość jest najlepszą obroną przed atakiem ze

strony Hjemurów. Stał jak wryty, gdy olbrzymie wrota rozchyliły się lekko, aby go wpuścić do środka.

Jeszcze bardziej zdumiało go to, co ujrzał - błyszczący metal i światło, które rozpostarło się przed nim lśniąąc wszystkimi kolorami. Towarzyszyło temu buczenie mocy wywodzącej się z samych ogni. "Odmieniec" zaczął pulsować. Ręka, w której go trzymał, zdrętwiała mu zupełnie. "Jego pole skierowane przeciwko źródłu swej mocy spowoduje zagładę wszystkich Bram".

Rytm zmagających się ze sobą mocy dotarł przez ramię Vanyego do jego mózgu. Nie wiedział już, czy zawodzenie miecza naprawdę unosi się w powietrzu, czy też odbierają je tylko jego pogwałcone zmysły.

Podniósł broń. Spodziewał się śmierci, stwierdził jednak, że niewiele się zmieniło. Jedynie, gdy kierował miecz w prawo, ból stawał się większy.

- Vanye! - krzyknął Erij, łapiąc go za ramię. Ujrzał na twarzy brata wyraz silnego strachu.

- To tędy - odrzekł. - Zostań tutaj na straży.

Erij nie usłuchał go. Gdy Vanye wszedł do następnego pomieszczenia, wyczuł obecność brata tuż za plecami. Teraz wszystko zrozumiał. Oczekiwanie, że dokona tak ważnej rzeczy z tak skąpymi instrukcjami kłóciło się z ostrożną naturą Morgaine. Nie były mu jednak potrzebne - sam miecz służył za przewodnika poprzez sygnały dźwięku i bólu. Gdy przebył już pewien odcinek lśniącego korytarza - dzieła aujalin - dźwięk przesłonił wszystkie jego zmysły, aż nie pozostało mu nic oprócz wzroku.

Ujrzał przed sobą starego mężczyznę, łysego i pomarszczonego, odzianego w szarą szatę. Wyciągnął on ku nim ręce, wypowiadając bezgłośnie prośbę. Jego postarzała twarz splamiona była krwią.

Vanye uniósł miecz, grożąc jego straszliwą mocą, lecz postać nie ustępowała. Zagroziła im drogę, gotowa poświęcić życie.

Thiye - powiedziało mu coś. Thiye, syn Thiyego, pan Hjemuru.

Nagle stary człowiek upadł. Ręce zadrżały mu konwulsyjnie. Z jego pleców sterczała strzała. Krew płynąca z rany zboczyła szatę.

Z tyłu sali stała jakaś postać w szarozielonym stroju. Był to młody pan Chya. Opuszczał właśnie swój łuk. Roh ruszył w ich stronę z nagłym pośpiechem. Zarzucił sobie łuk z powrotem na plecy.

Vanye schował natychmiast "Odmieńca". Poczuł nagły 29.0

przypływ nadziei. Gdy miecz znalazł się w pochwie, wokół zapanowała zdumiewająca cisza. Jego ogłuszone uszy ledwie mogły dosłyszeć głos Roha. Poczuł, jak dłonie tamtego chwytają go ochoczo za ramiona, lecz nawet to wydawało mu się dziwnie odległe.

- Vanye, kuzynie! - krzyknął Roh, nie zważając na groźbę ze strony swego zaprzysiężonego wroga, Erija, który stał obok z mieczem w ręku.

- Kuzynie, Thiye... i Liell... starli się ze sobą. Morgaine uciekła im obu, ale...

- Czy ona żyje? - zapytał Vanye.

- Tak jest, żyje, żyje. Ona panuje nad grodem, Vanye.

Zamierza go zniszczyć. Chodź, uciekajmy stąd. Za chwilę nie zostanie tu kamień na kamieniu. Szybko.

- Gdzie ona jest?

Roh wskazał spojrzeniem w górę, w stronę schodów.

- Zabarykadowała się tam. Odzyskała swą broń. Jest gotowa zabić każdego, kto znajdzie się w jej zasięgu. Vanye, nie próbuj do niej dotrzeć. Ona oszalała. Zabije i ciebie.

Nie można jej przemówić do rozsądku.

- A Liell?

- Zabity. Wszyscy z nich zginęli, a większość sług Thiyeego uciekła. Twoja przysięga już wygasła, Vanye. Jesteś wolny. Uciekaj stąd. Nie ma potrzeby, abyś zginął. Roh wpił w niego palce. W jego oczach malowało się cierpienie. Vanye wyrwał się jednak z uścisku i pobiegł po schodach w górę. Obejrzał się za siebie. Roh zawahał się przez chwilę, po czym pobiegł w przeciwnym kierunku i zniknął na schodach prowadzących w dół, jak zielone widmo. Erij rzucił spojrzenie w obie strony, jak gdyby dokonywał wyboru, po czym pobiegł z dzikim wzrokiem w stronę schodów wiodących w górę. Wyciągnął miecz w stronę Vanyego.

- Thiye nie żyje! - zawołał. - Nie żyje. Twoja przysięga się wypełniła. Powstrzymaj wiedźmę.

Ten fakt uderzył go z mocą młota. Spojrzał bezradnie na Erija. Musiał przyznać, że był on w prawie. Usiłował zrozumieć, komu naprawdę jest teraz winien posłuszeństwo. Otrząsnął się z tych myśli. Jego obowiązki względem obojga wymagały, aby jak najszybciej dotarł do Morgaine. Odwrócił się i zaczął biec w górę, przeskakując po dwa stopnie, aż wreszcie wpadł, bez tchu w piersiach, do kolejnej sali przypominającej tę, która leżała niżej. Tak jak twierdził Roh, zastał tam Morgaine całą i zdrową. Spojrzała na nich dzierżąc pewnie w ręku czarną, śmiercionośną broń.

- Liyo! - krzyknął, wyciągając dłoń, tak jakby mogło to uchronić go przed atakiem. Drugą ręką rzucił "Odmieńca" do jej stóp.

- Nie! - krzyknął rozwścieczony Erij, umilkł jednak, gdy Morgaine zgrabnym ruchem podniosła z podłogi schowany w pochwie miecz, cały czas trzymając czarną broń wycelowaną w nich. Dopiero potem ją opuściła.

- Vanye - powiedziała. -! W samą porę.

Przeszła obok nich i zaczęła ostrożnie schodzić w dół schodami, po których przyszli. Pozwoliła Vanyemu iść za sobą. Nagle domyślił się, czego się tak obawia.

- Thiye nie żyje - powiedział.

W jej szarych oczach pojawił się wyraz nieoczekiwanej rozpaczy.

- Ty go zabiłeś?

- Nie, Roh.

- Roha nie ma - odparła. - Thiye uwolnił mnie. To była jego jedyna nadzieja na pokonanie Liella i ocalenie życia. Dał mi tę niewielką szansę. Ocaliłabym go, gdybym zdołała. Czy Roh jest tam na dole?

- Uciekł - odparł Vanye. - Powiedział, że zamierzasz zniszczyć ten gród.

Nagle nawiedziło go straszliwe podejrzenie.

- To nie był Roh, prawda?

- Nie - odparła Morgaine. - Roh zginał w Ivrel, zamiast ciebie.

Zbiegła po schodach. Zatrzymała się tylko na zakręcie, jak tego wymagała ostrożność, po czym weszła do tej straszliwej sali aujalin. Była pusta. Pozostało w niej tylko ciało Thiyego pogrążone w powiększającej się ciągle kałuży krwi.

Morgaine pobiegła naprzód. Odgłos jej kroków niósł się echem po sali. Vanye podażył za nią świadomy, że Erij wciąż jest z nimi. W tej chwili mało go to obchodziło. Wzbięła w nim gniew na Liella, który zadrwił z niego podstępnie. Czuł też w sercu strach na myśl o tym, czego Morgaine może dokonać z tą niezwykłą mocą.

Dotarła do samego końca sali, gdzie wznosiła się gigantyczna podwójna kolumna świateł. Położyła na chwilę miecz na półce i wprawna dłonią utkała ze świateł jakiś wzór. Ze ścian dobył się potężny hałas. Widmowe głosy zaszwarowały w nieznanym językach. Światła pobiegły po kolumnach w górę i w dół i zaczęły pulsować ze wzrastającą częstotliwością.

Ucięła to jednym błyskawicznym ruchem dłoni, po czym oparła się o półkę z pochyloną głową, jak ktoś, komu zadano śmiertelną ranę.

Odwróciła się, uniosła głowę i spojrzała poważnie na Vanyego.

- Ty i twój brat musicie uciekać stąd tak szybko, jak możecie - powiedziała. - W tym jednym Liell nie skłamał. Gród ulegnie zniszczeniu. Urządzenia zostały nastawione w ten sposób, że nie mogę już tego zmienić. Ra-hjemur zamieni się w gruzy po upływie czasu, jakiego potrzebuje jeździec, aby dotrzeć do Bramy Ivrel. Jesteś zwolniony z przysięgi. Spełniłeś swoje zobowiązanie. Żegnaj. Powiedziawszy to, odsunęła go na bok i skierowała się szybkim krokiem, sama, przez długi korytarz w stronę schodów.

- Liyo! Dokąd idziesz? - krzyknął. Zatrzymała się.

- Nastawił Bramę na miejsce, które wybrał. Ruszam za nim. Nie mam wiele czasu. Wyjechał wcześniej i z pewnością pozostawił go tylko tyle, ile uznał za konieczne. Jednak on jest ostrożny, ten Liell. Mam nadzieję, że zostawił sobie zbyt duży zapas.

Po tych słowach odwróciła się i ruszyła przed siebie jeszcze szybciej, aż wreszcie zaczęła biec.

Vanye postąpił krok do przodu.

- Bracie - przypomniał mu Erij. Zatrzymał się. Morgaine zniknęła na schodach.

Wreszcie, gdy odgłos jej kroków umilkł, Vanye chcąc nie chcąc odwrócił się, aby stawić czoło gniewowi malującemu się na twarzy brata. Upadł na chłodną posadzkę i przycisnął do niej czoło, składając Erijowi hołd, jakiego wymagała przysięga.

- Twa pokora jest nieco spóźniona - zauważył Erij. - Wstawaj. Chcę ci patrzeć w oczy, gdy będziesz odpowiadał na moje pytania.

Vanye posłuchał.

- Czy powiedziała prawdę? - zapytał Erij.

- Tak - odparł Vanye. - Myślę, że to prawda. Jeśli w to wątpisz, to lepiej czynić to o dzień jazdy stąd. Jeśli

potem zobaczysz, że gród nadal stoi, będzie to znaczyło, iż kłamała.

- O co chodzi z tymi Bramami?

- Nie wiem nic - odparł Vanye - poza tym, że czasami Ognie Czarnoksiężskie mają drugą stronę, a czasami nie i że gdy Morgaine odejdzie, znajdzie się w miejscu, którego nie możemy osiągnąć. Niestety nie wytłumaczyła mi tego dokładnie. Wiem jednak, że już nie wróci. Ivrel jest Bramą, która zamknie się, gdy ten gród zginie i potem nie będzie już na świecie Ognia Czarnoksiężskich, Thiyego, ani żadnej magii.

Rozejrzał się wokół siebie. Wszystko tu było tak skomplikowane, że mieli wrażenie, iż znajdują się we wnętrzu potwora. Jego żyły stanowiły świetliste kanały, które na przemian rozbłyskiwały i przygasały, jak pod wpływem powolnych uderzeń serca.

- Jeśli nie chcesz zginąć, Erij - powiedział - skorzystajmy lepiej z jej rady i odjedźmy stąd jak najdalej, zanim to się stanie.

Konie czekały na nich cierpliwie tam, gdzie je zostawili. Skubały mizerną trawę w szarym świetle poranka, tak jakby ten dzień nie przyniósł ze sobą niczego niezwykłego. Vanye sprawdził popręg i wdrapał się na siodło. Erij uczynił to samo. Jechali teraz po trakcie, przez co mogli posuwać się szybciej. Zatrzymali się, aby spojrzeć za siebie na potężny sześcian Ra-hjemur. Ze swą wyważoną bramą wyglądał on jak stworzenie, któremu zadano śmiertelną ranę. Później wyruszyli razem w stronę Morija.

- Nie ma już pana Hjemuru - odezwał się w końcu Vanye. - Ty i pan Baien jesteście teraz jedynymi głowami liczących się klanów. Tron Wielkiego Króla jest w twoim zasięgu bez potrzeby odwoływania się do hjemurskiej magii. Może to i lepiej dla ludzkiego plemienia.

- Pan Baien jest stary - odparł Erij - i ma córkę. Nie sędzę, by pragnął wojny, która zmaciłaby spokój jego starych lat i spustoszyła jego kraj. Być może zdołam zawrzeć z nim sojusz. Zaś Chya Roh nie zostawił dziedziców. Będzie nam łatwiej poradzić sobie z jego ludźmi. Pani Pywn jest Chya. Gdy Chya z Korisu znajdą się w naszych rękach, Pywn się podda.

Erij snuł plany głosem niemal radosnym, nie trapiąc się perspektywą kilku wojen.

Vanye jednak wpatrywał się w drogę przed nimi. Za zakrętem znikła ona z widoku, lecz dalej na południe znów stawała się widoczna. Miał szczerą nadzieję, iż ją ujrzy, przynajmniej w swoich wspomnieniach, tak jak tego wieczora, gdy wyjechała z Bramy w Aenor-Pywn.

- Nie słuchasz mnie - oskarżył go Erij.

- Tak jest - odparł. Przymrużył oczy i wyrwawszy się spod uroku spojrzął ponownie na brata.

Zauważył, że od tej chwili Erij zaczął spoglądać na niego uważnie z coraz bardziej skwaszonym wyrazem twarzy, jak gdyby sojusz zawarty o świecie w Ra-hjemur, który ponownie uczynił z nich braci, rozpadał się na strzępy. Widząc, że twarz pogrążonego w myślach Erija staje się coraz bardziej i bardziej posępna, nie miał wiele nadziei na to, że zagna spokoju.

- Nie ma już w Morija nikogo, poza nami dwoma,

w czyich żyłach płynęłaby krew wielkiego klanu - odezwał się Erij. Gdy nastąpiło południe, słońce świeciło tak mocno, że prawie ich grzało, a oni wciąż jechali, bok przy boku.

O Niebiosy - pomyślał Vanye. Spojrzał z żalem na słońce i wzgórze. To już teraz.

Dawno doszedł do wniosku, że Erij byłby szalony, gdyby obwoził się w Morija z więźniem wywodzącym się z wielkiego klanu. Jego brat z pewnością musiał również o tym pomyśleć. Bez Ra-hjemur, z którego mógłby rządzić, nie będzie miał dość sił, by usunąć zmapę na honorze, albo rywala. Ludzie o ambicjach politycznych będą się zlatywać do bękartu Chya jak muchy do miodu. Wnioski, jakie Erij z pewnością wyciągnął, były niehonorowe. Lepiej rozważyć takie rzeczy w ciemnościach nocy, a nie takiego pięknego dnia.

- Choć jesteś bękartem - oznajmił Erij - mógłbyś się stać dla mnie groźbą, gdybyś tego zapragnął. Chya nie mają pana. Przychodzi mi do głowy, bękarci bracie, że jesteś dziedzicem Chya i możesz upomnieć się o swoje prawa, a od żadnego pana nie wolno żądać służby ilina.

- Nie zgłosiłem żadnych pretensji do Chya - odparł Vanye. - Nie sądzę, żeby to było możliwe i nie zamierzam tego zrobić.

- Nie wątpię ani przez chwilę, że woleliby cię ode mnie - stwierdził Erij. - Dopóki żyjesz, jesteś dla mnie najgroźniejszym człowiekiem w całym Andur-Kurshu.

- Nieprawda - odparł Vanye. - Szanuję swoją przysięgę. Rzecz w tym, że ty nie szanujesz swojego honoru na tyle, by zaufać mojemu.

- W Ra-hjemur nie uszanowałeś przysięgi.

- Morgaine ci nie zagrażała, więc nie musiałem tego zrobić.

Erij wpatrywał się w niego długo, po czym wyciągnął ku niemu rękę.

- Podaj mi dłoń - powiedział. Zaskoczony Vanye podał się niemal przyjacielskiemu uściskowi lewej dłoni brata.

- Możesz odejść - powiedział Erij. - Jeśli usłyszę jeszcze o tobie, doścignę cię... albo, jeśli wrócisz do Morija, postawię ci żądanie i będziesz musiał odpracować ten rok, który jesteś mi winien. Nie sądzę jednak, żebyś tam wrócił. Wskazał głową na drogę przed nimi.

- Jeśli cię przyjmie, jedź z nią.

Vanye spojrzął na brata. Uścisnął jego mocną, suchą dłoń jeszcze silniej, zanim wyswobodził rękę.

Popędził konia piętami, starając się nie myśleć o tym, że nie ma broni i że od rana Morgaine z pewnością zdążyła odjechać już daleko.

Nadrobi ten dystans. Odszuka ją. Dopiero później z żalem zdał sobie sprawę, że nawet nie obejrzał się za bratem i że przeciął łączący ich splątany węzeł, nie odczuwając nawet połowy tego bólu, który z pewnością poczuł Erij, gdy pozwolił mu odejść. Przez to, że go zwolnił, pomyślał Vanye, Erij odpłacił za wszystko. Żałował, że nie znalazł dla niego jakichś słów wdzięczności.

Erij tylko by się roześmiał.

Nie znalazł jej na drodze. Drugiego dnia zjechał z trasy, którą przebyli z Erijem, i skręcił w tę, którą Liell wracał

z Ivrel. Sądził, że Morgaine z pewnością wybrała tę drogę. Ivrel była blisko. Nie miał już czasu na postój, choć cały był obolały od jazdy, a koń dyszał ciężko. Na bardziej stromych odcinkach musiał zsiadać i niemal popychać zwierzę pod górę. Dręczyła go ta zwłoka. Zaczął się bać, że zgubił drogę i że utraci Morgaine raz na zawsze.

I wreszcie, wreszcie, gdy wyjechał na wyżynę, ujrzał potężną ścianę Ivrel i nagą grań, na której znajdowała się Brama. Wydusił z karego rumaka resztki sił i zaczął się wspinać pod górę, to tracąc cel z oczu, to znów go znajdując, aż wreszcie wjechał w las powykręcanych sosen i przestał go widzieć na dobre.

Na śniegu widać było ślady - stare, pozostawione przez liczną grupę ludzi, tropy zwierząt (lepiej było nie myśleć jakich), gdzieś jednak mógł rozróżnić nowe.

Roh-Liell-Zri na karej klaczy, a za nim Morgaine.

Para bijąca mu z ust zamarzała w świetle słońca. Ostre powietrze raniło mu płuca. Zlitował się wreszcie nad koniem i zaczął prowadzić go za sobą. Oglądał uważnie schorzałe sosny rosnące wokół. Pamiętał aż za dobrze, że nie ma żadnej bronii, a jego koń jest zbyt wyczerpany, by myśleć o ucieczce.

Nagle, przez sosny, ujrzał biały poblisk poruszający się w świetle słońca, padający na śnieg. Popędził konia biczem i ruszył naprzód tak szybko, jak tylko mógł.

- Zaczekaj! - krzyknął.

Przystanęła. Gdy podjechał do niej, zabrakło mu z ulgi tchu w piersiach. Pochyliła się w siodle i sięgnęła po jego rękę.

- Vanye, Vanye, nie powinieneś być za mną jechać.

- Czy przejdiesz na drugą stronę? - zapytał.

Spojrzała na Bramę. Mimo jasnego dnia nad nimi rozpościerała się migotliwa ciemność usiana gwiazdami.

- Tak - odparła. Popatrzyła na niego. - Nie powstrzymuj mnie. Ten pomysł z jazdą za mną to głupota. Nie wiem, jak ta Brama się zachowuje, czy przeniesie mnie w to samo miejsce, dokąd uciekł Zri, czy też zupełnie gdzie indziej. To nie będzie miejsce dla ciebie. Byłeś użyteczny przez pewien czas z twoim kodeksem ilina, grodami i kuzynostwem... to jest twój świat. Potrzebowałam kogoś, kto potrafiłby pokierować sprawami po mojej myśli. Spełniłeś swoje zadanie i na tym koniec. Jesteś wolny i ciesz się z tego.

Milczał. Zdał sobie wreszcie sprawę, że po prostu gapi się na nią, gdy jej ręka opadła z jego ramienia. Morgaine zaczęła się oddalać. Patrzył, jak wjeżdża na długie zbocze. Siptah z początku się opierał, lecz chwyciła mocno wodze i popędziła go brutalnie wbrew jego woli, aż wreszcie ustąpił i rozpoczął długą wspinaczkę w ciemność.

Po czym zniknął.

"My, którzy gramy w tę grę z Bramami, nie jesteście odważni. Mamy zbyt wiele do stracenia, aby pozwolić sobie na luksus bycia honorowym i odważnym".

Siedział przez chwilę bez ruchu, spoglądając na zbocze.

Pomyślał o chłodzie i umęczonych drzewach. Wyobraził sobie długą jazdę do Morija. Po tym, jak go przegnała, będzie musiał błagać Erija, aby zgodził się tolerować jego obecność w Andur-Kurshu.

Wszędzie czekał go ból, poza jednym miejscem. "Odmieniec" potrafił odnaleźć drogę do swego źródła. Jego zmysły też mogły tego dokonać.

Popędził nagle konia. Zwierzę pobiegło w górę zbocza, stawiając jedynie udawany opór. Siptah pojechał w tamtą stronę. Kary ogier rozumiał, czego się od niego oczekuje. Otchłań rozwarła się przed nim, czarna i pełna gwiazd. Nie było wiatru, który zawodził tu uprzednio, jedynie lekki, ledwie wyczuwalny powiew.

Nagle ciemność, całkowita ciemność. Upadek w dół. Koń wierzgał i wyginał się pod nim. Szukał oparcia dla nóg. Aż znalazł je.

Znowu biegli, po porośniętym trawą brzegu. Było ciepło. Koń parsknął zdumiony, po czym ruszył naprzód z kopyta. Jasny kształt widniał na wzgórzu przed nimi, pod podwójnym księżycem.

- Liyo! - krzyknął. - Zaczekaj na mnie!

Zatrzymała się, obejrzała za siebie, zsiadła z konia i stanęła na szczycie wzgórza. Podjechał do niej i ześliznął się z wyczerpanego wierzchowca, zanim jeszcze zwierzę zatrzymało się całkowicie. Zawahał się, niepewny, czy spotka się z radością czy gniewem.

Roześmiała się i zarzuciła mu ramiona na szyję. On również objął ją mocno. Po chwili cofnęła głowę i spojrzała na niego.

Drugi raz dopiero widział w jej oczach łzy.

POSŁOWIE

Znajdują się wśród nas ludzie, którzy czytają książki błyskawicznie, którzy czują głód czytania i bywa, że - z bjaką czegokolwiek innego - pochłaniają wzrokiem nawet skrawki gazet leżące czasami na podłodze autobusu. Książki przepływają przez nasze życie niekończącym się strumieniem. Niektóre z nich pamiętamy krótko, niektóre dłużej. Niektóre niezbyt mocno przyciągają naszą uwagę; inne czytamy uważnie, w napięciu, dopóki nie pochłonimy ostatniego słowa. Często z żalem opuszczamy świat, który stworzył autor, lecz wówczas odkładamy książkę na tę jedyną półkę, gdzie ciasno stłoczone stoją te, które chcielibyśmy czytywać nieskończoną ilość razy. Wielu z nas zdobywa dla książek nowych czytelników, polecając swoje najciekawsze "odkrycia".

"Odkrycia" takie nie są jednak zbyt częste w życiu tych czytelników, którzy przekartkowali już setki stron. Sama, w ciągu czterdziestu ponad lat intensywnego czytania, znalazłam ich może kilkanaście razy. Stało się to za sprawą Władcy Pierścieni, książek Davida Mansona, kilku tytułów A. Meritta (który w swoim czasie wywołał wiele dyskusji) oraz jeszcze paru pozycji, do których często powracam, z taką samą przyjemnością czytając je za drugim, piątym, dziesiątym, co za pierwszym razem.

Od czasu Władcy Pierścieni nigdy żadna powieść nie zafascynowała mnie tak jak Brama Ivrel. Nie znam autorki tego dzieła, lecz chylę czoło przed jej talentem. Stworzyła bowiem postać całkowicie wiarygodnego bohatera w odległym, uroczym świecie fascynujących zwyczajów i wierzeń oraz historię tak niezwykłą, że pragnie się, aby ona kiedyś, gdzieś zaistniała naprawdę. Tej klasy twórczość bowiem nie tylko na długo pozostaje w umyśle czytelnika, ale zaczyna

żyć w nim własnym życiem, oddechem, wszystkim, co dla życia jest charakterystyczne. Błędem wielu powieści fantastycznych jest postać boha tera, supermana, którego życie pełne jest przygód. Vanye - stworzony przez Cherryh - żyje już od pierwszego momentu, od wkroczenia na scenę dla niego przygotowaną.. Oczywiście, nie jest on herosem w stylu Conana, lecz posiada silne poczucie honoru, które zmusza go do poczynań jakich w głębi ducha nie cierpi i boi się. Czytelnik naprawdę uwierzy, iż jego wątpliwości są autentyczne, autentyczne jest jego wahanie i nieustanna walka przeciwko temu, co uważa za swoje słabości. Cieszy się z jego małego triumfu, który na moment rozpędza cień porażki, mimo iż Vanye łamie zasady będące ostatnią z jego patetycznych wartości odkrywszy, że istnieje coś o wiele większego niż konwencjonalne przyrzeczenia i reguły.

W Bramie Ivrrel nie ma supermężczyzn ani super kobiet. Są za to bardzo ludzkie postacie, znające uczucia zwątpienia i strachu, kierowane przez poczucie obowiązku, nakazujące im maszerować przed siebie, w ciemność, w której z pewnością czeka śmierć. Pradawne zło czai się jak ohydna pajęczyna, upór niedowiarków nieodmiennie przeskadzających poczynaniom. Ranni, na skraju wyczerpania, poniżeni podejrzeniem krzywoprzysięstwa w oczach tych, których kiedyś mogli uważać za krewnych, nie ustana w swych dążeniach do końca.

Niewiele książek wykreowało bohaterów ze świata innego niż nasz, doczesny, z którymi porównywaliby się czytelnicy. Tutaj staranna ewokacja skomplikowanej, obcej cywilizacji stworzona jest tak zręcznie, że czytelnik akceptuje ją zapominając, iż jest to jedynie wytwór wyobraźni. Mogłaby to być przecież historia prawdziwa.

Lektura Bramy Ivrrel była dla mnie ekscytującym doświadczeniem, choć przecież znam już tak wiele książek z tej dziedziny. Dlaczego ja nie potrafię tak pisać?

Tak bardzo bym chciała...

Andre Norton

W SERII SCIENCE FICTION UKAZAŁY SIĘ
DOTĄD:

Colin Wilson: PASOŻYTY UMYŚŁU
OAWKA MIŁOŚCI - antologia erotycznych
opowiadań science fiction i horroru

Robert Silverberg: W DÓŁ DO ZIEMI

Annę McCaffrey: JEŹDźCY SMOKÓW

Robert Silverberg: CIERNIE

Mikę Resnick: KŁY

Damien Broderick: PASIASTE DZIURY

Robert A. Heinlein: HIOB

Robert Silverberg: CZAS PRZEMIAN

Jack L. Chalker: PÓŁNOC PRZY STUDNI DUSZ

- pierwszy tom z cyklu ŚWIAT STUDNIA

W NAJBLIŻSZYM CZASIE:

Garfield Reeves-Stevens: MROCNIA MATERIA

Robert Sikerberg: UMIERAJĄC ŻYJEMY

Robert A. Heinlein: LUNA TO SUROWA PANI

John Varley: TYTAN

Garfield Reeves-Stevens: SĄ WŚRÓD NAS

Pierś Anthony: TAROT
David Wingrove: CHUNG KUO